

Jacek Komuda

Warchoły I Pijanice

Czyli

Poczet Hultajow z czasów Rzeczypospolitej Szlacheckiej

*Co za świat, co za świat!
Groźny, dziki, zabójczy.
Świat ucisku i przemocy
Świat bez władzy bez rządu, bez ładu
I bez miłosierdzia.
Krew w nim tańsza od wina,
Człowiek tańszy od konia.
Świat, w którym łatwo zabić,
Trudno nie być zabitym.
Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek,
Kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad.
Świat, w którym cnotliwym być trudno,
Spokojnym niepodobna...*

*Władysław Łoziński
„Prawem i Lewem”*

*Lepiej nie żyć, niż szlachcicem nie być,
Lepiej szlachcicem nie być,
Niż wolności odstąpić.*

*Stanisław Stadnicki,
zwany Diabłem Łańcuckim*

WSTĘP

Każdy dawny szlachcic polski, choćby nawet najcnotliwszy, miał zawsze w sobie coś z warchoła. Każdy chciał być wielki, hojny, wspaniały. Każdy musiał postawić na swoim. Dla dawnego pana brata z połowy XVII stulecia niczym było zasiec w karczmie natrętnego zawalidrogę, ubić rywala w pojedynku, czy zajechać dwór znieawidzonego sąsiada. Każdy z dawnych panów braci starał się pokazać siebie jako prawdziwego Sarmatę – mężczyznę z krwi i kości, który potrafi stawić czoła nawet największemu niebezpieczeństwu. Pokazać się jako człowiek pełen fantazji i honoru, ceniący wolność i swobodę, lecz także staropolską fantazję. Wszak w dawnej Polsce powiadano: „szlachcic na zagrodzie – równy wojewodzie” i „wolność Tomku w swoim domku”. Dla prawdziwych Sarmatów niczym był pojedynek, sejmikowa czy karczemna zwada. Niejeden szlachcic w porywie gorączki potrafił rozszczyć czekaniem sąsiada, postrzelić rywala, ubiegającego się o wdzięki ukochanej przezeń panny, zajechać zbrojnie czyjś dwór.

Prawie każdy ze szlacheckich panów braci występował zatem kiedyś przeciwko prawu. Lecz czymże było w dawnej Rzeczypospolitej prawo? Zbiorem ustaw danych przez panującego, sejm, spisanych w konstytucjach sejmowych? A może zbiorem nakazów i zakazów danych od Boga? Czytając historie przekazane na kartach szlacheckich ksiąg zwanych *silva rerum*, wnikając głęboko w dawne czasy, w dzieje rodzin szlacheckie urodzonych Polaków, wydaje się, że było zupełnie inaczej, że sprawo staropolskie stanowiło raczej pewnego rodzaju sąsiedzki kodeks moralny i honorowy. Kodeks, który dopuszczał swawolę i zajazdy, dopuszczał waśnie i spory, lecz zarazem wyznaczał pewne granice moralnych norm zachowania, których przekraczać już się nie godziło. Można było zatem warcholić sobie, można było wadzić się i procesować, lecz gdy przekroczyło się pewną miarę w występkach, szlacheckie społeczeństwo potrafiło pokazać swoją siłę. Tak właśnie było na początku XVII wieku ze Stanisławem Stadnickim z Łańcuta, największym chyba awanturnikiem i hultajem w dawnej Rzeczypospolitej. Gdy bowiem Stadnicki, zwany także „Diabłem Łańcuckim”, pozwolił sobie na zbyt wiele, panowie bracia, którzy pili wcześniej jego zdrowie, odwrócili się od łańcuckiego pana. I w chwili klęski nikt nie udzielił mu schronienia, przeciwnie – wszyscy z Ziemi Przemysko-Sanockiej zgodnie przyłożyli rękę do jego zguby.

Nikt dziś nie wie tak naprawdę, jak wyglądał ów dawny, niemal zapomniany świat szlachty polskiej. Świat szabli, honoru, pojedynku, ale też godności i tolerancji. Lecz jedno jest pewne. Do połowy XVII wieku nie tworzyły go na pewno magnackie salony. Nie tworzyli go pludraczy w perukach, lecz zaścianki, dostatnie dwory średniej szlachty. Tworzyły go swawolne kompanie szlacheckiej hołoty, rębajłowie i infamisi, zajazdy, procesy, sąsiedzkie układy, ale także

i fantazja, honor, godność i słowo. Tworzyła go szlachta, która potrafiła pokazać swoją wielkość i sławę, potrafiła narzucić innym swój styl życia. Bo przecież mieszczenie naśladowali we wszystkim szlachtę, a co bystrzejsi spośród chłopów starali się udawać herbowych panów braci. A ci szlachcice, którzy swym postępowaniem ściągali na siebie gniew starostów, oburzenie, często wzbudzali także podziw szlacheckiej braci. Byli wśród nich obdarci i zamożni, wspaniali i nikczemni, lecz zawsze dbający o swą godność i honor warchołowie i pijanice... To właśnie o nich opowiada ta książka... W tym przedziwnym kraju, jakim była Rzeczpospolita szlachecka, pito zdrowie znanych awanturników. Bo przecież nie było sztuką zasieć w karczmie osobistego wroga. Sztuką było pociąć go w taki sposób, aby ośmieszyć w oczach postronnych, wzbudzić w nich uznanie i podziw. Wszystko zależało właśnie od owej szlacheckiej fantazji, tak często wspomianej na kartach dawnych pamiętników, a która oznaczała ni mniej ni więcej, jak tylko staropolski gest i owo „zastaw się, a postaw się” – a więc umiejętność zaprezentowania innym swej własnej osoby. Dlatego też na kartach „Warchołów i pijanic” nie znajdziemy miejsca dla małych, nikczemnych miejskich łyków, dla pospolitych przestępców wywodzących się z plebsu, chłopów i pospółstwa. Nie napiszemy tu o złodziejach, ładacznicach czy żebrakach. Nie będzie tu także miejsca dla zdrajców i sprzedawczyków, takich jak choćby twórcy Konfederacji Targowickiej: Franciszek Ksawery Branicki, Szczęsny Potocki, Seweryn Rzewuski i wielu im podobnych. Zamiast nich stronicie tej książki zapełniły postacie szlachetków podobnych do dobrze znanej każdemu kmicicowej kompanii z „Potopu” Henryka Sienkiewicza. Wszystko, co tylko znalazło się w „Warchołach i pijanicach”, napisane zostało zaś ku przestrodze, lecz przede wszystkim ku nauce i pamięci tych dawnych, lecz jakże wspaniałych czasów.

Świat warchołów

Jak już wspominaliśmy, dawny polski szlachcic zawsze musiał postawić na swoim. Obronić włości przed zakusami sąsiadów, a w razie potrzeby sięgnąć do boku, po rękojeść karabeli. Ustanowione w Rzeczypospolitej prawo łamano w XVII wieku dość często. Panowie bracia potrafili nie raz posieć się w karczmie, poszczerbić łeb znieawidzonemu rębajle, uczynić tumult na sejmiku, a żywot każdego szlachcica obfitował zwykle w pojedynki. Wśród panów braci żyło zresztą wielu warchołów i rębajłów, wielu znanych ze złej sławy infamisów, których zbrodnie pozostawały bezkarne. Jak powiadano bowiem w tamtych czasach: „prawo polskie jest jak pajęczyna – bąk się przebijie, a na muchę wina”.

Ma się rozumieć, że szlachta polska bywała często w sądach. Bo wszak żaden, absolutnie żaden, z Sarmatów nie mógł przepuścić krewkiemu sąsiadowi, który podorywał mu miedzę, nie mógł nie wziąć udziału w zwadzie, bójce czy rąbaninie. Rzecz jasna, owocem tego bywały

najczęściej rozprawy sądowe, zajazdy, potyczki i waśnie. Ale nawet i bez nich życie w XVII wieku mogło okazać się nadzwyczaj niebezpieczne. Żywot ludzki bywał znacznie tańszy niż dzisiaj, a śmierć powszedniejsza. Przelana krew nie wstrząsała niczym sumieniem. Na jarmarkach, zjazdach czy biesiadach bardzo łatwo można było zasłużyć sobie na cięcie szablą czy też cios czekanem. Drogi i trakty bywały niebezpieczne i nikt ze szlachty nie ruszał się z domu bez szabli. Na Ukrainie grasowały watahy Kozaków i Tatarów. W Bieszczadach rabowali Besidnicy i Tołhaje, a w niektórych stronach Rzeczypospolitej zabójstwo uchodziło za dużo mniejszy grzech, niż na przykład nieprzestrzeganie postów. Po miastach kręciło się zwykle wiele hultajstwa, a zwykłym widokiem był kołyszający się na wietrze wisielec czy umierający na palu Kozak.

Starostowie

Porządku w Rzeczypospolitej pilnowali starostowie grodowi zwani też jurystycznymi. Starostwo obejmowało zwykle pewną część województwa lub ziemi i składało się z jednego lub kilku powiatów. Starosta miał obowiązek ścigać wszystkich przestępców i egzekwować wyroki sądowe na szlachcie. Starosta utrzymywał zawsze oddział zbrojnych sług, zwanych pachółkami starościńskimi lub milicją starościńską, bardzo często też miał na podorędziu kilku doświadczonych rębajłów.

Starostowie jednak rzadko przebywali w swoim powiecie, rzadko sami uganiaли się po bezdrożach za hultajami. Na co dzień każdy z nich wyręczał się swoim zastępcą, zwanym podstarościem lub burgrabią. To właśnie ów szlachcic, najczęściej wywodzący się z ubogiej gołoty, był ramieniem sprawiedliwości w powiecie. Podstarości musiał dbać o prawo i porządek, na czele kilkunastu sług wyruszać na infamisów i hultajów, czasami nawet w środku nocy, staczać prawdziwe potyczki ze swawolnikami, Kozakami i grasantami, szturmować dwory i zamczki. Burgrabią czuwał też nad więzieniem starościńskim, którym zwykle była wieża w murach miejskich, w grodzie będącym stolicą starostwa lub też basztą na zamku starosty.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tej ponurej budowli. Wieża, w której więziło się przestępców, posiadała dwa poziomy. W tzw. „wieży górnej” starosta trzymał szlachtę. W „wieży dolnej”, gdzie panowały znacznie gorsze warunki, zamykane było pospólstwo lub najwięksi hultaje i infamisi spośród panów braci. Tam też przetrzymywano szlachciców oskarżonych o najcięższe przestępstwa. Wieża dolna była bowiem naprawdę ciężkim więzieniem. Czytając stare księgi sądowe, zdziwić się można czasem nad niskimi wyrokami, które otrzymywali panowie bracia za zabójstwa czy zajazdy. Lecz już rok spędzony w tak strasznych warunkach, jakie panowały w dolnej wieży, w wilgoci i brudzie, zrujnować mógł

zdrowie więźnia, który wychodził z podziemia po odbyciu kary okaleczony na całe życie.

Starostowie opierali swoją władzę na szablach i rusznicach czeladzi, zbrojnych sługach i klientach. Zajazdy ich nie różniły się niczym od tych, których dokonywali swawolnicy i hultaje, poza tym oczywiście, iż dokonywane były w majestacie prawa. Czasami zdarzało się, że sami jurystycy oskarżani bywali o gwałty i rozboje. Było tak choćby ze starostą przemyskim Kmitą, którego znano z licznych występków. Inni działali w sposób nie lepszy od swoich przeciwników. Cieszący się poważaniem starosta Marcin Krasicki wykonywał egzekucje w sposób, którego nie powstydziliby się sam osławiony Diabeł Łańcucki. „O północy nastął na mój dwór w Rolowie sługi swe, a z nimi Tatarów: Hassana, Sołumacha, Duraja i innych około siedemdziesięciu ludzi, którzy z okrzykiem tatarskim i strzelaniem w drzwi, dworu dobywać poczęli, ostatek siekierami wyrąbali, Zielińskiego obuchami zbili, tylko w bieliźnie na koń wsadzili i nogi pod konia powrozami związali, wszystek sprzęt i ochędóstwo jego zabrali, a potem nocą, nie drogą, ale manowcami do Długiej Wsi zawieźli, nazajutrz przez Sambor prowadzili a stamtąd do Brześcian zawiedli, gdzie Zieliński przy pomocy rodzonego brata uszedł...” – czytamy w jednej z protestacji przeciw niemu.

Sądy

W dawnej Polsce istniało kilka rodzajów sądów. Szlachta miała zwykle do czynienia z sądem grodzkim, który rezydował w każdym mieście powiatowym, tzw. grodzie, gdzie był urząd starościński. Sąd taki rozpatrywał wszystkie sprawy karne – o zabójstwo, gwałt czy rozbój, a także przelanie krwi, a zatem na przykład pobicie. Sądy grodzkie prowadziły własne księgi, zwane grodzkimi, do których wpisywano wszystkie protestacje, manifestacje i pozwy, a także wyroki, częściowo także wszelkie zatwierdzenia zmiany statusu prawnego ziemi szlacheckiej w danym powiecie. Sądy grodzkie zbierały się zwykle co 6 tygodni, na tzw. rokach grodzkich. Składały się one zwykle z trzech osób: starosty, sędziego i pisarza.

Drugim z kolei rodzajem sądów, tym razem w sprawach cywilnych, a zatem zwykle rozpatrujących sprawy związane z ziemią, na przykład długami, spadkami itp., był sąd ziemski, składający się z sędziego, pisarza i podsędka, wybieranych przez szlachtę na sejmikach. Sądowi ziemskiemu podlegały księgi ziemskie, w których zapisywano wszystkie dekryty i zmiany w posiadaniu ziemi na terenie danego powiatu.

Od wyroków sądów grodzkich lub ziemskich każdy warchoł zawsze mógł odwołać się do Trybunałów. Istniały w Rzeczypospolitej aż trzy: Trybunał Wielkopolski – rezydujący w Piotrkowie, Trybunał Małopolski – w Lublinie i Trybunał Litewski – odbywający posiedzenia kolejno w Wilnie, Nowogródku i Mińsku. Każdy Trybunał składał się zwykle z 27

przedstawiciele szlachty, wybieranych na sejmikach, 6 duchownych i marszałka. Od wyroków tych sądów apelować można było tylko i wyłącznie do sądu sejmowego – odprawianego pod przewodnictwem króla, a składającego się ze wszystkich posłów i senatorów. Sąd sejmowy sądził jednak tylko największe ze zbrodni – zwykle zdradę stanu.

Poza Trybunałami istniał jeszcze sąd referendarski – rozstrzygający spory pomiędzy szlachtą a dzierżawcami królewszczyzn, czyli dóbr pozostających w ręku króla.

Prawo ziemskie

Prawo ziemskie, którym posługiwały się sądy i którego strzegli starostowie, nie zostało nigdy w pełni skodyfikowane. Wymiar kar orzekanych przez sądy zależał zaś od pochodzenia społecznego, a także od faktu, czy sprawcę schwytano na gorącym uczynku, czy też dopiero po 48 godzinach od popełnienia przestępstwa. Należy też pamiętać, iż żaden szlachcic nie mógł być uwięziony bez wyroku sądowego, chyba że został schwytany *in recenti*, tzn. w trakcie lub tuż po popełnieniu przestępstwa. Natomiast bez wyroku sądowego starosta mógł uwięzić każdego szlachcica-hołotę, nie posiadającego ziemi.

Za zabójstwo szlachcica szablą orzekało się zwykle karę roku i sześciu niedziel w więzy, a także karę pieniężną, tzw. główszczyznę, wypłacaną rodzinie zabitego, w wysokości 300 grzywien. Rzecz jasna, tak drogo wyceniano jedynie głowy Sarmatów. Chłopskie szacowane były najwyżej na 30, a mieszczańskie na 100-120 grzywien. Daleko ciężiej przychodziło odpokutować za ustrzelenie szlachetnie urodzonego z rusznicy lub rozplątanie czekanem – zwykle bowiem należało wówczas odsiadywać przez 2 lata i 12 niedziel oraz zapłacić grzywnę dwukrotnie wyższą niż w przypadku zabójstwa popełnionego szablą. Jeśli zabójca pochwycony był na miejscu zbrodni lub zabił drugiego pana brata umyślnie i z zimną krwią, a nie na przykład w wyniku zwady czy pojedynku, mógł zostać skazany na karę śmierci, czyli ścięcie.

Za pojedynek, który zakazany jest na mocy konstytucji z 1588 roku, każdy z panów braci odsiedzieć musiał pół roku w więzy i zapłacić 60 grzywien kary. Za rozbój, nawet dla szlachty, przewidywana była kara śmierci, dodatkowo zaś nikczemników czekały atrakcje, takie jak łamanie kołem, a pospólstwo – wbicie na pal. Za napad lub zbrojny zajazd na dom szlachecki otrzymać można było karę śmierci lub też – zaocznie – infamię albo banicję.

Infamie i banicje

Skoro jesteśmy już przy obu nowych terminach, warto wyjaśnić, co one znaczą. Otóż każdy

szlachcic, który popełnił jedno z cięższych przestępstw, a więc gwałt, rozbój, umyślne zabójstwo, podpalenie czy zajazd i otrzymał pozew do sądu, a nie stawił się na rozprawę, otrzymywał wyrok zaoczny – banicję lub infamię. Pierwszy z owych terminów oznaczał wygnanie z kraju: obowiązek opuszczenia Rzeczypospolitej pod karą śmierci, jednakże bez utraty praw. Starosta grodowy, który schwytał banitę, mógł ściąć go tylko za pozwoleniem sądu.

Jeszcze gorszą, wydawaną zaocznie karą była infamia. Ona także oznaczała obowiązek opuszczenia kraju pod groźbą śmierci, jednakże szlachcic, na którym ciążyła, wyjęty zostawał spod prawa. Infamisa każdy w Rzeczypospolitej mógł zabić bezkarnie, jeśli zaś jeden infamis ubił drugiego, po czym dostarczył jego głowę do grodu, miał szansę na zmazanie swoich win i przywrócenie do czci.

Infamia oznaczała zatem po prostu usunięcie ze społeczności szlacheckiej. Każdy, kto w jakikolwiek sposób pomógł infamisowi, użyczył mu choćby wody, sam również mógł zostać obłożony infamię. W dodatku zabójca infamisa, poza całkowitą bezkarnością, otrzymać mógł za jego głowę nagrodę wynoszącą co najmniej 200 czerwonych złotych, a także połowę posiadłości skazanego.

Nazwiska infamisów i banitów obwoływali na rynkach miast, będących stolicami starostw, woźni lub słudzy starościńscy, stąd panów braci, na których ciążyła któraś z owych kondemnat nazywano często wywołańcami. Dość często stawali się oni ofiarami innych hultajów, którzy zabijali ich, obcinali im głowy, a potem okazywali je w grodzie i otrzymywali nagrodę.

Przygody woźnych

Poza podstarościm, w każdym starostwie grodowym działał zawsze nadzwyczaj przydatny urzędnik sądowy, zwany woźnym. Urzędnik ten był zwykle biednym szlachcicem, lub też zwykłym chłopem. Jednak za zabójstwo woźnego, choćby nawet wywodził się z plebsu, groziła taka sama kara, jak za zabicie szlachcica. Woźny spełniał w polskim sądownictwie dość pożyteczną, ale jakże niebezpieczną funkcję: dostarczał pozwy. Bowiem, gdy ktoś wszczynał spór z sąsiadem lub też starosta zamierzał wytoczyć komuś proces, musiał wysłać doń woźnego z pozwem na rozprawę. Rzecz jasna, mało kto, nawet dzisiaj, zadowolony jest z otrzymanego wezwania do sądu, nie należy zatem dziwić się, iż w trakcie wykonywania swego zawodu, woźny miał możliwość przeżycia wielu nieciekawych przygód. Mogło się więc zdarzyć, że rozwścieczony z powodu otrzymanego pozwu szlachcic kazał poszczuć go psami, obić kijem czy nawet utopić w worku. Zwykle zaś – zjeść pozew lub odszczekać jego treść spod ławy. Nic zatem dziwnego, iż woźny, aby pozostać przy swej powadze i dobrym zdrowiu, znał nadzwyczaj przemyślnie sposoby dostarczania pozwów. Chciał więc jak najszybciej dostać się do dworu lub

zamku upatrzonemu szlachcica, oddać mu pozew i zbiec, aby uchronić swoją skórę. Nie zawsze się to jednak udawało. I tak, na przykład, nadzwyczaj mało szczęścia miał woźny, który trafił w roku 1588 do dworu Jana Hynka w Dublinach w Ziemi Przemyskiej. Rozwścieczony szlachcic przyłożył mu bowiem sztych szabli do gardła, nakazał zjeść dopiero co przyniesiony pozew, później zaś wywłókł go końmi ze wsi. Inny z kolei szlachcic, Stanisław Bolestraszczyk, wlewał przemocą w gardło woźnego tak wielkie ilości wody z solą, że ów wyzionął ducha. W dość prosty sposób wyładował swój gniew po otrzymaniu pozwu niejaki Adrian Orzechowski spod Kalisza – po prostu przebił woźnego rapierem. Z kolei niejaki Jerzy Ostrowski, rozgniewany otrzymanym niespodziewanie pozvem, kazał służbie obić woźnego kijami, strzelał doń z pistoletu, aż wreszcie nakazał utopić w rzece, wołając: „Jużem wygrał, jużem wolnym, bom woźnego zabił!”.

Woźny nie służył jednak tylko i wyłącznie do dostarczania pozwów. Poza tym wszystkim odprawiał on także urzędowe wizje, oglądał pocięte w bójkach łby panów braci i taryfikował je według obowiązującej taksy, nadzorował wykonywanie wyroków, asystował przy przysięgach, obwoływał także, o czym już pisaliśmy, sprawców przestępstw. W czasie jego podróży asystowało mu zwykle dwóch szlachciców – często wywodzących się ze szlachty zaściankowej lub też zwykłej gołoty. I dlatego woźny nie raz zbierał guzy. Zapewne z powodu pochodzenia wielu mieszkańców Rzeczypospolitej nie považało zbyt tych urzędników. „Bijcie kijem woźnego i szlachtę, a wypchnijcie ich z ratusza! Wej, że wej! Łacno dostać za szóstak szlachcica!” – zawołał kiedyś ponoć wójt miasta Lwowa, niejaki Anczewski w czasie jednej z wojen, jakie miasto owo prowadziło ze szlachtą. Prawo ziemskie ustalało także duże kary na woźnych przekupnych i składających fałszywe oświadczenia. Zwykle urzędnik taki zostawał rzucony z urzędu, a na jego twarzy wypalano piętno.

Staropolskie zwady

Teraz, skoro wiemy już, jak wyglądał w dawnej Polsce wymiar sprawiedliwości, powiedzmy sobie nieco o sporach, jakie toczyła między sobą szlachta. Najbardziej rozpowszechnionym rodzajem zatargów, jaki dotykał prawie każdego szlachcica w Rzeczypospolitej i najczęściej spotykaną sytuacją, był oczywiście zatarg ze złym sąsiadem. A więc z kimś, kto złośliwie podorywał miedzę, wybierał miód z barci, strzelał w okna, obrzucał obelgami, zniesławiał, a często urządzał na dwór adwersarza zajazd na czele zbrojnych sług. Słowem – dawał wiele okazji do bitki. Cóż zatem można było uczynić z takim sąsiadem? Rzecz prosta – podać sprawę do sądu, mogła ona jednak wlec się latami. Najskuteczniejsze zatem wydawało się poproszenie o pomoc kilku krewnych, zaciągnięcie nieco czeladzi, a potem dochodzenie swego, jak to

powiadano, „prawem i lewem”, z pozwem w jednej, a szablą w drugiej ręce.

Wiele spośród sąsiedzkich sporów rodziło się w czasie biesiad, kiedy to podochocona szlachta wielce skłonna była do sięgania po szablę czy czekan. Zwykle kończyło się to bijatyką, a często zaś spaleniem gospody lub też po prostu pojedynkiem, który, jak już pisaliśmy, był zakazany.

Niewątpliwie jednymi z najciekawszych awantur z czasów Rzeczypospolitej były zwady i spory rodzinne. Śmierć majątnego wuja czy stryja, który w dodatku nie zostawił testamentu, stanowiła okazję do zajazdów, burd i rąbanin, w których każdy starał się wydrzeć choć część majątku po zmarłym. W przypadku niespodziewanej śmierci kogoś z rodziny, każdy z krewnych zaciągał nieco więcej czeladzi, fortyfikował dwór, a ledwie wstawiono trumnę do kościoła – jechał, aby uprzedzić innych członków rodziny i pierwszy wziąć w posiadanie należne mu włości. Rzecz jasna, można się było też procesować, sprawy sądowe jednak wlokły się latami, a zapadłe wyroki i tak każdy szlachcic egzekwował na własną rękę, nie prosząc o pomoc starosty.

W dawnej Polsce powszechną praktyką, usankcjonowaną zresztą prawnie, była odpowiedź, która oznaczała po prostu przesłanie wrogowi listu, w którym zapowiadało się rozpoczęcie zbrojnej akcji. Odpowiedzi rozpowszechnione były przede wszystkim w południowo-wschodniej części Rzeczypospolitej. Dość często w zwadach i wojnach domowych stosowano także zastawy. Były to po prostu wadia, czyli w pewnym sensie umowne kary, które nakładano na zwaśnione strony. W przypadku, gdyby któryś z przeciwników rozpoczął jako pierwszy wojnę, musiał zapłacić ustanowioną w zastawie sumę pieniędzy.

Zajazdy

Skoro jesteśmy już przy sąsiedzkich swarach i waśniach, warto powiedzieć nieco więcej o samych zajazdach. Zajazd oznaczał w dawnej Polsce po prostu napad na dwór znenawidzonej osoby, w którym brała udział czeladź, zbrojni słudzy lub zaciągnięci na tę okazję szlachcice. Zajazdy bywały różne, poczynając od drobnych, domowych utarczek, gdy kilku podpitych Mazurów z braku rozrywki podjeżdżało pod dwór nie lubianego zawalidrogi, aby postrzelać w okna, obić czeladź i obrzucić obelgami właściciela; skończywszy zaś na ogromnych wyprawach, w których brały udział oddziały regularnego wojska, rzesze sług i szlachty. Tak miało miejsce na przykład w roku 1646, gdy wojewoda kijowski Tyszkiewicz zebrał na znanego hultaja, Samuela Łaszczę, 12 tysięcy szlachty. Łaszcz jednak wcale nie bronił się, lecz uszedł z Ukrainy na zachód i zaszył się w jakimś kącie, aby spokojnie przeczekać awanturę.

Wszystkie zajazdy, czy małe czy duże, miały jedną wspólną cechę: przed ich urządzeniem pito wielkie ilości miodu, wina i gorzałki. Przed zajazdem bywało też, że szlachcic, który

wszczynał zbrojny konflikt przesyłał swemu wrogowi przez woźnego tzw. odpowiedź – czyli list, w którym zapowiadał, że wkrótce rozpocznie wojnę z adwersarzem.

Zajazdy były w dawnej Rzeczypospolitej zakazane prawnie. Za najechnie sąsiada bez wyroku sądowego, szlachcic mógł zostać ukarany na gardle lub otrzymać banicję czy infamię. Zajazd stanowił jednak także formę egzekucji prawa. Starosta miał prawo egzekwować w ten sposób wyroki sądowe, a w razie czego mógł nawet zwołać w tym celu szlachtę ze swego powiatu.

Rapty

Kolejnym, jakże często spotykanym w dawnej Rzeczypospolitej występkiem było porwanie panny, nazywane po staropolsku „raptem”. Rapt nie musiał być wcale gwałtem. Oznaczał po prostu zbrojne wyrwanie szlacheckiej córki spod opieki rodziców lub też naznaczonych jej prawem opiekunów. Bardzo często zdarzało się, że młoda niewiasta, nie chcąc pogodzić się z wolą swojej rodziny, skazującej ją na zamknięcie w klasztorze lub małżeństwo ze starcem, pozwala, by porwał ją ktoś młody i – co najważniejsze – kochany. Raptom sprzyjało postępowanie opiekunów szlacheckich panien – sierot. Bardzo często skazywali oni młode dziewczyny na klasztor lub małżeństwo ze starym dziadem po to tylko, aby zagarnąć ich posag lub majątek. Wielu hultajów, którzy zostali opiekunami osieroconych panien, nakazywało swoim podopiecznym złożyć śluby zakonne.

Sejmikowe rąbaniny

Poza zajazdami, raptami, sąsiedzkimi swarami czy też karczemnymi zwadami, nadzwyczaj sposobnym miejscem do wywołania bójki lub awantury były w dawnej Polsce szlacheckie sejmiki zbierające się w miastach – stolicach ziem i województw. Pierwszej okazji do zwady dostarczał już sam początek obrad. Gdy szlachta przyjeżdżała na sejmik do miasta, musiała przecież stawać w gospodach i zajazdach, a tych było zwykle mniej niż chętnych do noclegu. Potem awantura wybuchnąć mogła przy zagajaniu obrad, gdy panowie bracia zajmowali miejsca na ławach, a wśród utytułowanych trwały kłótnie o to, kto może usiąść przed kim i dlaczego. Sejmiki zwykle odbywały się w kościołach, nic zatem dziwnego, iż przed rozpoczęciem obrad ksiądz wynosił monstrancję, aby nie uległa sprofanowaniu w toku sejmikowania. W trakcie krzyżowania się opinii, nie raz dawały się słyszeć słowa: „łzesz jak pies!”, „ty psi synu!” czy „ty kpie!”, łajania od matek i inne obelgi, mogące stanowić wstęp do utraty uszu, nosów czy nawet

gardeł. Czasami bywało i tak, że awantura rozpoczynała się zaraz po zagajeniu obrad. „Po mszy świętej i po wyniesieniu sanctissimi do zakrystyi, zagał wojewoda brzeski sejmik. Zaraz tumult się zaczął”. – pisze we wspomnieniach Marcin Matuszewicz. Dość wesoło bywało także wówczas, gdy na sejmik przybyło kilku nie lubiących się wielkich warcholów.

Do najniebezpieczniejszych czynności w trakcie sejmiku należało niewątpliwie zerwanie jego posiedzenia poprzez wykrzyknięcie sakramentalnego słowa: veto! W dawnej Rzeczypospolitej łatwiej zawetować było jednak sejm wielki, niż sejmik, bowiem na tym ostatnim rozwścieczona szlachta gotowa była rozsiekąć zrywającego, zanim zdołał wnieść pisemną protestację od takiego postępowania.

Robójnicy

Kolejnym, praktykowanym w południowo-wschodnich i wschodnich stronach Rzeczypospolitej występkiem, w którym spory udział mieli panowie bracia, był robój. Pomimo, iż za napad na drodze groziły srogie kary – od ścięcia do pała włącznie – wiele drobnej, robójniczej szlachty z Rusi Czerwonej lub też pogranicza litewsko-moskiewskiego żyło jak prawdziwi rycerze – z tego, co zdobyło szablą na spaśnych kupcach lub swoich sąsiadach. Najwięcej robójników było na Rusi Czerwonej, gdzie na gościńcach pod Przemysłem grasowali bracia Rosińscy. Znanym robójnikiem był niejaki Konstanty Komarnicki, który zebrał w 1605 roku sporą gromadę sabatów i drobnej, robójniczej szlachty z gór przemyskich, aby napadać na kupców. Podobnie czynił później Wojciech Żebrowski – nieosiadły szlachcic, przewodzący grupie robójników zwanych beskidnikami, czy Andrzej Górski lub też nieznany z nazwiska grasant, zwany Sałatą, ścięty we Lwowie w 1614 roku.

Tyle jednak można powiedzieć jedynie o Rusi Czerwonej, Ziemi Sanockiej i Przemyskiej, a także Ukrainie i pograniczu polsko-moskiewskim. W pozostałych rejonach Rzeczypospolitej panował zwykle spokój, a przypadki rozboju były nadzwyczaj rzadkie. Zresztą nawet na południu wszyscy wielcy robójnicy i grasanci kończyli prędzej czy później na katowskich pniakach, palach lub szubienicach.

Konfederacje wojskowe

Niepłatne wojsko było w XVII wieku prawdziwą plagą Litwy i Korony. Bowiem gdy Rzeczpospolita zalegała z wypłatą żołdu dla swoich oddziałów, panowie towarzysze z chorągwi kwarcianych lub później komputowych, wypowiadali służbę hetmanom i zawiązywali związki,

zwane konfederacjami. Następnie ruszali w głąb kraju, paląc i łupiąc, czyniąc gwałty i swawoleństwa. Niejednokrotnie zdarzało się, że własny żołnierz potrafił złupić Rzeczpospolitą daleko bardziej niż jej nieprzyjaciele: Szwedzi, czy też Moskwa, albo Tatarzy.

Konfederaci gościli nader często w wielkich miastach. Na początku XVII wieku kilkakrotnie odwiedzali Warszawę. Stolica była przecież bardzo bogata, dlatego też często można było dokonywać rzeczy najmilszej dla skonfederowanego żołnierstwa: nakładania na mieszkańców kontrybucji. A przed zapłaceniem haraczu nie mógł nigdy uchylić się pobożny mieszczanin czy chłopek. Gdy konfederaci ustanowili swoje porządki, musiał dać zawsze tyle, ile było mu wyznaczone. Jeśli nawet nie miał tylu pieniędzy, ile było potrzeba, gotów był oddać ostatni swój przydziewek, dom i buty, a nawet żonę. Każdy bowiem wiedział, że skonfederowani żołnierze, którzy rekrutowali się zwykle z drobnej, zaściankowej szlachty, spośród najgorszych hultajów, pijanic i warchołów, nie mieli ani litości, ani miłosierdzia.

W historii Rzeczypospolitej zapisały się krwawo przede wszystkim trzy konfederacje żołnierskie. Konfederacja rohaczewska z lat 1612-1614; konfederacja zwana Związkiem Święconym z roku 1661 oraz konfederacja wojska koronnego i litewskiego z roku 1696. Najgorsze jednak wspomnienia pozostawili po sobie żołnierze z konfederacji rohaczewskiej, którzy rozeszli się szeroko po kraju, palili, łupili i grabili w całej Litwie i Koronie. W Warszawie, gdzie obradował wówczas sejm mający zająć się zlikwidowaniem konfederacji, żołnierze polscy mieli jak u Pana Boga za piecem. Nikt ich nie zaczepiał, nikt, nawet królewski dwór, nie przeszkadzał im w ściąganiu kontrybucji od mieszczan. Panowie towarzysze pozajmowali wszystkie gospody, wyrzucając z nich miejskich łyków i mazowiecką szlachtę-gołotę, pili, bawili się, klócili. W karczmach i na ulicach miasta wybuchały bójki i zwady, lała się krew.

Mieszczanie barykadowali się w domach, niewiasty kryły przed swawolnikami. „Mieliśmy wielką wolność na tym sejmie – pisał o swoim pobycie w stolicy Samuel Maskiewicz, jeden ze skonfederowanych żołnierzy – w nocy, o północy, zbroić co, posiec, zabić wolno. Warty idą mimo, a nasi co takowego zrobią, nie rzekną nic, jakby nie widzieli”.

Królewski dwór i senatorowie bali się bardzo skonfederowanych żołnierzy, nie zwracali też uwagi na liczne awantury, na czyny dokonane pod bokiem króla i sejmu, nie grozili infamią i banicją. „Zabili nasi drabanta (strażnika) królewskiego – pisze Maskiewicz – ale nie wykonali egzekucji, choć to pod sejm i pod bokiem królewskim. Sami z ugodą nas szukali, by się cokolwiek dało względem Boga. (Za zabitego hajduka) dano złotych 80”.

Sprawcami wielu ekscesów stawała się też niekarna czeladź wojskowa. Gdy w roku 1656 wojska polsko-litewskie zdobywały Warszawę, to choć król Jan Kazimierz obiecał pacholkom, chłopom i służbie nagrodę, nieprzeliczone tłumy rzuciły się do rabowania mieszczan. Hetmana polnego Wincentego Gosiewskiego, który usiłował powstrzymać rozzuchwaloną czeladź, rzucono z konia. Hetman polny koronny Stanisław Lanckoroński, który zaciął nahajką kilku

atakujących „o mało nie został świętym Szczepanem, bo poleciały za nim obuchy i kamienie”. Z kolei pod regimentarzem Stefanem Czarnieckim zabito konia. Zaraz po tym dragoni i piechota królewska otworzyli ogień do nieprzebranych tłumów. Dopiero interwencja obu wielkich hetmanów: koronnego – Stanisława Rewery Potockiego i litewskiego – Jana Pawła Sapiehy uspokoiła ochotników. Hetmani obiecali czeladzi nagrodę, jednak ogromna tłuszcza rzuciła się do pałacu Bogusława Leszczyńskiego, gdzie przebywał król, domagając się wypłaty pieniędzy. Jednak choć Jan Kazimierz obiecywał im 40 tysięcy złotych, „jakiś niecnota do uspokojenia podał niecnotliwą radę płacić sobie towarami ormiańskimi”. Wielkie tłumy czeladzi rzuciły się wówczas w stronę Leszna i zrabowały wówczas wielki bazar ormiański „kilkadziesiąt Ormian w koszulach ich prawie ostawiwszy”. Jak pisał później Jakub Łoś: „uczyniono wówczas Ormianom szkody na 200 tysięcy złotych”. Rozjuszoną czeladź, której liczbę oceniano wówczas na 20 tysięcy ludzi, uspokoiła ostatecznie dopiero interwencja kilku chorągwi koronnych i gwardii królewskiej Butlera.

Teraz będą portrety i szkice. Portrety wielkich warcholów, awanturników i hultajów, szkice małych, drobnych zawalidrogów i pijanic. Przyznaję, że pisząc tę książkę, nie układałem materiału według prawideł chronologicznych, lecz według ponurej sławy zaprezentowanych dalej postaci. Pierwszą z nich jest zatem Stanisław Stadnicki, zwany Diabłem Łańcuckim, znany szeroko dzięki swoim gwałtom, grabieżom i licznym złym uczynom. Później zaznajomimy się ze złymi uczynkami całej rodziny Stadnickich – z panią Stadnicką i jej synami, znanymi pod mianem Diabłat. Następnie ułożyłem w kolejności wszystkich znanych warcholów i pijanic, począwszy od wielkich i możnych, a skończywszy na drobnych, zaściankowych zbójach z przemyskich gościńców.

Fig. 38.

Stanisław Stadnicki (Dyabeł Łąncucki.) Według portretu w Muzeum Lubomirskich.

DIABEL ŁAŃCUCKI

Miłe złego początki

Stanisław Stadnicki z Łańcuta, zwany „Diabłem Łańcuckim”, zapisał się czarną kartą w dziejach szlacheckiej Rzeczypospolitej. Rejestr gwałtów i pospolitych przestępstw, jakich dopuszczał się ów pan na Łańcucie, starosta zygwulski i sprzymierzeniec czarta, budzi mimowolny dreszcz. Dla mieszkańców Ziemi Przemyskiej na początku XVII stulecia był wcielonym biesem, okrutnikiem, nie znającym umiaru w zadawaniu cierpienia. I dodać trzeba przy tym, że pan z Łańcuta, największy chyba hultaj i warchoł dawnej Rzeczypospolitej, pozował na prawdziwego diabła, a w jego czynach znać wielki rozmach i fantazję. Gdy Stadnicki miał zagarnąć włości kogoś spośród szlachty, posyłał do niego wyzwania i odpowiedzi. Gdy chciał zajechać czyjś dwór, wypuszczał w jego wrota czarną strzałę, na widok której bledli nawet najwięksi rębajłowie i swawolnicy, a która była zapowiedzią, że wznaczonym w ten sposób miejscu stanie wkrótce sam pan łańcucki. Stadnicki już za życia stał się legendą. W XVIII wieku powiadano o nim, że zaprzedał duszę czartu. Jan Jabłonowski stwierdza w swoim pamiętniku, że „Stadnicki miał charaktery jakieś i diabelskie inkluzy”. Jednak pan z Łańcuta oficjalnie nie uważał się, oczywiście, za sprzymierzeńca diabła. „Mnie diabłem zowią tylko skurwysynowie, a od takich ja zelżon być nie mogę” – napisał kiedyś w liście do Hieronima Jazłowieckiego. Jednak właśnie w tamtych właśnie czasach powstało najlepsze chyba świadectwo okrucieństwa i gniewu Stadnickiego – pieśń antyrokoszańska, śpiewana ponoć nawet po kościołach:

*Boże z nieba wysokiego
Twórco świata szerokiego
Racz się nad nami zmiłować
A ten gniew swój pohamować
Stadnicki, Diabeł wcielony
Puścił głosy na wsze strony,
Że Pana z królestwa zrzuci
Krążąc, ryczy, bałamuci...*

Stadnicki przekroczył w ciągu swego życia wszystkie normy zachowania, jakie dopuszczała nawet najbardziej warcholska szlachta w XVII wieku. Bił i płakał, zajeżdżał sąsiada, aby potem złożyć na niego protestację w grodzie, łamał prawo, a później w cyniczny sposób się nim

zasłaniał. I jego postępowanie przyniosło w końcu krwawe owoce. Nie tylko bowiem skończył, rozsiekany przez sługi starosty leżajskiego Łukasza Opalińskiego, lecz piętno zbrodni i swawoli spoczęło na całej jego rodzinie. Wszyscy jego potomkowie, cała niemal łańcucka linia Stadnickich, począwszy od synów starego Diabła, a skończywszy na jego wnukach, zginęła pod toporem kata. Po śmierci bowiem pana łańcuckiego, najpierw jego synowie, a potem żona rozpoczęli walkę o spadek... Piętno zła odcisnęło się na losach tego rodu aż do końca jego dni...

Stanisław Stadnicki urodził się najprawdopodobniej w roku 1550 lub 1551 w Dubiecku. Pochodził z zamożnej, małopolskiej rodziny szlacheckiej. Ojciec Stanisława – Stanisław Mateusz był zaciętym zwolennikiem luteranizmu, skłóconym z władzami Kościoła katolickiego. Jego żoną była Barbara Zborowska, siostra sławnego banity i hultaja Samuela Zborowskiego, którego postać opisana została w dalszej części tej książki. Stanisław Mateusz zaciekle bronił reformacji, a księża uważali jego zamek w Niedźwiedzicy w województwie krakowskim za prawdziwą heretycką twierdzę. Po narodzinach pierwszego syna Stanisław począł szerzyć reformację w Ziemi Przemyskiej, udzielił także schronienia dwóm księżom wyklętym przez kler katolicki: Jerzemu Tobołce i Andrzejowi z Dynowa. Stanisław Mateusz zaprowadził w Dubiecku nabożeństwa luterskie z liturgią w języku polskim. A za to właśnie biskup Dziaduski obłożył Stadnickiego klątwą i ekskomuniką. Sąd duchowny z kolei pozbawił pana Mateusza wszystkich dóbr i dostojęństw. Ów jednak niewiele robił sobie z całej awantury. Przeciwnie – szybko upomnieli się o niego inni szlachcice, którym nie w smak było panoszenie się kleru. Już w roku 1552 na sejmiku w Wiszni doszło do awantur i hałasów panów braci upominających się o Stadnickiego. Wnet szlachta próbowała doprowadzić do pojednania Mateusza z władzami duchownymi. W wyniku zabiegów panów braci Stadnicki zawarł najprawdopodobniej ugodę z Dziaduskim, uzyskał zdjęcie klątwy i absolucję.

Myliłby się jednak ten, kto myślałby, iż spokój potrwa teraz długo. Już w dwa lata później Stadnicki przedsięwziął dalsze kroki przeciwko katolikom. Najpierw przemocą zajął kościół w Dubiecku, wygnał zeń księży, potem zaś wprowadził do niego znanego zwolennika luterskich nauk – Wojciecha z Itzy. Stadnicki dopuścił się przy tym rzeczy, które przejęły zgrozą księży. Jak powiadano, w trakcie zajazdu Mateusz rozbił siekierą cyborium, sprofanował eucharystię, powyrzucił obrazy Matki Boskiej i świętych. Spowodowało to oczywiście kolejną ekskomunikę, którą jednak Stadnicki nie przejął się wcale i nie słyszał już od tej pory, żeby czynił jakiegokolwiek starania, aby powrócić na łono Kościoła katolickiego. Wprost przeciwnie – protestant Stadnicki, który wprowadził kazania w języku polskim, założył szybko w Dubiecku szkołę dla szlacheckiej młodzieży. Wkrótce przeszedł też z luteranizmu na kalwinizm i sprowadził do Dubiecka Franciszka Stakara, znanego głosiciela tej wiary.

Stanisław Mateusz Stadnicki zmarł w roku 1563, pozostawiając po sobie jedną córkę Katarzynę i siedmiu synów: Stanisława, Marcina, Jana, Samuela, Andrzeja, Piotra i Mikołaja.

Stanisław, który zasłynął w przyszłości jako „Diabeł Łańcucki”, był najstarszym spośród dzieci Mateusza i otrzymał w spadku kilka wsi w Ziemi Przemyskiej: Nienadowę, Szklary, Tarnawę, Piątkowę i Iskań. Wkrótce jednak, po bezpotomnej śmierci dwóch braci – Mikołaja i Samuela, uzyskał nowe włości.

O życiu Stanisława Stadnickiego w latach jego młodości wiadomo dziś zgoła niewiele. Z listów, które pisał, widać, iż bez wątpienia nie był to pospolity szlachetka, jakich wielu żyło wówczas w Rzeczypospolitej. Przyszły Diabeł Łańcucki odebrał zapewne staranne wykształcenie, choć wątpić należy, by wyjeżdżał na studia poza Rzeczpospolitą. Młodemu Stadnickiemu nie brakowało jednak odwagi. Już w roku 1573 zajechał zbrojnie majątności Zofii ze Sprowy Kostrzyny, zagarnął jej lasy, gdzie wyrąbywał drzewa i kazał dostarczać je do Dubiecka. Gdy zaś w Przeworsku uwięziono jednego z ludzi Stadnickiego – Stanisława Ilkę, bohater nasz napadł na miasto, wysadził bramę petardą i wydobył z więzienia na ratuszu swego sługę, ratując go w ten sposób przed toporem kata.

Pierwsze zajazdy i awantury wzniecane przez późniejszego Diabła, nie zaniepokoiły jeszcze nikogo. Wszak jak powiadano w XVII wieku „zajazd i najnotliwyszemu zdarzyć się może”, a krwawe najazdy i porachunki uważano przecież za drobne, zwykłe, „domowe” sprawy szlachty polskiej. W dodatku młody, postawny i przystojny Stanisław zasłynął wkrótce jako dzielny żołnierz. Najpierw u boku króla Stefana Batorego, który wyruszył na wielką wyprawę przeciwko zbuntowanemu Gdańskowi. Stadnicki dostał wówczas od króla list przypowiedni na chorągiew kozacką w sile 50 koni. Pan Stanisław zasłużył się bardzo dla Rzeczypospolitej. W roku 1577 w trakcie harców z Niemcami pod zbuntowanym miastem, zabito pod nim konia i samego o mało nie zasieczono.

W 1578 roku Stadnicki wrócił z wojny i od razu dał poznać się jako gorliwy obrońca luteranizmu. Gdy bowiem w Krakowie doszło do rozruchów studenckich wymierzonych przeciwko innowiercom, i plebs uderzył na uczestników pogrzebu luteranki, Stadnicki wpadł do Krakowa ze swoimi ludźmi, uśmierzył tumult „studenty, żaki po ulicach bijąc” – napisał o nim Łukasz Działyński. Już wkrótce po tych wypadkach, Stadnicki wyruszył na wielką wyprawę wojenną Stefana Batorego przeciwko Moskwie. Na czele swojej chorągwi brał udział we wszystkich walkach z wojskami Iwana Groźnego. Największe dowody szaleńczego wprost męstwa dał zaś w trakcie oblężenia Pskowa. 8 września 1581 roku w trakcie jednego ze szturmów, Stadnicki kazał spieszyć się swoim żołnierzom i ruszył jako pierwszy do ataku. Stadnicki i późniejszy hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski spisali ponoć przed tym bojem testamenty i przywdziali śmiertelne koszule. Pan Stanisław Stadnicki „byłby poległ, ale uratowali go trzej towarzysze”. W trakcie ataku Stadnicki uratował życie niejakiemu Podgórskiemu, który pierwszy wdarł się na wały i o mało nie zginął, otoczony przez nieprzyjaciół.

Inne dowody męstwa dał nasz bohater w bitwie pod Toropcem, kiedy to uratował starostę śniatyńskiego Mikołaja Jazłowieckiego, obskoczonego przez Tatarów. „Gdy obaczył Tata-rzyna, który czyniąc z Mikołajem Jazłowieckim, starostą śniatyńskim, któremu był silen i broń wyciął, ochotnie skoczył, Jazłowieckiemu dał pomoc, Tatarzyna zabił (...) drugiego pohańca koncerzem przebił... Skoczyli na niego dwaj mężowie dobrzy, poczęli go kiścieniami przykładać, aż mu broń z ręki wypadła. Odratowan od jednego Węgrzyna” – napisał o Stadnickim Bartosz Paprocki w swoim herbarzu.

Odwaga i wojenne umiejętności sprawiły być może, że właśnie pod Pskowem, gdzie walczył u boku króla Stefana Batorego, otrzymał Stadnicki przydomek „Diabła”, bowiem z szaleńczą wprost brawurą zdobywał wraz ze swymi ludźmi moskiewskie szańce i ostróżki. Gdy skończyły się wojny batoriańskie, otrzymał za swoje zasługi tysiąc złotych rocznej dotacji od króla i leżące w Inflantach mało zagospodarowane starostwo zygwulskie, gdzie Stadnicki bodaj nigdy nie pojechał. I teraz właśnie zaczęły się wielkie niesnaski, bowiem Diabeł uznał, że otrzymał zbyt małą nagrodę. „Stadnicki jako wściekły się gniewa, za tysiąc florenów omal nie podziękował” – pisał o nim jeden z uczestników ceremonii, w trakcie której Jan Zamoyski rozdawał urzędy i wakanse. Stadnicki miał potem jeszcze jeden powód, aby czuć gniew do kanclerza. Zamoyski w roku 1584 stracił jego wuja – banitę Samuela Zborowskiego, który być może spiskował przeciwko królowi.

Niezadowolony z królewskiej łaski Stadnicki wrócił w rodzinne strony. Nie usiedział jednak długo na rodowych włościach. Już wkrótce wyprawił się na Węgry, aby wziąć udział w walkach z Turkami. Stanisław zasłużył się bardzo w walkach pod twierdzą Agra. „Mając trzydzieści kilka koni tam jechał pod zamek turecki. Wypadło nań Turków 60, do których Stadnicki tylko samodziwień skoczył, jednego kopią zabił, drugiego z rusznicy. Turcy się zaraz wsparli, za którymi Stadnicki z onymi tylko ośmiu sług wpadł aż w miasto” – pisał o nim Bartosz Paprocki.

Stadnicki nie zabawił zbyt długo na Węgrzech. Wkrótce po opisywanych wydarzeniach wrócił do kraju i tu rozpoczął swoją hultajską działalność. Najpierw w roku 1587, gdy po śmierci Stefana Batorego rozgorzała w Rzeczypospolitej walka stronnictw politycznych, opowiedział się przeciwko Zygmunтови III Wazie, poparł zaś austriackiego arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Stadnicki wspierał czynnie stronnictwo prohabsburskie, do którego należał także brat banity Samuela Zborowskiego – Krzysztof. Diabeł na czele swoich prywatnych chorągwi 24 stycznia 1588 roku wziął udział w bitwie pod Byczyną. Stadnicki dowodził tutaj lewym skrzydłem wojsk Maksymiliana, uderzył też jako pierwszy na oddziały Zamoyskiego, gdy jednak kanclerza wspomógł Stanisław Żółkiewski, siły Diabła zostały złamane a on sam musiał uchodzić z pola bitwy. Po klęsce nie troszczył się już o losy arcyksięcia Maksymiliana, uszedł do Rzeczypospolitej i pomścił przegraną na swój sposób. Napotkawszy pod Iwanowicami wozy należące do Mikołaja Potockiego, stronnika Zygmunta III Wazy, rozbił je i złu-pił, zajechał także

włości starosty lubaczowskiego Jana Płazy, obrabował dwie wsie kasztelana oświęcimskiego Wojciecha Padniewskiego i zaszkodził poważnie dobrom wielu innych spokojnych obywateli województwa krakowskiego. Stadnicki wrócił potem do swego Łąncuta, który nabył w roku 1586 od Anny Pileckiej, żony Krzysztofa. Wrócił obciążony łupami i skarbami, rozsiadł się na Łąncucie i odtąd właśnie datuje się początek jego hultajskiej działalności. Już wkrótce też sąsiedzi poznali prawdziwe oblicze łańcuckiego pana. Stadnicki poślubił też Annę, córkę Sambora Ziemieckiego, szlachcica osiadłego na Ziemi Opolskiej i posiadającego cztery wsie. Bez wątplenia było to małżeństwo z miłości, bowiem za wyborem tym nie przemawiały majątkowości rodowe panny Anny. Pani Stadnicka okazała się w zupełności podobna charakterem do swego męża.

W Łąncucie czekały już na Stadnickiego pozwy na sąd królewski o zdradę stanu. On jednak nigdy nie został osądzony i do końca swego życia występował przeciwko królowi Zygmuntovi III Wazie.

Diabeł Łąncucki

Już wkrótce pan z Łąncuta zebrał wokół siebie kompanię gotowych na wszystko zabijaków, złożoną z banitów i wyjętych spod prawa hultajów. I zasłużył sobie na prawdziwe miano Diabła. Stadnicki zaczął bowiem wkrótce wojnę z Mikołajem Spytkiem Ligęzą, kasztelanem czechowskim. Za pierwszym wystąpieniem poszły wkrótce i następne. Pan z Łąncuta łupił szlachtę, dopuszczał się ogromnych okrucieństw. Przemienił szybko swą posiadłość w ponurą fortecę, przejmującą grozą każdego, kto tylko wspomniał jej nazwę. W lochach zamku trzymał wielu więźniów. Niektórych, jak na przykład lwowskiego mieszczanina Korniakta, więził dla okupu, innych zaś męczył i zabijał z czystej przyjemności. Gdy mu to wypominano, śmiał się tylko, a gniew jego bywał straszny. Stadnicki zrywał rozejmy, łamał pakt, kłamał, płakał, uciekał się do prawa, aby w chwilę później podeptać je z szyderczym uśmiechem na ustach. Brał udział w osławionym rokoszu Zebrzydowskiego. Przeciwnicy Zygmunta III Wazy pokładali w nim wielkie nadzieje, gdy wszakże ponosić poczęli pierwsze klęski, Diabeł zdradził rokoszan, umknął z obozu, zajechał włości swych niedawnych sprzymierzeńców, potem zaś drwił z nich jeszcze.

Bez wątplenia pierwszym zbrojnym konfliktem, w który zaangażował się Stadnicki, była wojna z Mikołajem Spytkiem Ligęzą. Na samym początku poszło o rzecz błąhą – a mianowicie o jarmarki. Corocznie bowiem w kwietniu, w pobliskim Jarosławiu i w Rzeszowie odbywały się targi, na które zjeżdżali się kupcy z Węgier i Rusi. Stadnicki postanowił przenieść je do Łąncuta. Przenieść – zmuszając do tego kupców siłą.

Z jarmarkiem w Jarosławiu sprawa była dość trudna. Targ ów bowiem miał światową markę i zjeżdżali się nań kupcy z Węgier i Niemiec. Jednak jarmark rzeszowski był mniej tłumny, mniej znaczący. I właśnie dlatego Stadnicki postanowił zacząć od niego.

Rzeszów należał do wspomnianego już kasztelana czechowskiego Mikołaja Spytka Ligęzy, możnego i sprawiedliwego pana. Jarmark zaczynał się w mieście 23 kwietnia. Na początku konfliktu Stadnicki ogłosił, że corocznie 25 kwietnia odbywać się będzie jarmark w Łańcucie. W roku 1600 poroższył na wszystkie strony świata swoje sługi z obwieszczeniami. Postanowił także skłonić kupców do przyjazdu do Łańcuta siłą. Ogłosił bowiem oficjalnie, iż zamierza 23 kwietnia dokonać zajazdu na Rzeszów Ligęzy, pobić ludzi, złupić sprzedawców i spustoszyć dobra kasztelana czechowskiego. Od pogroźek przeszedł szybko do czynów. Jego ludzie rozstawieni po gościńcach zawracali do Łańcuta wszystkich kupców zdążających do Rzeszowa. Ma się rozumieć, że takie praktyki nie spodobały się panu Ligęzie. Rozwścieczony i zdumiony zuchwałością Stadnickiego, potężny magnat zebrał szybko swoich ludzi i wyruszył na odsiecz uwięzionym w Łańcucie kupcom. Zebrawszy zatem znaczną kupę zbrojnych i uzyskawszy pomoc Stanisława Wapowskiego z Radochoniec, któremu Stadnicki złupił wcześniej Dynów, podszedł aż pod Łańcut. Tutaj doszło do prawdziwej, krwawej bitwy z ludźmi Diabła, przy czym do dziś nie wiadomo, kto zwyciężył. Zarówno bowiem Ligęza, jak i Stadnicki jednakowo żalą się w aktach grodzkich jeden na drugiego. Znając jednak charakter Diabła Łańcuckiego należy wątpić, aby był on stroną poszkodowaną.

Utarczki z Ligęzą zakończyły się szybko, ale Stadnicki uprzykrzał się kasztelanowi jeszcze przez kilka lat. Wreszcie w roku 1605 obydwaj adwersarze spotkali się na roczkach sądowych w Przemyślu. I wówczas Ligęza postanowił rozstrzygnąć ostatecznie całą sprawę. Zaatakował gospodę, w której stał Stadnicki. Diabeł nie dał się jednak zaskoczyć, walka przeniosła się szybko na most, padły dwa trupy, było kilku rannych. Stadnicki zaniechał jednak w latach późniejszych sporów z Ligęzą, zajął się bowiem innymi, znacznie ważniejszymi sprawami niż jarmarki w Rzeszowie.

Wszystko zaczęło się od Łańcuta. Stadnicki, zamieniając się z Anną Pilecką na dobra, otrzymał Łańcut, który obciążony był wielkimi długami. Pileccy pożyczali bowiem wielkie sumy od uszlachconych mieszczan lwowskich Korniaktów, a w zastaw ofiarowali im zamek w Łańcucie wraz z przyległymi włościami. Sam Stadnicki pożyczył także od Korniaktów 30 tysięcy złotych – sumę jak na owe czasy wprost ogromną. I stąd właśnie wziął się cały wielki konflikt, z którego Stadnicki wyszedł tym razem obronną ręką.

Wszystko zaczęło się w roku 1603. Według ugody z Korniaktami, Stadnicki miał oddać im jako gwarancję wypłaty Krzemienicę i Głuchów. Starosta zygwulski jednak tego nie uczynił, nie zwrócił również pożyczonych sum. Wprost przeciwnie, począł zajeżdzać wsie i dobra należące do najstarszego z Korniaktów – Konstantego, prowokując tym samym ród do zbrojnego

wystąpienia. Stadnicki nie byłby oczywiście sobą, gdyby nie wykorzystał wszystkich sposobności do zaszkodzenia wrogom. Diabeł pozanosił zatem do wszystkich grodów protestacje podające w wątpliwość szlachectwo Korniaktów, którzy nobilitowani zostali w XVI wieku. Za protestacjami poszły też zajazdy. Stadnicki złupił dwie wsie należące do przeciwników – Albigową i Kraczkową, a także folwark Wysokie, ograbił chłopów, spalił dwory. Korniaktowie natychmiast otoczyli się zbrojnymi strażami, ale nie dali sprowokować do otwartego wystąpienia. Pozwali jednak Stadnickiego przed Trybunał Lubelski. Rozprawa odbyła się w roku 1605 i – jak się można było spodziewać – zapadł wyrok niekorzystny dla Diabła. Stadnicki wyjechał zatem szybko z Lublina, wcześniej jednak wysłał obu braciom Korniaktom – Konstantemu i Aleksandrowi – odpowiedź:

„Ja Stanisław Stadnicki ze Żmigrodu na Łańcucie, starosta zygwulski – pisał – tobie Konstanty Korniakt oznajmuję to, że czyniąc dosyć prawu pospolitemu, posyłam ci odpowiedź przez dwóch szlachciców (...) iż ty, nie umiejąc uważać sobie stan zacny szlachecki polski, ważyłeś się tego, targnąć na honor mój, przeto się mnie strzeż na wszelakim miejscu: chodząc, śpiąc, jedząc, pijąc, w domu, w drodze, w kościele, w łaźni, bo się tej krzywdy na tobie mścić będę i da Pan Bóg na gardle twym usiędę. Dan w Lublinie die vigesima Mai 1605”.

Korniaktowie wiedzieli dobrze, kim był Stadnicki i co znaczyły takie słowa – aby podwoić strażę i siedzieć cicho w swoich własnych dobrach. Tymczasem jednak Stadnicki niespodziewanie sam wyciągnął ręce do zgody i zaproponował ugodę. Korniaktowie odetchnęli. Szybko wyznaczono miejsce rokowań i uczyniono rozejm. Przeciwnicy Stadnickiego rozpuścili zatem swoich ludzi. Konstanty Korniakt udał się do swej majątności Sośnicy, a Aleksander do Lwowa. Jak wkrótce się pokazało, był to krok zgoła nieprzemyślany...

Stadnicki tylko czekał na osłabienie Korniaktów. Jak błyskawica zebrał swoich ludzi, wśród których byli zarówno straszni węgierscy górale Szeklerzy, zwani w Rzeczypospolitej sabatami, hultaje wszelakiej maści i autoramentu, Kozacy, a nawet Wołosi, i niby piorun spadł na Sośnicę. Pan Stanisław wybrał się przeciwko Korniaktowi jak na wojenną wyprawę. Podzielił swoje wojsko na pułki i chorągwie, przydał im sztandary i, zaopatrzony w artylerię i tabory, pomaszerował do Sośnicy. Podszedłszy o świtaniu pod zameczek, Stadnicki zaatakował go zniemacka. Już po pierwszym szturmie jego ludzie wdarli się na mury, rozbili bramy, a potem rzucili się na rabunek. Sośnica była bardzo zamożną siedzibą szlachecką, a Korniaktowie przechowywali w niej nieprzebrane skarby. Wszystkie wpadły teraz w ręce Stadnickiego. Konstanty Korniakt twierdził, że pan łańcucki zdobył w jego zamku łup oceniany na 140 tysięcy złotych. Hajducy i sabaci Stadnickiego złupili i splądrowali wszystko, co tylko się dało. Kozacy i czeladź zdzierali kosztowne suknie z kobiet, wydzierali z uszu kolczyki. Starej Korniaktowej hajducy omal nie obcięli dwóch palców, na których miała kosztowne pierścienie.

Tymczasem Korniakt, wyskoczywszy z łóżka w samej koszuli, zabarykadował się w małej

izdebce, obawiając się, iż Stadnicki zechce pozbawić go życia. Oblężony przez hajduków i Kozaków, Korniakt bronił się do południa. Wytrzymał nawet wówczas, gdy oblegający zaczęli rzucać mu pod drzwi płonące kłaki słomy i strzelali w drzwi z działek. Wreszcie odkryto drugie wejście do izby, pojmano żywcem Konstantego. Stadnicki kazał teraz związać go, wsadzić na najnędnieszą ze szkap i wśród bicia bębnow i armatnich wystrzałów odprowadzić do Radymna, a potem osadzić w więzieniu na Łańcucie.

Stadnicki nie posiadał się ze szczęścia i radości. W Łańcucie urządził huczne zabawy i uczy, hojnie nagradzał swoich służących. Chcąc widać pokazać, że ma miłosierne serce, nakazał zwolnić z lochów czterdziestu więźniów. Straszny Diabeł obdarował ich życiem i wolnością! Samego Korniakta zaś obstawił strażą i hajdukami, po czym jął poddawać najróżniejszym torturom. Przede wszystkim przypominał mu bezustannie, iż lada chwila będzie stracony. Kilkakrotnie kazał wyprowadzać go, niby to na egzekucję, a potem oświadczał, że każn odłożono tylko do następnego dnia, a ludzie Diabła brali miarę na trumnę dla Korniakta. Stadnicki zadbał też o oprawę prawną swojej swawoli. Natychmiast wniósł protesty do akt grodzkich, twierdząc, że to wcale nie on, lecz jego porucznik, Wincenty Gumiński samowolnie złupił Sośnicę.

Tymczasem matka pojmanego Korniakta poruszyła niebo i ziemię, aby uratować syna. Najpierw porzysłała gońców do wszystkich krewnych i przyjaciół z prośbą o pomoc. Sam król wysłał do Łańcuta swego dworzanina Zygmunta Kazanowskiego, starostę kokenhauskiego, który oznajmił Stadnickiemu, iż ma uwolnić Korniakta. Król był jednak daleko i Stadnicki nic sobie nie robił z jego grózb. Dalej dręczył Korniakta, do czasu, aż ów się rozchorował. Wówczas Stadnicki począł skłaniać się do jego uwolnienia, pod warunkiem jednak, że Konstanty uwolni go od wszystkich długów. Korniakt przystał na to. Stadnicki zabrał zatem swego jeńca pod strażą do Sanoka. Wprawdzie wokół miasta mieszkało całe mrowie szlachty, która skoliigacona była, bądź zaprzyjaźniona z Korniaktami, a sam starosta sanocki nie cierpiał Stadnickiego, jednak przeciwko Diabłu nie podniosła się ani jedna szabla. Stadnicki bezpiecznie dostarczył jeńca do grodu. Tutaj Korniakt, w kajdanach i z szablą na gardle, skwitował Stanisława ze wszystkich długów. Darował mu ogromne należności obliczane na 47 tysięcy złotych. Korniakt musiał oświadczyć też, że między nim a panem łańcuckim „nie było nigdy żadnej krzywdy”. Potem Stadnicki wypuścił wymęczonego Korniakta na wolność.

Wypuszczony z więzienia Konstanty udał się do Lwowa. Bał się Stadnickiego, nigdzie nie czuł się bezpieczny, obawiając się, że w każdej chwili może dosięgnąć go zbrojne ramię Diabła. Wkrótce zresztą umarł jego brat Aleksander. Konstanty poczynił wówczas pewne kroki prawne. Wyjednał u króla zastaw i zamierzał pozwać Stadnickiego przed sąd. Starosta zygwułski dowiedział się o tym jednak, a ponieważ właśnie zbierał wojsko na wyprawę rokoszową, ruszył ze swymi ludźmi na Lwów. Wszedł szybko do miasta i w asyście zbrojnych zaszedł w odwiedziny do Konstantego. Ten przeraził się Diabła, wycofał wszystkie poczynione już kroki,

zgodził się na sąd kompromisarski i powtórnie skwitował Stadnickiego ze wszystkich długów.

Diabeł znów triumfował. W międzyczasie, jakby mimochodem, wszedł w posiadanie znacznej majątności – Wojutycz. Kolejną jego ofiarą była bowiem Jadwiga z Herburtów Drohojowska, wdowa po Janie Tomaszu, który zginął w zwadzie ze Stanisławem Stadnickim z Leska. Wcześniej jednak pożyczył 11 tysięcy złotych od Stadnickiego. Kto jak kto, ale Diabeł umiał upomnieć się swoje. Na wieść o śmierci Drohojowskiego, Stadnicki zajął zbrojnie Wojutycze, wyrzucił stamtąd wdowę i zrabował jej kosztowności.

Diabeł w rokosz

Tymczasem jednak nadszedł w Rzeczypospolitej czas rokoshu szlacheckiego przeciwko Zygmuntovi III Wazie. Stadnicki, rzecz jasna, nie opuścił takiej okazji do warcholenia. Jako pierwszy wystąpił przeciwko władcy, był najgłośniejszym orędownikiem walki z królem, najpierwszy ze wszystkich rokoshan parł do starcia, przyprowadził też ze sobą znaczne siły. Na pierwszy zjazd rokoshowy w Lublinie Stadnicki przywiódł 400 husarzy, 200 piechoty i 400 kozaków, wystawionych własnym sumptem. Diabeł stał się zatem jednym z głównych przywódców rokoshu, obok wojewody krakowskiego Mikołaja Zebrzydowskiego, księcia Janusza Radziwiłła, Jana Herburtu i Prokopa Pękostawskiego. „Oto zjeżdżam tutaj z całą czeladzią – wykrzykiwał na pierwszym wystąpieniu w kole rokoshan – której mam 400 husarzy, 400 piechoty, 200 kozaków, a płacę im nie ze skarbu Rzeczypospolitej, ani ze starostw, ale z ubożego mieszka ziemiańskiego. Nie mam zagonu żadnego nadanego przez króla, ani też wyproszonego, ale tylko krwią rodziców swych nabyte. By też do ostatniej koszuli, choćbym potomstwu swemu nie więcej i szeląga nawet nie ostawił, tym samym cieszyć się będę, gdy tych praw i wolności dochowam, którychem z przodkami mymi zażywał. Lepiej nie żyć, niż szlachcicem nie być, lepiej szlachcicem nie być, niż wolności odstąpić”.

Stadnicki atakował bardzo Zygmunta III Wazę. W mowach sejmowych rzucał na władcę największe oszczerstwa, nazywając go sodomitą, alchemikiem i krzywoprzysięcą. Gdy rokoshanie zdecydowali się na walkę z władcą, pan z Łańcuta spytał wprost: „A co mi dacie, jak złapię króla?”.

„Przyjechałem tu praw ojczyzny i naszych wolności bronić, nie dla buntów i turbacyj i jeśli byście to o mnie rozumieli Waszmościowie, abym miał być przeciw pokojowi i prawom naszym, roznieście mnie na szablach i psom rozrzućcie – krzyczał Stadnicki, będący świeżo po rozprawie z Korniaktami i bezprawnym zagarnięciu Wojutycz. – Są tu z województwa ruskiego, są z Przemyskiej Ziemi, niech tu wystąpi jeden szlachcic, jeśli przeze mnie jedną kokosh ujęto w domu szlacheckim” – dorzucał, pewny siebie.

Myliłby się jednak ten kto sądzi, iż Stadnicki, największy warchoł Rzeczypospolitej, stanął w pierwszym szeregu do walki z wojskiem królewskim. Gdy 18 września 1606 roku wojska kwarciane, wierne królowi, dopadły rokoszan pod Janowcem nad Wisłą, Stadnicki, uważany dotąd za „Decjusza polskiego”, raptownie zmienił zdanie co do swego dalszego udziału w buncie przeciwko królowi. Niespodziewanie uszedł z wojskiem za Wisłę, spalił za sobą most i jeszcze drwił z opuszczonych rokoszan. Diabeł nie wziął także udziału w bitwie pod Guzowem w lipcu 1607 roku, lecz uszedł do Łańcuta, jak gdyby przewidując dalszy bieg wypadków. I w rzeczy samej rokosz uszedł mu na sucho. Mało tego – Zygmunt III Waza przebaczył mu wszystkie jego wystąpienia, podobnie jak przebaczył innym uczestnikom rokoshu. Stadnicki musiał tylko publicznie odwołać wszystko to, co mówił przeciwko królowi. Mógł zatem spokojnie przygotować nową wielką wojnę w Ziemi Przemyskiej.

Wojna z Opalińskim

Od roku 1590 jednym z sąsiadów Stanisława Stadnickiego był Łukasz Opaliński, syn marszałka wielkiego koronnego Andrzeja, bliskiego współpracownika Stefana Batorego, człowieka znanego z cnót i poświęcenia dla Rzeczypospolitej. Młody Opaliński nie we wszystkim poszedł w ślady ojca, zapisał się jednak w dziejach Rzeczypospolitej jako dość wybitna postać. Imć pan Łukasz nie czynił prawie nigdy żadnych gwałtów i swawoleństw, dbał o poszanowanie prawa w Rzeczypospolitej, a w ciężkich czasach sam z własnej kieszeni potrafił wyłożyć znaczne sumy na potrzeby państwa. Pod koniec XVI wieku Opaliński stał się starostą leżajskim, które sąsiadowało z dobrami Stadnickiego. Łukasz ożenił się z Anną Leliwitką Pilecką, wdową po dwóch Kostkach: Janie, staroście kościerzyńskim i Krzysztofie, kasztelanie bieckim.

Opaliński z pewnością nie wadził nigdy Stadnickiemu. Do roku 1607 nie było nigdy żadnych waśni między nimi. Powód do zwady dał oczywiście Diabeł, który umocniwszy się w Łańcucie po wygranej sprawie z Korniaktami i pewien bezkarności po udziale w rokoshu Zebrzydowskiego, postanowił zaczepić potężnego sąsiada. Zresztą Stadnicki dawał już okazje do zwady ojcu żony Opalińskiego, Krzysztofowi Pileckiemu, a także pierwszemu mężowi Pileckiej. Przede wszystkim krzywdził jego poddanych. Stadnicki, jak czytamy w dawnych księgach sądowych „poddanych jego łupił i katował, ręce im i nogi obcinał, żywcem palił, między innymi także pewnego 70-letniego starca, którego o to posądzał, że po drzewo do jego lasów chodził”. Stadnicki, który lubował się w zadawaniu najprzeróżniejszych mąk, znajdował wielką przyjemność w obcinaniu piłą rąk i nóg poddanych swych wrogów. Gdy zaś starostwo leżajskie objął Opaliński, Diabeł najpierw poprzesuwał kamienie graniczne i urwał mu kilka mil gruntów,

potem zaś jął naprzykrzać się innymi sposobami. Nie bez znaczenia był też fakt, iż żony Stadnickiego i Opalińskiego, Anny, serdecznie się nienawidziły i podjudzały swoich mężów do walki i upominania się o swoje prawa.

Wojna między Opaliskim a Stadnickim rozpoczęła się oczywiście od rozlicznych staropolskich okazji, które dał, ma się rozumieć, Stadnicki. Najpierw wybuchła awantura o burmistrza leżajskiego, niejakiego Godlewskiego, który popełniwszy jakieś przestępstwo, został przez podstarościego leżajskiego Grabińskiego osadzony w więzieniu, uciekł jednak stamtąd i oddał się pod opiekę Stadnickiego. Diabeł natychmiast skorzystał z okazji i począł gnębić pozwami Grabińskiego, na koniec zaś uzyskał na niego dekret banicji. Potem Diabeł uprosił sobie prawo do składu zboża w spichlerzach w Leżajsku. Gdy zaś mu na to pozwolono, spichlerzy opuścić nie chciał, nie chciał też wydać złożonego w nich zboża Opalińskiemu.

Za pierwszymi prowokacjami poszły następne. Najpierw Stadnicki zajął bezprawnie kamieniołomy starosty leżajskiego w Chmielniku i Błędowej. Do tego doszło zaraz porąbanie przez hajduków Stadnickiego dwóch sług Opalińskiego wysłanych do Przemyśla. Starosta leżajski szukał początkowo ugody, wyjeżdżał bowiem do rodzimej Wielkopolski i nie chciał, aby w czasie jego nieobecności klucz leżajski uległ spustoszeniu. Stadnicki zgodził się na pertraktacje, zawarł z Opalińskim ugodę, ale gdy tylko jego przeciwnik wyjechał, natychmiast przystąpił do działania.

Stadnicki rozpoczął teraz w najlepsze wojnę podjazdową. Najpierw porwał dwóch poddanych Opalińskiej, uwiózł ich do Łańcuta i poddał tak okrutnym torturom, iż jeden z nich skonał, a drugi został kaleką na całe życie. Potem Stadnicki porwał Opalińskiej jej ulubionego karła, kazał oćwiczyć jednego z dworzan, który przebywał na naukach u jego koniuszego w Łańcucie. Tak samo postąpił z chorym kozakiem, leczącym się u łańcuckiego balwierza. Stadnicki nie omieszkał także zajechać włości Opalińskich. Najpierw, podobnie jak w przypadku wojny z Ligężą, zajechał Tyczyn, w którym odbywały się jarmarki, rozpędził kupców. Potem rozpoczął zbrojne najazdy na wsie należące do starostwa leżajskiego. Spalił i złupił dwór w Cisowej, napadł na Palikówkę, uwiózł do Łańcuta niejakiego Świerczyńskiego, klienta Opalińskich, który następnie przesiedział kilka miesięcy w więzieniu. Hajducy i sabaci Stadnickiego nie przepuszczali żadnemu z dzierżawców Opalińskiego, wzniecali bójkę i zwady w okolicznych miasteczkach.

Widząc, że tak się mają sprawy, alarmowany przez swoich dzierżawców, Opaliński wrócił z Wielkopolski i szybko począł organizować obronę. Najpierw zaciągnął kilka swawolnych kompanii, uzyskał pomoc od sąsiadów, takich jak księżna Ostrogska z Przeworska, Andrzej Ligęza, Krzysztof Ramułt, a także od wielu herbowych panów braci. Pomędzy Stadnickim i Opalińskim próbowano jeszcze mediacji. Marszałek nadworny koronny Mikołaj Wolski, podczaszy lwowski Leśniowski i wojewoda poznański Mikołaj Ostroróg myśleli, że doprowadzą

do zgody pomiędzy Stadnickim a Opalińskim. Ich zabiegi nie zdały się, rzecz jasna, na nic. Kiedy Wolski i Ostroróg bawili u Opalińskiego, zastanawiając się nad sposobami przeprowadzenia mediacji, Stadnicki podszedł pod ulubioną włość starosty leżajskiego – Łąkę, bijąc w bębny i wyzywając gospodarza od ostatnich.

Tym razem przyszło już do wojny. Stadnicki kilkakrotnie urządzał wypadły na siedzibę Opalińskiego. Wreszcie urządzył zajazd na Palikowe leżącą tuż przy Łące, pobił pachotków Opalińskiego, złupił folwark, wziął wielu jeńców, a jego ludzie poranili śmiertelnie szlachcica Wilczopolskiego. Opaliński tym razem nie wytrzymał. Natychmiast zaniósł protestacje do grodów, a potem urządzył kilka odwetowych zajazdów na Stadnickiego. Diabeł odpowiedział krwawo. Najpierw urządzył zajazdy na dobra Opalińskiej: Rachwałową Wolę, Chmielnik, Błędową, Zawatów, a Opaliński odpowiedział zajazdem na wsie Stadnickiego: Rakszawę, Żołynię, Stadniki, Czarną i Rudą. Stadnicki powtórnie zajechał Palikówkę, a w odpowiedzi na to starosta leżajski złupił i splądrował Krzemienicę. Ostatecznie w listopadzie 1607 roku konflikt zakończył się wielką bitwą. Gdy bowiem Opaliński zajechał po raz drugi Krzemienicę, Stadnicki mający przy sobie około 700 ludzi dopadł go pod Łukowem i zadał ciężką klęskę. Opaliński ledwie uratował życie, musiał jednak uciekać, pozostawiając chorągwie i kilkunastu zabitych, schronił się do Leżajska, gdzie jednak szybko znaleźli go słudzy i woźni Stadnickiego, przynosząc mu pozwy i protestacje złożone przez Diabła. „Powiedz tak swemu panu, że w rychłym czasie z tymiż, których arestuje przy mnie, będę go bił! Nie trzeba mnie przytykać woźnym i szlachtą, bo nie uciekam; dostanę mu placu i stawię się z nim w krótkim czasie i na gardle jego siądę!” – odparł ponoć Opaliński przybyłemu doń woźnemu Stadnickiego.

Sroga zima, jaka nadeszła pod koniec 1607 roku nie wstrzymała działań wojennych. Już na początku następnego roku ludzie Opalińskiego złupili wozy Stadnickiego, które jechały ze Śląska do Łańcuta. Stadnickiemu zabrano ponoć wiele beczek wybornego wina, 3 tysiące talarów, wiele koni. Diabeł wściekł się wówczas. Nakazał wyciosać wielki słup z tablicą i ustawić go przy gościńcu prowadzącym z Krakowa na Ruś, między Świczą a Trzcianą, czyli w miejscu, gdzie Opaliński zrabował mu wozy. Przy słupie stało ciągle kilku spośród czeladzi Stadnickiego, którzy zapraszali podróżnych do odczytywania napisu. Jeśli zaś przejeżdżający był analfabetą, odczytywano mu głośno następujący wiersz umieszczony na słupie:”

*Tu stoję z jednej strony świadek niewinności
Łańcuckiej z drugiej strony świadek znacznej złości
Człowieka bezbożnego – to nazwisko jego
Opaliński, starostwa rządca leżajskiego.
Ten najechawszy Łańcut, gdy był porażony
Od mężnej Stanisława Stadnickiego strony,*

*Wetował swe porażki, lecz nie wojownika
Ale raczej nocnego prawem rozbójnika.
Bo zastąpiwszy drogę z Szląska nie bez szkody,
Do Łańcuta idące złupił tu podwody,
Pobrał pieniądze, konie i naładowane
Różnym ciężarem wozy, a sługi związane
Prowadził do więzienia. Nie wiesz niewstydlivy,
Że ziarna złe rodzą jeno kłos szkodliwy!
Złości twej skryte ziarno ziemia ożywiła,
I mnie jako kłos rzeźwy na wierzch wysadziła,
Żeby przed mijającymi tak świadczył o tobie:
Cnota Opalińskiego w tym tu legła grobie!
Sam żyje, lecz jeśli mieć stąd chce dochody,
Trzy drewna staną tu z powrozem dla nagrody.*

Ma się rozumieć, że Stadnicki był nie tylko poetą, lecz i wojownikiem. Dlatego, poza ustawieniem słupa, w marcu lub kwietniu 1608 roku zajechał zbrojnie Łakę, złupił i spustoszył pałac Opalińskiej. Potem zaś wysłał Opalińskiemu następującą odpowiedź. Poniżej przytaczamy ją we fragmentach:

Łukasz Opaliński, żeś ty nie pomnąc na pokój pospolity, ostrość prawa i powinność szlachecką, bez wszelakiej odpowiedzi najprzód kazałeś mi myśliwca, człowieka starego, pobić kijami słudze twemu, potem Mietelskiego, szlachcica pocziwego, sobie równego, jadącego po potrzebach mych, na dobrowolnej drodze pojmwawszy, w domu swym kazałeś siekierkami tak zbić, że się kości w nim połamały, nie dość na tym mając, po kilkakroć nasyłałeś mi na wsie moje (...) włości popłądrowałeś, mężatki, dziewczki twoje żołnierstwo, a raczej łotrostwo, które ty chowasz na rozbój pogwałciło, chłopów kilku zabiło (...) – z tych tedy przyczyn wyżej pomienionych, mając wzgląd na odpowiedź twoją i na postęпки twoje pierzchliwe, a obawiając się, abym pod srogość prawa pospolitego nie podpadł, czyniąc prawu pospolitemu dosyć, obsyłam cię przez woźnego i szlachtę wzajemnie ci odpowiadając, abyś mnie się strzegł na wszelakim miejscu, chodząc, śpiąc, w kościele, w łaźni, bo się na twym gardle mścić będę, gdyż już nazbyt cierpliwościm zażywał. Dan w Łańcucie 28 Aprilis 1608.

Pismo Stadnickiego przeraziło Opalińskiego. W pośpiechu zaczął zaciągać coraz to nowe wojska, pisać listy do króla i swych przyjaciół. Zygmunt III Waza założył między starostą a Diabłem wadium w wysokości 100 tysięcy złotych. Nie powstrzymało to jednak Stadnickiego.

Gdy Opaliński postanowił wycofać się z Leżajska do Przemyśla, starosta zygwulski postanowił napaść na niego, pobić, a być może i schwytać, aby zakończyć całą wojnę od jednego razu.

Opaliński po wyruszeniu z Leżajska zatrzymał się najpierw w spustoszonej Łące, potem zaś ruszył z niej ku Przemyślowi. Diabeł jednak następował mu na pięty, ciągnąc z wielkim wojskiem, armatami i chorągwiami. Gdy Opaliński zorientował się w sytuacji, rozłożył swoje wojsko w obronnej pozycji i wysłał harcowników, którzy mieli na celu sprowokowanie Stadnickiego do otwartego wystąpienia. Diabeł nie dał się prosić. Zaatakował pozycję Opalińskiego. I popełnił błąd.

Do dziś nie wiadomo, co właściwie się stało. Być może Diabeł po prostu źle obliczył swoje siły. Możliwe też, że jego żołnierze nie spodziewali się tak silnego oporu. Po kilku godzinach bitwa skończyła się bowiem klęską Stadnickiego. Jego ludzie, pobici, zdziśnięci, rzucili się do ucieczki, chcąc schronić się w murach Łańcuta. Opaliński popędził za nimi. Jego żołnierze wsiedli na kark uciekającym i – goniąc ich – wpadli aż do miasta. Nikt nie myślał już o obronie, wszystkich ogarnęła panika. Stadnicki, widząc, że zamek stracony, rzucił się do ucieczki, pozostawiając na łasce zwycięzców swoją żonę i dzieci.

Tymczasem żołnierze Opalińskiego wpadli do zamku. Rozwścieczeni, nie dawali łaski nikomu. Zamek i miasto zostało zdobyte, a mrowie napastników rzuciło się na rabunek, rozbijając skrzynie i kufry. Wraz z żołnierzami Opalińskiego do zamku wdarli się także okoliczni chłopcy, do tej pory trzymeni przez Stadnickiego twardą ręką. Teraz, widząc klęskę swego okrutnego pana, wpadli do miasta, chcąc pomścić ucisk i okrucieństwo. W chwili gdy padał zamek, porwali się do walki także więźniowie trzymeni w lochach Łańcuta. Wyrwali się z ciemnic, chwycili za broń i rzucili na swych oprawców.

Łańcucki zamek, sądząc z opisów był bardzo obszerny i mieścił w sobie nieprzebrane skarby, z których większość została zdobyta przez Stadnickiego na drodze rabunku i zajazdów. Ludzie Opalińskiego urządzili zatem w zamku okrutną grabież. Żołnierze zdzierali ze ścian kosztowne makaty i broń, łupili kosztowne rzędy końskie i zastawę, gwałcili panny i mężatki, zrywali z rąk mieszczan i sług Stadnickiego pierścienie i klejnoty, mordowali i palili. Szybko trafiono także na ślad skarbu Stadnickiego. Okazało się bowiem, że gdy spuszczone wodę z sadzawki w Łańcutcie, znaleziono skrzynie ze złotem i kosztownościami. Stadnicki żalił się później w protestacjach, że zrabowano mu między innymi skrzynię, w której było 10 tysięcy złotych gotówką i beczki z pieniędzmi, w których przechowywał 60 tysięcy czerwonych złotych, 24 tysiące złotych polskich, 27 tysięcy talarów, a także tak drogocenne przedmioty, jak strzemiona sadzone jaspisami, a nawet cztery skrzynie sreber stołowych warte 50 tysięcy złotych. Były to sumy jak na owe czasy wprost niewyobrażalne i zapewne znacznie przesadzone. Dość wspomnieć, że w XVII wieku za kilka tysięcy złotych polskich można było nabyć dużą wieś. Wieść o zdobyciu Łańcuta, zwanego po prostu „piekłem”, obiegła szybko całą Rzeczpospolitą. Opowieści i podania

o skarbach ukrytych w Łańcucie szybko stały się niemal legendami. Przez cały XVII wiek znalazło się także wielu śmiałków, którzy poszukiwali innych skarbów zebranych i ukrytych w górach lub w Łańcucie przez Stanisława Stadnickiego.

Odwet Diabła

Stadnicki uciekł spod Łańcuta do swego brata Marcina, kasztelana sanockiego. Ten oddał mu majątność Rybotycze, w której Diabeł urządził zaraz wojskowy obóz. Stadnicki, rozwścieczony na Opalińskiego, począł ściągać nowych sabatów z Węgier, werbować hultajów i swawolników z całej Rzeczypospolitej, szykując się do zemsty na Łukaszu Opalińskim. Wytoczył też staroście leżajskiemu cały szereg pozwów o gwałt, najazd, podpalenie, kradzież, rabunki i morderstwa. Potem, gdy już wzmógł się na siłach, powrócił do złupionego i spalonego Łańcuta. Najpierw Diabeł wziął się do karania swoich poddanych i sąsiadów, którzy brali udział w złupieniu miasta i zamku. Więzienia w Łańcucie zapełniły się na powrót. Stadnicki nie przepuszczał nikomu. Doszło do tego, że mieszkańcy jego włości pochodzili do lasów, przerażeni okrucieństwem Diabła. A ów szalał, rozwścieczony doznaną porażką. Schwytanym chłopom, których podejrzewał o udział w złupieniu Łańcuta, kazał żywcem odcinać piłą ręce i nogi. Opalińska pisze w jednej z protestacji, iż Stadnicki złapał trzech jej chłopów, którym kazał poobcinać ręce, dwóm z nich obie, jednemu zaś lewą, a z innego poddanego kazał drzeć pasy, obciąć mu piłą ręce, a potem, umieściwszy go bosą na ostrej bronie, zakopać żywcem w ziemię aż po szyję. Już wkrótce Stadnicki rozpoczął zbrojne najazdy na Opalińskiego, które wyrządziły okropne zniszczenia w Ziemi Przemyskiej. Całe wsie leżały pustkami lub były obrócone w popioły i zgliszcza. W wielu osadach napotykało się tylko ludzkie trupy, wilki i zdziczałe psy. Zemsta Stadnickiego skupiła się także na krewnych i przyjaciółach Opalińskiego. Jego węgierscy sabaci napadli teraz na Kańczugę, należącą do wojewodziny wołyńskiej Ostrogskiej, złupili dwór i mieszczan, opróżnili spichlerze, pozabijali poddanych. Wkrótce Stadnicki urządził kolejny najazd na Kańczugę, a mieszczenie puciekali do lasów, zostawiając w miasteczku tylko jednego starca, który nie mógł uciekać i poniósł z rąk ludzi Stadnickiego okrutną śmierć. Diabeł urządził także zajazd na Andrzeja Ligęzę, obiegnął jego dwór w Pietraszówce, bombardował go z dział, jednak Ligęza atak ten odparł. Klęskę powetował sobie jednak Stadnicki na Janie i Mikołaju Kostkach, swych najbardziej zawziętych wrogach, napadł bowiem na Sędziszów, złupił mieszczan, splądrował i znieważył kościół. Potem Stadnicki zaatakował należący do Opalińskiego Sokołów, w którym mieszkał podstarości Grabiński, zabił w miasteczku kilkudziesięciu mieszczan, innych poranił, wypędził z miasta, zrabował im cały dobytek. Splądrował także należące do Sokołowa wsie, zabrał bydło i zboże ze spichrzy, złupił także

i sprofanował kościół w miasteczku. Grabiński usiłował wytoczyć Stadnickiemu proces – nie mógł, bowiem nigdzie nie znalazł się żaden prawnik, który odważyłby się wystąpić przeciwko Diabłu z Łańcuta.

Opaliński znalazł się teraz w strasznym położeniu. Ścigany przez Stadnickiego, nie mógł znaleźć nigdzie opieki i ochrony. Nadaremnie uciekał się też do opieki królewskiej. Król mianował rozjemców, których jednak Stadnicki zlekceważył. A wówczas Opaliński uciekł do Krakowa.

Teraz Diabeł pokazał swoje prawdziwe oblicze. Najpierw najechał Tyczyn, rozpędził kupców, złupił kościół katolicki. Kiedy zaś rajca tyczyński Jan Dembowy próbował odwieść jego ludzi od profanacji ołtarza, zginął, rozsiekany w świątyni. Z Tyczyna Stadnicki wyruszył wprost do Łąki, złupił ją, zostawiając niemal gołe ściany, a potem ruszył na Łukawiec, Zabierzów, Trzebowisko, Zaczernie i Palikówkę. Zajechał także Wysoką i Chmielnik, spalił dwory i folwarki, pozabijał sługi i poddanych. Spustoszywszy w ten sposób majątności żony Opalińskiego, Stadnicki wyprawił się na Leżajsk, odebrał Opalińskiemu wszystkie folwarki i wsie, a wszędzie łupił, palił i mordował, zabierał bydło, zboże, spuszczał stawy, zabierał dochody, wypędzał lub zabijał dzierżawców, nie dawał także obsiewać pól. Do początku 1609 roku Stadnicki ograbił lub zabił 36 dzierżawców Opalińskiego, sprofanował 10 kościołów, zabił ponad 150 osób i zagarnął 9 tysięcy sztuk bydła.

Opaliński był zrujnowany. Starostwo leżajskie i włości jego żony były zniszczone do szczętu. Starosta wyprawił szybko Annę do Wielkopolski, sam zmieniał miejsce pobytu, krył się przed ludźmi Diabła, zaciągał długi i ścigany był przez wierzycieli. Na koniec król przysłał komisję mającą skłonić obie strony do zgody. Stadnicki przyjął ją w Rybotyczach, a w tym samym czasie urządził kolejny zajazd na dobra Opalińskiego. Starosta leżajski nie wiedział już, co czynić. Jego żona Anna, przebywająca dla bezpieczeństwa w Wielkopolsce, za wszelką cenę próbowała uzyskać od krewnych i znajomych pieniądze, pożyczła pod zastaw swoich osobistych rzeczy i wyprzedawała własną garderobę.

Król i senatorowie łudzili się jeszcze, że pomiędzy przeciwnikami dojdzie do pojednania. Sądzono, że Stadnicki pogodzi się z Opalińskim w czasie sejmku na początku 1609 roku. Wówczas właśnie Diabeł odwołać miał publicznie wszystkie swoje potwarze i oszczerstwa rzucane na Zygmunta III Wazę. I rzeczywiście, Stadnicki uroczyście przeprosił władcę, a ten zalecił mu zgodę z Opalińskim. Stadnicki zrazu zgodził się, jednak pertraktacje z nim okazały się nadzwyczaj trudne. Diabeł wyznaczał bowiem arbitrow, potem się z nich wycofywał, aż wreszcie zerwał wszystko i niespodziewanie wyjechał z Warszawy. Opaliński, przywiedziony do desperacji, wyzwiał go wówczas na pojedynek. Stadnicki jednak nie stanął, a na list Opalińskiego odpowiedział obelgami.

Obydwaj przeciwnicy spotkali się raz jeszcze, na Trybunale w Lublinie. Jak wiadomo

bowiem, Stadnicki wytoczył Opalińskiemu procesy o rzekome gwałty i zajazdy, których przecież sam był sprawcą. Opaliński stawiał się jednak do Lublina, sądząc, że być może uzyska wreszcie sprawiedliwy wyrok na swego wroga. Stadnicki z kolei postanowił zastraszyć sędziów i od samego początku lekcewał sobie wszelkie nakazy i przestrogi.

Trybunał kazał mu stawić się w Lublinie na czele nie więcej niż 30 zbrojnych sług. Stadnicki przyjechał w siedemset koni i wszedł do miasta, bijąc w bębny i przy grzmocie trąb. Diabeł, jak pisano „deputatów straszył, na sąd, na ratusz z sabatami przychodził, bramy miejskie strzelbami osadzał, schodząc z ratusza, szabli dobywał, tak samo żołnierze jego z dobytymi szablami przez ulicę przechodzili”. Hajdacy i sabaci Diabła nieustannie szukali zaczepki z ludźmi Opalińskiego, który nie był pewien swego życia. W trakcie jednej ze zwad ludzie Diabła przypuścili szturm na gospodę, gdzie stał Opaliński. Ocalał on tylko cudem. Zginął natomiast jego dworzaniek – Bratkowski.

Burda ta skończyła się tragicznie dla Stadnickiego. Jego żołnierze najprawdopodobniej poczęli strzelać do mieszczan, grabić ich dobytek. I wówczas właśnie doszło do rozruchów w mieście, tumultu i ogromnej bitwy. Hajdacy i sabaci Diabła, wmieszani między domy i kramy zostali pobici i odparci, a sam Stadnicki musiał ratować się ucieczką. I tak, pierwszy chyba raz w swoim życiu, Stanisław Stadnicki pobity został nie przez wojska przeciwnika, lecz przez zwyczajny uliczny motłoch, przez miejski plebs i pospólstwo. Dopiero po tych rozruchach Trybunał Lubelski nakazał Stadnickiemu opuścić miasto i nie zbliżać się doń bliżej niż na 10 mil. Diabeł wrócił jednak w rodzinne strony, aby obmyślać dalszą zemstę na Opalińskim.

Już pod koniec 1609 i na początku 1610 roku Stadnicki zmienił taktykę, począł skłaniać się do pojednania i zgody. Próbując pojednać się z Opalińskim, Stadnicki nie zamierzał jednak oczywiście poniechać swojej zbójczej działalności. Wydaje się, że w okresie owym Diabeł potrzebował bowiem pewnego okresu wytchnienia, co było związane z jego planami politycznymi. W tym bowiem czasie Rzeczpospolita rozpoczęła wojnę z Moskwą, Stadnicki zaś postanowił osiągnąć swoje cele na zupełnie innej drodze niż ta, po której kroczył do tej pory. Jak się wydaje, postanowił wywołać nowy rokosz.

Stadnicki od dawna był w dobrych kontaktach z Gabrielem Batorym, księciem Siedmiogrodu. Batory już w czasie rokoszu Zebrzydowskiego powołany miał zostać na króla Rzeczypospolitej; głównymi jego stronnikami był zaś znany warchoł Szczęsny Herburt i właśnie Stadnicki. Bez wątpienia obydwaj myśleli bardzo o sprowadzeniu Gabriela do Polski i utworzeniu mu drogi do tronu. Herburt czynił to z powodu nienawiści do króla, Stadnicki zaś myślał, iż przy pomocy Batorego rozprawi się z Opalińskim i wszystkimi swoimi wrogami. Machinacje te wydały się jednak, przez całą Rzeczpospolitą poszła wieść o przygotowaniach do wojny na południowej granicy państwa.

Na wieść o tym Opaliński tym szybciej począł gromadzić wojska, proch i działa. Wkrótce

przyłączyła się doń w zasadzie cała szlachta Ziemi Przemyskiej, wspomagali go jak dawniej Ligęzowie i Kostkowie, pomagał referendarz koronny Świętosławski, Anna Ostrogska, a nawet kasztelan kaliski Adam Stadnicki. Stadnicki wiedział, że w każdej chwili Opaliński może zaatakować go i – będąc silniejszym – pokonać; wołał zatem przeczekać, zwlec sprawę i zyskać na czasie. Począł więc w swych listach zalić się do różnych dygnitarzy koronnych, iż jego przeciwnik zaciąga nań wojsko, szykuje się do wojny, podczas gdy on zamierza ruszyć na wojnę z Moskwą. Stadnicki pisał też do króla pod Smoleńsk, twierdząc, że wcale nie myśli o zajazdach, nie werbuje sabatów i nie przygotowuje się do walki. Zygmunt III Waza nie wierzył jednak ani jednemu jego słowu. Odpisał mu tylko grzecznie, że ma o wszystkim „inaksze” wiadomości. Już na początku 1610 roku próbowano znowu pojednać Opalińskiego ze Stadnickim. Jednak wszystkie próby osiągnięcia rozejmu spęły na niczym.

Koniec Diabła

Na początku lata 1610 roku Stadnicki wiedział już, że otrzyma posiłki z Siedmiogrodu, że Gabriel Batory przyśle mu co najmniej kilka tysięcy sabatów. Karta jednak się odwróciła. W tym samym czasie bowiem Stadnickiego opuszczali jego dworzanie i ludzie. Co raz to ktoś inny uciekał od Diabła i przechodził na stronę potężnego Opalińskiego. Doszło w końcu do tego, że Diabeł nie czuł się bezpieczny w Łańcucie i przeniósł żonę i dzieci do Wojutycz, umocnił tę rezydencję, spisał testament, oddał Mniszhom na przechowanie swe klejnoty i począł szykować się do wojny. Stadnickiemu pozostało tylko jedno: czekać na posiłki z Siedmiogrodu. Te jednak nie nadchodziły. Diabeł umieścił zatem wszystkie swoje siły w ufortyfikowanych Wojutyczach, a sam, z niewielkim oddziałem jazdy zmieniał ciągle miejsce pobytu, aby nie schwycił go Opaliński. W końcu na początku lipca 1610 roku Stadnicki niespodziewanie wyjechał w góry wraz z kilkoma najwierniejszymi towarzyszami. W tym samym czasie jednak Opaliński, który założył warowny obóz za Leżajskiem, postanowił uderzyć na Wojutycze.

Już 15 lipca wojsko starosty leżajskiego, które liczone na około 2 tysiące ludzi, podeszło pod ufortyfikowany pałac w Wojutyczach. Załoga, przekonawszy się o nadejściu nieprzyjaciela, natychmiast wysłała harcowników, którzy rzucili się do ucieczki, chcąc wciągnąć napastników w zasadzkę. Ale Opaliński wysłał za uciekającymi tylko część swoich sił. Gdy harcownicy podprowadzili ich pod zamaskowane strażnice i wykopy, z pałacu otwarto ogień do ludzi starosty leżajskiego. Część z nich zginęła, dalsze jednak szeregi wdarły się na wały, wpadły na dziedziniec i rzuciły się wprost na ludzi Stadnickiego. Szybko podpalono zabudowania gospodarskie i pałac, który stanął w ogniu.

Hajducy Stadnickiego bronili się do ostatniej kropli krwi. W płonących Wojutyczach

przyszło zatem do rzezi i długotrwałych walk. Ponoć po zakończeniu szturm pałac wojutycki dosłownie przelewał się od ludzkiej krwi. Piękny, okazały pałacyk, najpiękniejszy w całej Ziemi Przemyskiej spłonął jednak do szczeru. Żołnierze Opalińskiego pojмали w trakcie ucieczki Annę Stadnicką i jej dwoje małych dzieci, zdarli z niej wśród szyderstw suknie, klejnoty i łańcuchy, zawlekli do Opalińskiego, który osadził ją pod strażą w więzieniu w Leżajsku. Później jednak oddał ją w ręce Adama Stadnickiego, starosty przemyskiego. Sam dwór w Wojutyczach zrabowany został przez żołnierzy starosty leżajskiego, którzy wynieśli stamtąd ponoć aż 20 tysięcy dukatów, a także srebra, klejnoty i perły.

Tymczasem Stadnicki zwerbował w Siedmiogrodzie kilka tysięcy sabatów. Nie wrócił jednak na czele tego wojska, lecz wszedł w granice Rzeczypospolitej z małym oddziałem jazdy, aby najpierw dokonać rekonesansu, rozpoznać siły przeciwników i zaplanować całą kampanię. Stadnicki krążył zatem po górach przemyskich, wymykał się czatom Opalińskiego, czekając na przyście wojska. Starosta leżajski porozsyłał podjazdy gdzie tylko mógł, starając się schwytać wroga. Przeprowadził wielką obławę, w której pomagał mu kto tylko żyw w Ziemi Przemyskiej. Ludzie Opalińskiego następowali Stadnickiemu niemal na pięty. Gdy dowiedziano się, że był w Starym Samborze, Opaliński natychmiast wysłał tam podjazd, ale Stadnicki uszedł, zniknął w górach. Uchodząc przed Opalińskim, Diabeł mścił się na stronnikach starosty gdzie tylko mógł, wieszał ich i mordował. Co dzień także wypatrywał nadejścia sabatów. Tak trwało aż do 20 sierpnia 1610 roku.

W dniu tym Stadnicki stanął w Tarnawie nieopodal Chyrowa, a kilku swoich ludzi wysłał na zwiady do Jarosławia. Jednak jego ludzie, zamiast wypełnić rozkazy, zdradzili swego pana i donieśli Opalińskiemu o miejscu, w którym przebywał Diabeł. Pan Łukasz natychmiast wysłał do Tarnawy oddział nadwornych kozaków księżnej Ostrogskiej. Jednak gdy ci zbliżali się do wsi, spostrzegł ich sługa Stadnickiego i dał mu o tym znać. Diabeł był jednak pewien, że nadciąga właśnie przednia straż jego sabatów. Gdy zorientował się, że są to kozacy Opalińskiego, uciekł do pobliskiego lasu, gdzie ukrył się za kłódami drewna. Kozacy rzucili się za nim w pogoń, jednak zgubili trop i nie znaleźli uciekającego. Kiedy już wracali, pewni, iż Diabeł wymknął się im, Stadnicki wychylił się niespodziewanie zza kłód drewna i został dostrzeżony. Kozacy rzucili się wówczas na niego, ale starosta zygwulski bronił się długo; po śmierci na jego ciele naliczono dziesięć ran od pchnięć i ciosów. W końcu nadworny kozak księżnej Ostrogskiej, Tatar Persa położył Stadnickiego strzałem z półhaka. Tak właśnie skończył Stanisław Stadnicki zwany Diabłem, największy z warchołów dawnej Rzeczypospolitej...

Persa obciął głowę pana z Łańcuta, zwłókl zeń kaftan, w który zaszyte było ponoć 2 tysiące czerwonych złotych. Głowę Stadnickiego zawieziono potem do Opalińskiego. Starosta leżajski żałował tego i łajał kozaków, że nie wzięli Diabła żywcem, wynagrodził jednak Persę. W dodatku na najbliższym sejmie zabójca Stadnickiego otrzymał za to nobilitację i nazwisko

Macedoński. Jego potomkowie żyją w Polsce do dzisiaj...

Opaliński był właśnie w Samborze, gdy przywieziono mu głowę Stadnickiego. 22 sierpnia kazał włożyć ciało swego wroga do trumny lub też, według innych przekazów, do beczki, a potem przewiózł je do Przemyśla, gdzie dokonał prezentacji zwłok w grodzie starościńskim. 26 sierpnia Opaliński zeznał i wpisał się do ksiąg grodzkich, iż z jego woli i za jego sprawą zabito Stadnickiego, a on sam bierze na siebie odpowiedzialność za ten czyn. Śmierć Diabła Łańcuckiego Opaliński umotywowował zaś tym, że był on banitą i infamisem wyjętym spod prawa. Zwłoki Stadnickiego leżały bardzo długo nie pogrzebane. Jeszcze 21 października rodzina zaprezentowała je w grodzie sanockim. Tutaj też posypały się na głowy Opalińskiego i Anny Ostrogskiej protestacje wniesione przez rodzinę zabitego warchoła.

Tymczasem już 28 sierpnia do Rzeczypospolitej wtargnęli sabaci zwerbowani przez Stadnickiego. Ponoć było ich aż 6 tysięcy. Strach zatem pomyśleć, co by się stało, gdyby Stadnicki żył jeszcze i wykorzystał ich do rozprawy z Opalińskim. Nie mając wodza, sabaci poczęli rabować szlacheckie włości, palić miasteczka, mordować i gwałcić. Dopiero po kilku tygodniach wrócili do Siedmiogrodu, zabierając ze sobą bogate łupy i pozostawiając zgłiszcza i popioły.

Bez wątplenia śmierć Stadnickiego oznaczała ulgę dla wszystkich w zasadzie mieszkańców Ziemi Przemyskiej. Stadnicki był już doszczętnie znieawidzony. Świadczy o tym fakt, iż poza jednym wyjątkiem nikt nigdy nie napisał o Stadnickim żadnego wspomnienia, żadnej pochwalnej mowy ani epitafium. Jedynie Szczęsny Herburt, zrujnowany, zapomniany przywódca rokoshu, napisał o panu z Łańcuta zaiste barokowe epitafium. Zamieszczamy jego przekład z łaciny:

Przechodniu

jeżeliś przyjaciel, zabołej, jeżeliś nieprzyjaciel, uważ

losów ludzkich kolei i upadek

Stanisław Stadnicki ze Żmigroda

Pan na Łańcucie, starosta zygwulski tu spoczywa

Mąż duszą niezłomną, rodem dostojnym, rozliczną koligacją,

przemnogimi krwi

związkami, przedziwną urodą, wysokimi dary umysłu, wielkością bogactw

taki znaczny i taki wielki.

*Wolności najgorętszej miłośnik, religii świętej i miłości ojczyzny hołdownik i żarliwy
wyznawca, sztuce wojennej od pierwszej młodości oddany, ach! jak dzielny mieczem, wojny
świadczą*

inflancka i podolska pod Augustem, gdańska i moskiewska pod Stefanem, domowa pod

Zygmuntem III

Jedne chwałę, drugie krzywdę mu niosą.

*O ojczyzno, gdybyś wojownika tego, znamienitego męża przypuściła była do piastowania
spraw swoich, zaiste ozdobą byłby tobie i pożytkiem, jak mało kto kiedykolwiek.*

*Ale cnota niskich pobutek niebaczna, im większa obcym tym nieznośniejsza,
swoim tym niewdzięczniejsza, u jednych nienawiść, u drugich zazdrość, tę odczem jedni
ścigają, drudzy ściganego nie bronią, otwarte tułactwo mu gotują,
skrycie na zgubę godzą.*

O mocy Boska, gwałtu i nieprawości mścicielko!

O święte prawa ojczyste! O wolności zgwałcona i stłumiona!

Was wzywam, was powołuję!

Anna z Ziemiaczyc, małżonka wraz z przyjaciółmi.

Niemal natychmiast jednak w odpowiedzi na pismo Herburta pojawiła się antyteza:

Stanisław Stadnicki

tu leżę

Wszelkich okrucieństw dopełniłem miary

Katownię najsroższą w domu swoim założyłem

Buntami Rzeczpospolitą zawichrzyłem

Ojczyzny Matkobójca, wróg całego świata

W chwili gdy bandy łupieżcze na kraj mój nawodzę

Trwożliwą szyję moją pod miecz nikczemnego służalca podaję.

Sprawiedliwości przykład Boskiej

tu po śmierci spoczął, co za życia nigdy spokoju nie chciał.

DIABLETA

Diablica Stadnicka

W raz ze śmiercią starego Diabła, czyli Stanisława Stadnickiego, spokój nie wrócił wcale do Ziemi Przemysko-Sanockiej. Już wkrótce bowiem okazało się, że synowie Stadnickiego kontynuowali to, czego nauczyli się u boku swego ojca, tak iż wkrótce zasłużyli sobie na miano „Diabłat Stadnickich”.

Już w kilka dni po śmierci Stadnickiego, doszło do nowych zajazdów, bójek i awantur. Zapoczątkował je pewien awanturnik, Łukasz Sienieński, człek nie posiadający żadnych majątności i ścigany przez wierzycieli. Jak pamiętamy, Stadnicki nabył Łańcut od Anny z Sienieńskich Pileckiej, pod warunkiem jednak spłacenia jej spadkobierców. Ma się rozumieć, iż Stadnicki nie zapłacił spadkobiercom nic. Wywiązał się zatem długi i trudny proces, a jeden krewnych Pileckiej – właśnie Łukasz Sienieński – uzyskał pozwolenie na zajęcie Łańcuta. Oczywiście, dopóki żył Diabeł Łańcucki, Sienieński bał się nawet pomyśleć o wykonaniu intromisji. Gdy jednak Diabła zabito, Sienieński zebrał szybko sporą kupę hultajstwa, wpadł do Łańcuta, w którym przebywała Stadnicka z dziećmi, obrabował ją z klejnotów i kosztowności, potem wsadził na wóz z dwoma wołami i kazał jej wynosić się z zaniku.

Sienieński nie docenił jednak wdowy po Diable, która w zasadzie zasłużyła sobie na miano diablicy. Stadnicka znalazła szybko schronienie na dworze u brata jej męża Marcina Stadnickiego, kasztelana sanockiego. Wdowa zorganizowała teraz odwetową wyprawę na Łańcut. Na czele 200 ludzi najechała Sienieńskiego, który musiał uciekać, pozostawiwszy w zamku, kosztowności swoje i żony. Stadnicka, po opanowaniu zamku urządziła zaraz drugi zajazd, tym razem na włości wojewodziny wołyńskiej Ostrogskiej i złupiła najbliższą z jej wsi. Sama z młodszymi synami i córką Felicjana zamieszkała potem w Łańcucie. Dwaj starsi synowie, Władysław i Zygmunt, przebywali w tym samym czasie na dworze u Marcina Stadnickiego, a kasztelan postanowił wychować ich na, jak sam twierdził, świątłych i wykształconych obywateli Rzeczypospolitej. I właśnie na tym tle przyszło do wojny ze Stadnicka. Jedynym jej celem stało się bowiem teraz odebranie obu synów stryjowi, odebranie podstępem lub też po prostu ich porwanie. Gdy młodszy Zygmunt zachorował niespodziewanie, Stadnicka wymogła na Marcinie, aby pozwolił mu wrócić do Łańcuta. Kiedy jednak Zygmunt wyzdrowiał, a Marcin zażądał, by przybył do jego pałacu w Kosztowej, Stadnicka odmówiła, a ponadto zażyczyła sobie, aby i drugi jej syn – Władysław – powrócił do Łańcuta.

Pomiędzy Marcinem Stadnickim a żoną zmarłego Diabła przyszło teraz do prawdziwej

wojny. Stadnicka posłała na dwór kasztelana wielu szpiegów, chcąc wykraść Władysława. Stadnicki szalał z gniewu. Gdy jego ludzie schwytali w Kosztowej sługę Stadnickiej, kasztelan nakazał ściąć mu głowę, którą zaniecono nocą do Łańcuta, zatknięto na palu przed bramą miejską, a nad głową umieszczono tablicę z napisem: „To samo co słudze, stanie się niebawem i pani”.

Mimo wszystko Stadnickiej udało się w końcu dopiąć celu. Pod nieobecność Marcina wykradziono w końcu z Kosztowej Władysława. Rozwścieczony kasztelan natychmiast wytoczył Stadnickiej proces, żądając zwrotu kosztów, które wyłożył na naukę jej dzieci. Później Marcin pozwał o zwrot tych sum także Władysława i Zygmunta Stadnickich. Ówczesne „Diablęta” wyśmiały go jednak i odpowiedziały własnymi pozwami, twierdząc, że w czasie opieki nieuczciwie zarządzał ich majątkiem.

Nikt nie spodziewał się oczywiście, że Stadnicka, zgromadziwszy w Łańcucie wszystkie swoje dzieci, a więc trzech synów i córkę Felicjanę, prowadzić będzie z nimi pobożny i bogobojny żywot. Trzej bracia: Władysław, Zygmunt i Stanisław stali się wkrótce zawziętymi wrogami, a potem zasłużyli w pełni na miano „Diabłat Stadnickich”. I już wkrótce wystąpili przeciwko swej matce.

W roku 1614 Anna Stadnicka zdecydowała się powtórnie wyjść za mąż. Jej wybrankiem został człowiek odpowiedni pozycją, urodzeniem i sławą. Był nim Ludwik Poniatowski, hultaj, warchoł i pijanica, swawolnik i łupieżca, uczestnik i organizator konfederacji wojskowej w 1612 roku. Wydaje się, że nawet sama Stadnicka obawiała się tego małżeństwa, dlatego też uciekła się do podstępu i pozwoliła na niby porwać się Poniatowskiemu, który wkrótce po tym stanął z nią na ślubnym kobiercu.

Synowie Stadnickiej nie wybaczyli matce tego zamażpójścia. Sprzymierzyli się szybko ze swym niedawnym wrogiem, stryjem Marcinem, a potem wypędzili Annę z Łańcuta. Synowie, jak podają dawne akty, posłali matce przez woźnego cytację, wzywającą ją, aby odebrała sobie tytułem wieńcowego 30 grzywien i wyniosła się z zamku. Poniatowska, bo tak ją odtąd będziemy nazywać, nie czekała na dalszy rozwój wypadków. Po ślubie nie wróciła już do Łańcuta, nabyła klucz wsi pod Przemyślem i osiadła w nim wraz z córką. Tymczasem Władysław zajął zbrojnie te wsie należące do Łańcuta, których posiadanie zastrzeżone było dla matki. Później bracia postanowili odebrać jej Felicjanę. Rzecz jasna, nie wchodziły tutaj w grę sentymenty. Felicjanie należała się część majątku starego Diabła Łańcuckiego. Gdy zaś dziewczyna przebywała pod opieką matki, Poniatowska mogła administrować tymi właśnie dobrami. Tymczasem bracia zamierzali zagarnąć je dla siebie.

Wojna pomiędzy Diablętami a Poniatowską toczyła się aż do roku 1619. Wówczas to właśnie, gdy żona starego Diabła wracała z Felicjana z Lublina, wpadła w zasadzkę urządzoną przez Władysława, który porwał siostrę i uwięził ją do Łańcuta. Poniatowską, pozbawioną córki,

wkrótce zmarła. Przed śmiercią sporządziła testament, w którym podzieliła wszystkie swoje dobra pomiędzy synów, córkę i męża – Poniatowskiego. Diablęta jednak nie uszanowały jej ostatniej woli, bowiem co tylko mogły z kosztowności, wydarły Poniatowskiemu, który wytoczył później synom Diabła osobny proces o zrabowane klejnoty.

Po śmierci matki, bracia zamknęli Felicjanę w osobnej komnacie i trzymali ją pod silną strażą. Jak sama twierdziła w protestacjach, Diablęta chciały uniemożliwić jej w ten sposób wyjście za męża, zmusić do pozostania starą panną, co oznaczałoby, że przypadną im wszystkie dobra siostry, a także zgromadzony przez matkę posag. W końcu, gdy bracia podzielili się już dobrami po matce, Zygmunt Stadnicki zabrał siostrę ze sobą do Żurawicy, gdzie Felicjana, wciąż trzymana w zamknięciu, doznała wielu poniżeń i obelg. Po upływie dwóch lat, Zygmunt oddał siostrę pod opiekę swego stryjecznego brata Aleksandra, starosty nowokorczyńskiego. Ten także nie dbał o ubogą krewną. Umieścił ją w małej, brudnej izbie, razem ze swoimi nieślubnymi dziećmi. Felicjana czekała zatem tylko na cud, bo jedynie on mógł wyrwać ją z tego straszego położenia.

Niespodziewanie Felicjana znalazła jednak obrońcę w osobie niejakiego Piotra Cieciszowskiego. Szlachcic ów bywał zapewne często u Aleksandra Stadnickiego, gdzie poznał Felicjanę i zakochał się w niej. Nie widząc innego sposobu na uwolnienie ukochanej, porwał ją z Bartkówki i natychmiast poślubił. Cieciszowski był bez wątpienia odważnym człowiekiem. Gdy porwał Felicjanę, zajechał także ze swoimi ludźmi dobra Stadnickich. Cieciszowski usunął z Żurawicy Zygmunta Stadnickiego i zamieszkał tam ze swoją młodą żoną. Zygmunt Stadnicki usiłował udaremnić te plany, jednak w bitwie pod Przemyślem, na Zasaniu, stracił kilku ludzi i musiał wycofać się, pozostawiając dobra w rękach Cieciszowskiego.

Cieciszowski nie bardzo przypominał romantycznego bohatera. W czasie kiedy przebywał z żoną w Żurawicy, złupił najpierw służbę księcia Karola Koreckiego, wiozącego wino i pieniądze dla swojego pana. Potem miał także zatarg z niejakim Aleksandrem Dzieduszyckim, kasztelanem lubaczowskim, w domu którego urządził wielką zwadę i strzelaninę.

Tymczasem Stadniccy przegrali proces, jaki po śmierci Diabła Łańcuckiego wytoczył im Konstanty Korniakt, pozywając ich o zwrot sum, które jeszcze jego ojciec pożyczył staremu Stanisławowi Stadnickiemu. Stadniccy jednak zaproponowali mu w zamian za pożyczone pieniądze oddanie całego klucza żurawickiego pozostającego w ręku Cieciszowskich. Władysław i Stanisław Stadniccy zwerbowali zatem sobie około 200 ludzi – głównie byłych lisowczyków, Kozaków, Tatarów i wszelakiego hultajstwa, napadli na Zaderewiec, gdzie przebywali Cieciszowscy, schwyтали Felicjanę i Piotra, po czym zawieźli ich do Żydaczowa. Tutaj pod groźbą śmierci, Cieciszowscy musieli zrzec się wszelkich pretensji do dóbr żurawickich, wydartych zresztą wcześniej Zygmuntowi Stadnickiemu, ale stanowiących część spadku po Diablu Łańcuckim należną jego córce Felicjanie. Potem Cieciszowscy uwięzieni zostali

w Łańcucie i uwolnieni dopiero po czterech tygodniach.

Cieciszowscy pozostawali małżeństwem do roku 1629. Wówczas to właśnie, kiedy wybrali się do Przemyśla, gdzie ufundowali wspólnym kosztem kościół i klasztor Reformatów, przyszło do rozstania. Niespodziewanie Felicjana porozumiała się potajemnie ze swym kuzynem Adamem Stadnickim z Leska, który przybył do Przemyśla wraz z czeladzią. Pod osłoną łuf i szabel ludzi Stadnickiego Felicjana spakowała swoje klejnoty i kosztowności i wyjechała z domu. Zaraz potem urządziła jeszcze zbrojny zajazd na Zaderewiec i złupiła włości swego męża. Później Felicjana zamieszkała we Lwowie i wówczas już rozpoczęła się pomiędzy małżonkami prawdziwa wojna. Obydwoje zasypywali się pozwami, dochodziło do zbrojnych starć pomiędzy ich służbą. W końcu Felicjana oskarżyła Piotra o to, iż urządził ze swoją czeladzią napad na gospodę, w której przebywała, z kolei zaś Cieciszowski oskarżył żonę o próby zabójstwa. Zaciekłość ze strony Felicjany była tak wielka, że w końcu pogodziła się ona z najmłodszym ze swych braci – Stanisławem (Władysław i Zygmunt już w tym czasie nie żyli), który wypłacił jej sowite odszkodowania za uwięzienie w Łańcucie. Felicjana przeprowadziła także rozwód z mężem. W tym celu odwołała się aż do Rzymu. I dekretem Stolicy Apostolskiej uzyskała unieważnienie swego małżeństwa.

Pomiędzy byłymi małżonkami wybuchła teraz jeszcze większa nienawiść niż wcześniej. Felicjana pragnęła tylko zemsty na Piotrze Cieciszowskim. Ścięła go z zaciekłością gdzie tylko mogła, nękała eks małżonka pozwami. W trakcie procesów otrzymała wyrok infamii. Nie wiadomo jednak, za co skazano ją na utratę czci i gardła.

Wszystko skończyło się w roku 1640. Cieciszowski, już wówczas stary, schorowany, schwytał Felicjanę i dostarczył przed trybunał lubelski, celem wykonania na niej wyroku śmierci. Jednak marszałkiem tego trybunału był wówczas wspomniany już Adam Stadnicki z Leska, który postanowił uratować swoją krewną. Najpierw zatem nawiązał z Cieciszowskim rokowania, potem zaś odebrał mu Felicjanę i umieścił w klasztorze sióstr klarysek. Stadnicki uzyskał też na Cieciszowskiego wyrok infamii, chciał schwytać go i uwięzić w Lublinie, jednak Piotr zdołał w porę uciec z miasta. To zakończyło ostatecznie waśń między małżonkami. O losie Felicjany nie wiadomo już nic. Najprawdopodobniej Stadnicki zdecydował się pozostawić ją do końca życia w klasztorze, gdzie dokonała swego żywota.

Zygmunt Stadnicki

Tymczasem, jak już wspominaliśmy, bracia Felicjany zasłużyli sobie w pełni na miano „Diabłów Stadnickich”, dokonując rozbojów i swawoleństw. Wprawdzie przez kilka lat, zaraz po śmierci Stanisława Stadnickiego, prowadzili spokojny żywot w Łańcucie, już jednak w roku

1616 spadły na nich wyroki infamii i banicji w procesach, które odziedziczyli po ojcu. Potem powstały spory między samymi braćmi, którzy zaczęli prowadzić między sobą nieustanną wojnę.

Jako pierwszy wystąpił z pozwami średni ze Stadnickich – Zygmunt, który mieszkał w Żurawicy, nie zaś w Łańcucie. Domagał się od najstarszego z braci, Władysława, aby przystąpił do podziału dóbr łańcuckich. Włości te bowiem, według testamentu Diabła, miały zostać podzielone między jego synów i córkę. Zygmunt domagał się też, aby Władysław zdał rachunek z pobieranych z włości łańcuckich dochodów. Jednak najstarszy z Diabłat nie śpieszył się ze spełnieniem tego żądania. Zygmunt uciekł się zatem do innych środków. Zwerbował około 50 hultajów, napadł na szkuty Władysława, które wracały po odstawieniu zboża do Gdańska, poniszczył je, złupił towary. Później obaj bracia zawarli rozejm. Wówczas Zygmunt zaprosił Władysława do swej Żurawicy i przyjął brata bardzo gościnnie. Jednak gdy tylko Władysław wyjechał, Zygmunt wypadł chyłkiem z domu ze swoimi ludźmi, zasadził się na brata obok żurawickiego kościoła, napadł go i omal nie zabił. Na szczęście Władysław ratował się ucieczką, jednak Zygmunt schwytał jego sługę, wiozącego pieniądze, niejakiego Gołuchowskiego. Zastrzelił go z muszkietu w kościele w tejże Żurawicy. Odtąd pomiędzy braćmi nie przyszło już do zgody...

Już wkrótce Zygmunt III Waza ustanowił pomiędzy Stadnickimi zastaw w wysokości 50 tysięcy złotych. W 1620 roku wydał też Zygmuntowi list przypowiedni na wystawienie chorągwi husarskiej na wojnę z Turkami. Stadnicki miał wziąć udział w bitwie i oblężeniu Chocimia w 1621 roku, jednak Zygmunt nie zabawił długo w obozie Jana Karola Chodkiewicza. Opuścił szybko wojsko i ruszył do Ziemi Przemyskiej, aby zacząć nową awanturę.

W Ziemi Przemyskiej mieszkał bowiem w opisywanych czasach szlachcic Jakub Cieszanowski, właściciel kilku wsi i dzierżawca licznych królewskich ziem. Ten, będąc już w podeszłym wieku, pojął za żonę młodą Izabelę Hornostajównę, pannę bardzo pięknej urody. Cieszanowski miał już z Izabelą troje dzieci, kiedy na drodze tej pary stanął Zygmunt Stadnicki. Nie wiadomo w jaki sposób zakochał się, i to z wzajemnością, w Izabeli. Już wkrótce młodzi postanowili pozbyć się starego męża i wstąpić w związek małżeński.

W roku 1621 Cieszanowski wybrał się wraz z żoną w podróż do swej dziedzicznej włości Cieszanowa. Gdy Izabela dowiedziała się, że w trakcie podróży mają być w Żurawicy, napisała ponoć własną krwią list do przebywającego pod Chocimiem Zygmunta, donosząc mu o podróży i dniu, w którym stanąć mieli w Żurawicy. Zygmunt Stadnicki wyjechał zatem z obozu pod Chocimiem i wrócił do swojego dworu, gdzie czekał na ukochaną. W dniu, w którym nadjechał Cieszanowski z żoną, zastąpił im drogę, zapraszając w gościnę do dworu. Cieszanowski bał się odmówić, a już we dworze Zygmunt zaczął przymuszać go do picia wielkich ilości miodu i wina. Stary szlachcic nie chciał się upić, dlatego postanowił wymknąć się chyłkiem. Szepnął zatem żonie, aby, skoro on opuści dwór, natychmiast wsiadła do karety i ruszyła do Radymna, gdzie

mieli się spotkać.

Cieszanowski wymknął się zatem szybko na podwórze, dosiadł konia i bocznymi drogami ruszył do Radymna. Tak samo Izabela wsiadła do karocy i podążyła na spotkanie z mężem. Jednak u jej boku jechał na czele swoich ludzi Stadnicki. Jakież zatem było zdumienie i niepokój Cieszanowskiego, kiedy w gospodzie w Radymnie spotkał swoją żonę i Stadnickiego, objętych w miłosnych uściskach. Gdy tylko przyjechał, Zygmunt zaraz roześmiał się i zaprosił go na wieczerzę. Cieszanowski znowu bał się odmówić. Jednak wino przywiezione z Żurawicy przez Stadnickiego skończyło się, a Zygmunt począł zmuszać Cieszanowskiego do picia miodu. Gdy ten nie chciał wypić jego zdrowia, rozzłościł się. – Wypij, bo będziesz musiał! – zawołał ponoć. – Nie będę musiał! – odparł Cieszanowski. I wówczas Stadnicki dał znać służbie, która wypaliła do starego szlachcica z półhaków. Cieszanowski padł trupem, a Zygmunt pojął później Izabelę za żonę.

Powróciwszy do siebie, Zygmunt począł zajeżdzać sąsiadów, palić, rabować i gwałcić. Gdy Cieciszowski i jego żona Felicjana odebrali mu Żurawicę, Stadnicki przeniósł się do Rudawki. Już wkrótce o jego zbrodniach poczęły krążyć legendy. Powiadano, że w ciągu jednego dnia zabił ponoć 25 osób. „Pod ten czas Zygmunt Stadnicki w przemyskiej ziemi wiele złego broił, ludzi swawolnych kupy wielkie chował, stancje w dobrach stanu rycerskiego wybierał, ludzie niewinne do więzienia sadzał, do okupów przymuszał, domy szlacheckie zajeżdżał, plądrował, krew niewinną przelewał. Zamek Jego Królewskiej Mości stryjski wybrał i wszystkim niemal w przemyskiej i sanockiej ziemi straszny był” – czytamy o Zygmuncie w księgach sądowych. Stadnicki działał już w zasadzie jak zwyczajny zbój. Ukrywał się w górach ze swoją bandą hultajów, wśród których byli Węgrzy i Wołosi. Napadł między innymi na dzierzawcę wsi królewskiej Bryni Marka Wysoczańskiego, zgwałcił jego żonę, splądrował dom. Potem najechał także Mateusza Mrocza w Skorodnem, zranił gospodarza, 80-letniego starca, jego matce, ponad stuletniej Annie, która nie wstawała z łóżka, zdarł z szyi woreczek, w którym przechowywała 70 dukatów na swój pogrzeb, rozbił i złupił też miejscową cerkiew. Stadnicki wzbudzał tak wielki postrach, że nikt nie śmiał zanieść do grodu protestacji przeciwko niemu. Zresztą gdy tylko Zygmunt zamierzał na kogoś najechać, rozstawiał wokół Przemyśla czaty, które chwytaly każdego, kto wioził protestację przeciw Stadnickiemu, aby wpisać ją do ksiąg miejskich w tym mieście.

Jedną z większych zwad, które wywołał Zygmunt, stała się wielka awantura z braćmi Dębickimi – Piotrem, Andrzejem, Stanisławem i Jerzym. Wszystko zaczęło się zaś od tego, że Dębiccy zwadzili się o coś z sąsiadem, niejakim Czarnockim z Zasławic. Czarnocki, który był zbyt słaby, aby własnymi siłami zajechać braci, udał się po pomoc do Stadnickiego. Zygmunt nie dał się długo prosić. Wkrótce zebrał 100 konnych pachołków i ruszył do Rytarowic, gdzie przebywał Piotr Dębicki. Stadnicki zaatakował jego dwór, nie wiedział jednak, że Dębicki miał

przy sobie wszystkich braci, a w dodatku wiele uzbrojonej czeladzi. Piotr zatem, skrzyknawszy swych ludzi do obrony, tak mocno oparł się Stadnickiemu, że Zygmunt nie mógł zdobyć ufortyfikowanego dworu i musiał odstąpić, pozostawiwszy konie i kilka trupów. Z zemsty spalił tylko Dębickim gumna, stodoły, obory i pasiekę. Poprzysiągł też braciom zemstę.

Wkrótce Zygmunt rozpoczął werbunek ludzi do swej swawolnej kompanii. Gdy zebrał już ponad 400 hultajów, urządził na braci zasadzkę na drodze do Sanoka. Dębicy, obskoczeni przez pachołków Stadnickiego w gęstym lesie, stracili kilku ludzi, a potem rzucili się do ucieczki, po czym schronili się w niedalekim dworze należącym do niejakiej Krzeszowej. Dębicy, ścigani przez hajduków i sabatów Stadnickiego zabarykadowali się w jednej z izb dworu, gdzie poprzysięgli sobie bronić się aż do śmierci. Tymczasem napastnicy splądrowali folwark, podtoczyli pod dwór działka i hakownice na kółkach. Zygmunt był pewien, że bracia już nie wymkną mu się, posłał więc swoich ludzi do pobliskiego Leska, aby sprowadzili mu armaty i prochy. Gdy przyprawiono działa, polecił otworzyć ogień do dworu. Ale pomimo ostrzału, bracia bronili się mocno, wytrzymali szturm. Stadnicki złupił zatem dwór Krzeszowej, potem zaś nakazał obłożyć zabudowania słomą i podpalić. Na szczęście jednak dla oblężonych, we dworze znajdował się Ludwik Poniatowski, wspomniany wcześniej mąż Stadnickiej. Ten ubił czekaniem hajduka, który usiłował podpalić dwór.

Oblężenie trwało długo. Na koniec Dębicy nie mieli już siły, by bronić się dłużej. Kończyły się im ładunki i kule, nie mieli też wody. I wtedy właśnie na pole bitwy przyjechał Matiasz Zabawski i niejaki Domaradzki, którzy poczęli namawiać Stadnickiego do załagodzenia sporu na drodze negocjacji. Zygmunt ochłonął już chyba z pierwszej wściekłości, dlatego zgodził się rozstrzygnąć sprawę pokojowo. Wypuścił Dębickich, a ci zgodzili się zapłacić mu 4 tysiące złotych, a także naprawili krzywdy wyrządzone Czarnockiemu.

Stadnicki zasłynął ze swej hultajskiej działalności nie tylko w Ziemi Przemyskiej. Ze swej siedziby w górach wyprawiał się także bowiem na Śląsk, gdzie po matce odziedziczył znaczne dobra, między innymi Ziemięczyce. W swoich wyprawach Zygmunt dobierał sobie zwykle kompanie swawolników i lisowczyków, którzy po rozpoczęciu wojny trzydziestoletniej przechodzili często przez Śląsk. W roku 1622 Stadnicki napadł na Śląsku na dwóch kupców żydowskich z Rzeczypospolitej: Mojżesza Laudę z Wiśnicza i Jakuba Gombrychta, którzy pozostawali na usługach Stanisława Lubomirskiego i wieźli kosztowne dary dla księcia legnickiego. Zygmunt zabił ich, uciął głowy, złupił wozy. Napad ten wywołał wielką burzę, bowiem książę legnicki odwołał się do Zygmunta III Wazy, a Lubomirski, który był regimentarzem, usiłował postawić Zygmunta przed sądem wojskowym, gdyż, jak pamiętamy, Stadnicki był przecież rotmistrzem z wyprawy chocimskiej w 1621 roku. Przeciwno awanturnikowi wystąpił także starosta przemyski Marcin Krasicki, który uzyskał w dodatku pomoc wojska kwarcianego. Krasicki zdobył Rudawkę, wysiekł ludzi Zygmunta, ale samego

Stadnickiego nie schwytał. Średni z Diabląt uciekł bowiem w góry, a stamtąd udał się na Śląsk, chcąc zwerbować znaczną swawolną kupę i dokonać odwetu. Krasicki zdobył w Rudawce nieprzebrane skarby. Stanisław Stadnicki – najmłodszy z Diabląt – pisał później w protestacjach, że Krasicki znalazł w zamczku kosztowności i klejnoty warte 200 tysięcy złotych.

Tymczasem Zygmunt, jak już pisaliśmy, udał się na Śląsk. Wiadomo, że dokonał tutaj kilku rozbojów i gwałtów. I w końcu zabity został w jakiejś utarczce, nie wiadomo jednak, gdzie i kiedy. Zaraz po jego śmierci starszy brat, Władysław Stadnicki, wpadł na Śląsk ze swoimi ludźmi, złupił i spłądował wiele wsi, rzekomo mszcząc się za śmierć brata. Znając jednak stosunki między nimi, należy wątpić, czy rzeczywiście kierował nim żal po śmierci Zygmunta. Zapewne było tak, iż Władysław wykorzystał po prostu sposobność do umotywowania zemstą rabunku oraz grabieży i szybko skorzystał z okazji. Z kolei Izabela, żona Zygmunta, nie rozpacziała długo po śmierci męża. Już wkrótce wyszła bowiem za Hieronima Zborowskiego. Wcześniej jednak Stanisław i Władysław Stadnickcy odebrali jej wszystkie majątkości, które zapisał Izabeli w testamencie Zygmunt.

Władysław Stadnicki

Władysław Stadnicki, najstarszy syn Diabła Łańcuckiego poszedł w zupełności w ślady swego ojca. Rezydujący na Łańcucie najpierw wraz ze wszystkimi braćmi, a potem tylko z najmłodszym – Stanisławem, stał się szybko postrachem okolicy.

Pierwszym konfliktem, jaki rozpętał Władysław Stadnicki, były dwie wojny: jedna z Konstantym Korniaktem, tym samym, którego więził w Łańcucie Diabeł, i z Mikołajem Spytkiem Ligęzą, także tym samym, z którym wojował przez długie lata jwgo ojciec. Przyczyną waśni z Ligęzą był zaś tenże sam jarmark w Rzeszowie, o który pokłócił się z kasztelanem stary Diabeł. Już w roku 1621 Władysław Stadnicki na czele bandy lisowczyków zamknął drogę do Rzeszowa kupcom, niektórych złupił, wpadł także do samego miasta i złupił jarmarki.

Kolejnym konfliktem stała się wojna z Konstantym Korniaktem, który, po śmierci Diabła, wytoczył proces jego synom, spodziewając się, że pójdzie mu z nimi łatwiej niż ze starym Stadnickim. Korniakt żądał od Stadnickich ponad 400 tysięcy złotych polskich tytułem odszkodowania za najazdy na jego włości i uwięzienie, a także zwrotu starych długów Diabła, tych samych, które Stanisław Stadnicki zaciągnął jeszcze u jego ojca. Była to w XVII wieku suma wprost niewyobrażalna.

Władysław bronił się jak mógł. Zawarł pozorną transakcję ze swoim kuzynem Aleksandrem, aby uchronić się przed zajęciem łańcuckich włości. Ale gdy to nie pomogło, zwerbował sobie znaczną swawolną kompanię i począł zajeżdżać włości Korniakta. Tym razem jednak Konstanty

nie bał się wroga. Otoczył się strażami, odpowiadał na zajazd zajazdem i poruszał niebo i ziemię, aby tylko uzyskać sprawiedliwy wyrok na Władysława. Tymczasem najstarszy z Diabląt szalał, rabował, palił, mordował i gwałcił. Zajeżdżał szlachtę, w tym także znanego zajezdника Jacka Dydyńskiego. Początek lat dwudziestych stanowił ciężki okres w dziejach Rzeczypospolitej. W kraju pełno było swawolników – głównie byłych lisowczyków wracających z wojny trzydziestoletniej do domu i nie mających zajęcia. Władysław Stadnicki założył zatem w Łańcucie prawdziwy obóz wojskowy, zwerbował do tysiąca ludzi i żył z rozbojów. Już wkrótce najstarszy z Diabląt zebrał wokół siebie wielu znanych infamisów i warchołów, jak na przykład Aleksandra Sienieńskiego i Wiktora Siemaszkę. Na ich czele wyprawiał się na Śląsk, łupił w Ziemi Przemyskiej. O ile jednak stary Stadnicki słynął jako wielki okrutnik, o tyle Władysław znany był jako człowiek po prostu szalony, nie mający umiaru w zadawaniu cierpienia i bólu. Stary Diabeł lubował się w zadawaniu tortur, w obcinaniu piłą rąk i nóg swym więźniom; jego syn uwielbiał palić całe wsie i wioski. Posuwał się przy tym do tak wielkiego okrucieństwa, że czasami nawet jego podkomendni błagali go o litość dla chłopów i mieszczan; w końcu jego obłąd stał się tak wielki, że zaczęli obawiać się go nawet najbliżsi jego towarzysze.

Bez wątpienia Władysław był przy końcu swego żywota niemal obłąkany. I ten właśnie obłąd uratował kiedyś życie Konstantemu Korniaktowi. Gdy bowiem w roku 1622 wyprawiał się chyłkiem, chcąc schwytać swego wroga, niespodziewanie pokłócił się o coś z jednym ze swych towarzyszy – szlachcicem Pawłowskim. Władysław natychmiast zabił go, a wówczas opuścili go wszyscy panowie bracia, którzy trwali dotąd przy nim wiernie. Cała szlachta, starzy infamisi i warchołowie, służący dotąd wiernie Władysławowi, pozostawili go ponoć w polu z garścią sabatów i hajduków. Stadnicki nie miał zatem kim dokonać zajazdu i musiał zawrócić.

Korniakt długo znosił Władysława. Aż wreszcie, gdzieś pod koniec 1622 roku, postanowił rozprawić się ostatecznie ze swym wrogiem. Podobnie jak Opaliński, zaciągnął znaczny zastęp hajduków i kozaków i postanowił wyruszyć przeciw Władysławowi. Ponieważ działo się to w chwili, gdy Zygmunt Stadnicki zabił kupców na Śląsku, Diablęta zlekli się Korniakta, ustąpili mu całe dobra żurawickie, mając nóż na gardle, skwitowali ze wszystkiego, oddali nawet siostrze Korniakta wszystkie klejnoty, które kiedyś zrabował w Sośnicy Stanisław Stadnicki.

Już wkrótce po tym zginął Zygmunt Stadnicki, a starosta Jerzy Krasicki zajął zbrojnie jego Rudawkę. Władysław i Stanisław przycichli zatem trochę, uspokoili się. Najstarszy z braci poprosił nawet swego stryja Marcina Stadnickiego, aby pomógł im powrócić do dobrej reputacji. Kasztelan nie odmówił pomocy. 24 grudnia 1624 roku na sejmiku województwa ruskiego panowie bracia mieli zająć się przywróceniem do czci obu braci z Łańcuta. Okazało się jednak, że Władysławowi chodziło tylko o to, by zyskać na czasie. Razem z bratem pojawili się na sejmiku w Sądowej Wiszni, wiodąc pół tysiąca godnych siebie hultajów, po czym usiłowali dyktować swoje warunki. Wobec groźby użycia siły, szlachta zamknęła sejmik i rozjechała się do

domów.

To właśnie przeważała szalę. Starosta przemyski Marcin Krasicki zwołał szlachtę przemyską i w grudniu 1624 roku wyruszył na Łańcut, aby schwycić Władysława Stadnickiego. Diablęta jednak nie ulękli się starosty. Oczekiwali w ufortyfikowanym Łańcucie, obstawieni strażami. 21 grudnia Krasicki stanął pod Łańcutem na czele 600 ludzi. Natychmiast też nakazał bić z dział i szturmować bramy. Jego hajducy wkrótce wdarli się do miasta; opór był zaś bardzo słaby – wilcza zgraja Stadnickich wołała uciekać, niż walczyć na murach miasta. Władysław i Stanisław, widząc, że wszystko stracone, rzucili się do ucieczki. Młodszy Stanisław uszedł pogoni, jednak ludzie Krasickiego rzucili się w pościg za Władysławem, ścigali go aż do Leżajska. Władysław był sprytny, usiłował schronić się w klasztorze Bernardynów, jednak dopadnięto go tam, schwytano i związanego odprowadzono do Łańcuta, gdzie został umieszczony w więzieniu pod silną strażą. W nocy, zapewne z polecenia Krasickiego żołnierze wyprowadzili Stadnickiego na brzeg Wisłoka, skrępowali powrozami i rozstrzelali – niby wściekłego psa. Gdy padł trupem, odpiłowano mu głowę, a ciało wrzucono do Wisłoka. Głowę Władysława zaniecono Krasickiemu, który, podobnie jak 14 lat wcześniej Opaliński, wypłacił zabójcom sutą nagrodę.

Diabełek Stadnicki

Tymczasem Stanisław, mający wówczas około 18 lat, ukrywał się przez kilka miesięcy i dopiero w połowie następnego roku pojawił się w Ziemi Przemyskiej. Natychmiast też usiłował wytoczyć Krasickiemu proces o zabójstwo brata, dawał się także we znaki swej siostrze Felicjanie i jej mężowi – Cieciszowskiemu. W końcu w roku 1626 sprzedał łańcuckie włości Stanisławowi Lubomirskiemu, który zburzył do reszty ruiny zamku postawionego przez Diabła Łańcuckiego i w roku 1627 zbudował w mieście wspaniały, barokowy pałac, który możemy podziwiać do dziś.

Po sprzedaniu Łańcuta, Stanisław przeniósł się do Dąbrówki, wkrótce jednak opuścił Ziemię Przemyską i zaginął po nim wszelki ślad. Być może, jak powiadano, osiadł w województwie krakowskim, gdzie poszedł w ślady ojca – zajeżdżał szlachtę, porywał panny, łupił kupców. Ponoć miał także dwie żony: Annę Mstowską i Jadwigę Wilkoszewską, które ponoć nie umarły naturalną śmiercią.

*Z trzecią się żeni dziewczką, ksiądz go wodą skropił,
Bo już jedną zadusił, a drugą utopił*

pisał Wacław Potocki w wierszu „Na Stadnickiego Diabełka”.

Stanisław Stadnicki miał tylko jednego syna – również Stanisława. Ten wrócił najprawdopodobniej w rodzinne strony ojca. W roku 1656, w czasie potopu szwedzkiego, gdy Karol X Gustaw maszerował na Lwów, Stadnicki wraz ze zgrają hultajstwa opanował Biecz i ogłosił szwedzkiego monarchę królem Rzeczypospolitej. Jednak starosta biecki Jan Wielopolski rozpędził ze swoimi żołnierzami ludzi Stadnickiego, a jego samego pojmał i oddał w ręce kata. Tak właśnie zginęła cała łańcucka linia Stadnickich, która wzięła swój początek od Stanisława Stadnickiego.

HULTAJE

CZYLI

WARCHOŁY I AWANTURNICY

Samuel Łaszcz

Jednym z największych polskich warchołów w pierwszej połowie XVII stulecia był strażnik koronny Samuel Łaszcz. Szlachcic ów wyróżniał się przede wszystkim odwagą i bezczelnością. Urodzony w roku 1588, znany był najbardziej jako znamienity żołnierz. W roku 1621 na czele chorągwi kozackiej uczestniczył w bitwie z Turkami pod Chocimiem. Łaszcz walczył także często z Tatarami, służył między innymi pod sławetnym Stefanem Chmieleckim. Jeszcze wcześniej jednak, już w roku 1618, rozpoczął karierę warchoła i okrutnika; spalił i złupił dwa miasteczka na Ukrainie: Jarosławsk i Michałówek, za co też skazany został na banicję. Ma się rozumieć, że jak każdy porządny infamis w Rzeczypospolitej, Łaszcz niewiele sobie z niej robił. Zbiegł jednak na Sicz, a pojawił się w kraju dopiero we wspomnianym roku 1621, kiedy mógł zasłużyć się w walce z Turkami.

Bez wątpienia wielu panów braci widziało w Łaszczu gwałtownika, okrutnika i rabusia, opinia szlachecka jednakże dzielnego żołnierza. Pan Samuel nieraz gromił Tatarów, a pod hetmanem Stanisławem Koniecpolskim bijał Kozaków. Ordyńcy bali się naszego bohatera jak ognia i zwali go po prostu „strachem tatarskim”. Mimo tego jednak, ci panowie bracia, którzy mieszkali w pobliżu jego włości, znali oblicze Łaszczą z nieco innej strony. Bo Łaszcz nie przepuszczał nikomu i niczemu. Jak pisze o nim Joachim Jerlicz: „na majątki szlachty najeżdżał i na domy, gwałt czynił, mordował, uszy i nosy obcinał”. Łaszcz szybko zgromadził wokół siebie prawdziwą „kompanię spod szubienicy”; nagarnęło się doń wielu hultajów, infamisów i wszelakiego łotrostwa. Jego siedzibą był zaś leżący na Ukrainie Ma-karów. Tu trzymał Łaszcz swą zgraję, z którą najeżdżał sąsiadów, porywał panny, wzniecał bójkę i zwady, nakładał kontrybucje na wsie i miasteczka. W dawnej Polsce, jeśli ktoś pozwany nie przybył na rozprawę, a oskarżony był o któreś z ciężkich przestępstw, otrzymywał wyrok zaoczny. Zwykle skazywano go na banicję – karę opuszczenia kraju pod groźbą śmierci lub infamii – odsadzony zostawał od czci i wiary, czyli był wyjęty spod prawa. Samuel Łaszcz jednak nic sobie z takich wyroków nie robił. Jak powiadano, miał na sobie ponoć 236 banicji i 47 infamii, co nawet jak na burzliwy wiek XVII stanowiło swego rodzaju rekord. Poczucie bezkarności pana strażnika było tak wielkie, że dekretami owych wyroków kazał obszyć sobie delię – obszerny futrzany płaszcz, w którym chadzał zwykle każdy szlachcic. Mimo tego jednak noga Łaszcz nie powstała nigdy

w Lublinie, gdzie mieściły się trybunały sądowe. Gdy pewnego razu jeden z jego sług – banita i infamis, uwięziony został w tym grodzie i prosił o ratunek, Samuel odpisał mu: „Wszak ja ciebie upominał: Mijaj Lublin o dziesięć mil, jako i ja”. Łaszcz wprowadził także wśród szlachty modę na podgalaanie głów – zawsze nosił podstrzyżoną wysoko czuprynę, zwaną „łaszcówką”, która szybko przyjęła się pośród panów braci.

Wśród szlachty zasłynął Łaszcz przede wszystkim jako facecjonista. On sam, chcąc zdobyć jak największą popularność, rozpuszczał o sobie wiele niezwykłych opowieści. Szlachta ceniła jego fantazję i specyficzne poczucie humoru. Powiadano, że gdy kiedyś zrabował pędzone do Gdańska woły wojewodziny wileńskiej Zofii Chodkiewiczowej, wysłała do niego list, żądając zwrotu zagrabionego mienia i grożąc trybunałem. Łaszcz zaś odpisał jej po prostu tak:

*Jeśli Zosieńka przyjdzie woły paść, pójdę i ja
Jeśli się tam bić ze mną będzie, będę i ja
Waszej Księżęcej Mości
sługa i brat Łaszcz*

Pan Samuel uwielbiał wojsko. Dlatego, gdy urodził mu się pierwszy syn, pan strażnik natychmiast wpisał go w poczet żołnierzy kwarcianych, aby „był zasłużeńszym żołnierzem, z pieluch służyć począwszy”.

Łaszcz wypuszczał się często w dalekie wojaże. I właśnie w stolicy jego udziałem stała się jedna z najbardziej znanych zwad tamtych czasów. Otóż pewnego razu nasz bohater pił sobie wino w jednym z zajazdów na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a razem z nim bawiła się doborowa kompania jego przyjaciół, czyli – mówiąc krótko – wisielców, urwanych cudem od powroza. Zabawa była przednia, hultaje weselili się, cóż jednak z tego, kiedy w winiarni poza nimi nie było absolutnie nikogo. Samuel i jego kompani nie mieli zatem kogo bić! Wszyscy robili się już markotni z tego powodu. Na szczęście Łaszcz wymyślił, że wyjdą z szynku i wybiją tego, kogo zobaczą pierwszego wyjeżdżającego z Warszawy.

Szybko ruszyli w kierunku Krakowskiej Bramy. Akurat wyjeżdżał z niej jakiś jezuita. „Bić go!” – krzyknęli. „Za co? Dlaczego?” – zapytał przerażony frater. Wytłumaczyli mu spokojnie, na co zakonnik: „Omyliliście się panowie. Woźnica mój pierwszy, nie ja”. I tak kompani Samuela wybili woźnicę.

Pan strażnik nie odpokutował nigdy za swe przewinienia. Wprost przeciwnie: gdy w roku 1648 wybuchło powstanie Chmielnickiego, sejm darował mu wszystkie winy, w nadziei pozyskania go do walki przeciwko Kozakom. Łaszcz stawał dzielnie w pierwszym roku kampanii, zmarł jednak w kilka miesięcy później. Umierał opuszczony przez krewnych, ale podśmiewając się z wierzycieli, którzy oblegali jego łożo. Odpierając coraz bardziej natarczywe

żądania zwrotu długów, powiedział ponoć, śmiejąc się wesoło, że chętnie by tak zrobił, gdyby darowano mu majątek, ale jest tak ubogi, że nie posiada absolutnie nic. Niemniej nakazał, aby ostatni z jego wiernych sług – stary Cygan – zagrał rozwścieczonym wierzycielom na cytrze, aby choć trochę osłodzić ich stratę. Zaraz potem, z uśmiechem na twarzy, Samuel Łaszczyński oddał ducha.

Samuel Zborowski

Jednym z możniejszych małopolskich rodów szlacheckich była w drugiej połowie XVI stulecia rodzina Zborowskich. Początki ich znaczenia należałoby datować na rok 1562, kiedy to Marcin Zborowski został kasztelanem krakowskim. Marcin skrzętnie powiększał swoje dobra, oskarżany był jednak o warcholstwo i pieniactwo. Spośród jego synów znani byli zwłaszcza dwaj: Krzysztof i najmłodszy – Samuel. Za czasów panowania Henryka Walezego i Stefana Batorego rodów pozostawił po sobie tyle samo dobrych, co i złych wspomnień. Wprawdzie Jan Zborowski, kasztelan gnieźnieński, był tym samym, który upomniał nowo wybranego króla Henryka, iż jeśli nie zaprzysięgnie pokoju religijnego w Polsce, nie będzie panował, ale już Samuel Zborowski stał się jednym z największych hultajów w czasach dawnej Rzeczypospolitej.

Zborowski już w czasach swej młodości słynął jako dzielny szlachcic, biegle władający szablą. Młody, porywczy, chciał szybko zdobyć sławę i znaczenie – był przecież najmłodszym z braci. I tak jego chęć zaimponowania innym stała się przyczyną nieszczęścia.

Pod koniec zimy roku 1574 Henryk Walezy wyprawił wielki turniej na dziedzińcu zamku na Wawelu. Szlachta polska pierwszy raz mogła stanąć w nim w szranki, zaskarbić sobie względy nowego władcy. Samuel Zborowski wziął w tym oczywiście udział i zaraz zatknął w ziemi kopię, wzywając tego, kto ją wyrwie, do walki za zdrowie króla.

Tymczasem kopię wyrwał wcale nie szlachcic, lecz nieznan z nazwiska Chorwat Janusz, sługa kasztelana wojnickiego Jana Tęczyńskiego. Uczynił to jednak nie na rozkaz swego pana, lecz z własnej woli. Samuel Zborowski wściekł się. Ponieważ jednak Chorwat nie był szlachetnie urodzonym, wysłał do walki przeciwko niemu swego sługę – Mościńskiego. Sam zaś wyzwiał na pojedynek Tęczyńskiego. Ten zgodził się i wyjechał z zamku do swojego dworu, aby się uzbroić. Zanim wrócił, odbyła się już walka Chorwata z Mościńskim. Zwyciężył w niej jednak sługa Tęczyńskiego.

Tego Samuel już nie wytrzymał. Nie na darmo powiadano w Polsce, że „kto się o pachółka nie ujmie, ten się i o żonę nie ujmie”. Samuel, twierdząc, iż dzieje się mu krzywda, rzucił się zatem z czekaniem na Chorwata. Na szczęście straż królewska i przebywający na dziedzińcu panowie bracia schwytali Samuela i powstrzymali. Interweniował też sam król, którego, jako francuskiego pludraka, mdlił widok czerwonej posoki. Gdy jednak władca „zniechęcony tą nieprzyzwoitością a zarazem widokiem krwi, na którą z natury swojej nie mógł patrzeć, odszedł do swoich pokojów”, Zborowski rzucił się w stronę katedry wawelskiej, gdzie napotkał wjeżdżającego właśnie do walki Tęczyńskiego. Za Samuelem ruszyli zaraz jego klienci i czeladź. A gdy obaj panowie spotkali się, doszło do awantury i wymiany obelg. Poważniejszych chciał pogodzić starszy wiekiem kasztelan przemyski Andrzej Wapowski. Wtedy jednak Samuel Zborowski, być może przypadkowo, uderzył go czekaniem w głowę. Wybuchła awantura. Kto

tylko żyw porwał się do szabel, a ludzie Tęczyńskiego dali ognia z arkebuzów. Król Henryk Walezy przebywający na Wawelu sądził nawet, że właśnie wybuchł bunt. Zamieszanie jednak wygasło po pewnym czasie, a Tęczyński z Wapowskim przyszli do króla, aby pokazać mu ranę i opowiedzieć o całym zajściu.

Zranienie na głowie Wapowskiego nie było bynajmniej śmiertelne. Jednak zamiast skorzystać z wypróbowanego sposobu na rozbite szlacheckie łby i przyłożyć do głowy chleb z pajęczyną, kasztelan przemyski tak długo chodził po dziedzińcu i całym Wawelu, wygłaszając uczone mowy i pozwalając wszystkim oglądać ranę, aż wdało się zakażenie. I w tydzień później zmarł.

Za przelanie krwi pod boki króla karano w dawnej Polsce na gardle. Jednak ponieważ Zborowski nie działał z premedytacją, lecz w czasie awantury, i ponieważ ujęto się za nim wielu magnatów, król ogłosił 10 marca, iż Samuel popełnił zabójstwo „nie ze zdrady i namysłu”, a z porywczosci i przypadkiem – skazał go więc na banicję, a nie infamię. Oznaczało zatem, że Samuel nie stracił wcale czci. Zborowski, który zbiegł z Krakowa wkrótce po incydencie, opuścił Rzeczpospolitą i schronił się w Siedmiogrodzie, na dworze księcia Stefana Batorego, przyszłego króla Polski i Litwy.

Na powrót do Polski Samuel Zborowski musiał czekać aż ponad rok. Przebywając na dworze Stefana Batorego, przyczynił się bowiem bardzo do tego, aby księżę siedmiogrodzki został wybrany królem Rzeczypospolitej. Już na początku 1575 roku wraz z Batorym Zborowski wrócił do kraju. Batory poparł wtedy zresztą cały ród Zborowskich, który obiecywał sobie wiele po elekcji księcia siedmiogrodzkiego. Zborowscy sądzili, iż staną się pierwszym rodem w Rzeczypospolitej. Tak się jednak nie stało. Stefan Batory związał się bowiem szybko z Janem Zamoyskim, a Zborowskich konsekwentnie pomijał przy rozdawaniu urzędów.

Samuel Zborowski uczestniczył we wszystkich kampaniach Stefana Batorego przeciwko Moskwie. W czasie szturmów na grody wykazał się znaczną odwagą, mając nadzieję, że król zdejmie ciężącą na nim banicję. Jednak gdy we wrześniu 1580 roku przebywający w obozie pod Wielkimi Łukami Zborowski prosił władcę „aby zdjął zeń banicję, ażeby mógł w Polsce mieszkać”, król odparł, iż „zgoła tego uczynić nie może”. Zresztą pod Wielkimi Łukami inni wielcy panowie patrzyli niechętnie na Samuela i otaczali jego oddział swymi rotami, aby nie dać mu okazji do pokazania brawury. Zborowski wykazał się odwagą w bitwie pod Toropcem, wspólnie z Markiem Sobieskim i Stanisławem Żółkiewskim. Gdy jednak skończyła się wojna, a Zborowscy nie otrzymali żadnych dostojęństw ani godności, Samuel nie wiedział, co ze sobą zrobić. W końcu 1581 roku zamyślał o wyjeździe do Francji, ostatecznie jednak zdecydował się pojechać na Zaporozie, do Kozaków. Na Dnieprowym Niżu przyjęto Samuela bardzo dobrze. „My też gdyżeśmy się tu ciebie doczekali, tak zacnego Polaka, wielkiego urodzenia pana, ze szczęścia i męstwa sławnego, nie mogąc cię tu niczym innym udarować, podawamy ci tę broń

pierwszych hetmanów miejsca tego” – tymi słowy powitała ponoć Samuela kozacka deputacja. Kozacy zatem niewątpliwie szczerze uradowani byli z przyjazdu sławnego banity, którego odwaga i znajomość sztuki wojennej gwarantowały udane wyprawy i – przede wszystkim – ogromne łupy.

Samuel zamierzał zrazu napaść z Zaporozcami na Moskwę. Później jednak zmienił zamiar i rozpoczął najazdy na Chanat Krymski i Turcję. W maju 1583 roku spalił miasto Jahorlik, rozbił znaczną flotyllę złożoną z galer tureckich, złupił Tehinię. Wynikiem tych wypraw było oczywiście zaostrzenie stosunków polsko-tureckich. Stefan Batory, rozwścieczony faktem, iż Zborowski rujnował jego pokojową politykę wobec Turcji, wydał 5 grudnia 1583 roku uniwersał „Litterae universales de capiendo Samuelo Zborowski banito” nakazujący schwytanie Samuela. Lecz zaraz po tym, na początku 1584 roku wybuchła prawdziwa bomba, która zatrzęsała Rzeczpospolitą.

Niespodziewanie w kwietniu lutnista Zborowskiego – Wojtaszek Długoraj, który krążył w tym czasie po Koronie – przywiózł królowi i Zamoyskiemu listy, z których wynikało jakoby Samuel i jego brat Krzysztof uknuli spisek przeciwko Batoremu i jego kanclerzowi. Zamierzali ponoć zabić Stefana Batorego, gdy ów przejeżdżał przez Zborów w trakcie podróży do Lublina.

Do dziś nie wiadomo, czy rzeczywiście Zborowscy chcieli wówczas uśmiercić Batorego i Zamoyskiego, czy też rewelacje Długoraja stały się tylko pretekstem do pozbycia się Zborowskich. Jednak gdy Zamoyski spytał króla, co ma czynić z Samuelem, który krążył po Małopolsce, Batory odparł po prostu: „wściekły pies raz zabity, więcej nie ukąsi”.

Pod koniec kwietnia 1584 roku, gdy Samuel wraz ze swoją kompanią krążył niedaleko Krakowa, przechwalając się, że niedługo wjedzie tam ze swoimi zbrojnymi pocztami, Zamoyski postanowił go schwytać. Gdy Zborowski oddalił się od swoich ludzi i pojechał odwiedzić siostrzenicę – Elżbietę Włodkową mieszkającą w Piekarach, Zamoyski wysłał tam swego zaufanego klienta – Stanisława Żółkiewskiego na czele kilkudziesięciu ludzi. Rotmistrz sprawił się szybko. Bez większego trudu ujął i uwięził Zborowskiego, a potem dostarczył go do Krakowa w zamkniętym powozie. Pomimo że wielu magnatów wstawiało się za Samuelem, Zamoyski, który był starostą generalnym krakowskim, postanowił ściąć banitę. Podstawą do egzekucji okazał się stary wyrok za zabójstwo Wapowskiego. Nikt nie zdjął przecież ze Zborowskiego banicji... „Samusiu, a tuś mi, już dasz gardło” – powiedział ponoć do Zborowskiego. Według innej relacji – nie wiadomo, czy prawdziwej – Zamoyski już w Krakowie miał wejść do celi, w której uwięziony był Samuel trzymając w ręku nabity półhak.

– O, Samusiu! Prawda, że ja męźniejszy niż ty, że cię dostał – zawołał ponoć kanclerz.

– Grzechy moje dały mnie w ręce tobie, nie męstwo twoje – odpowiedział Zborowski.

Egzekucja Samuela Zborowskiego odbyła się 26 maja 1584 roku w Krakowie. Współczesny

kronikarz zanotował szczegóły ostatniej rozmowy pomiędzy Zamoyskim a Zborowskim. Nie ma jednak pewności, że były one prawdziwe. Egzekucja banity odbyła się na Wawelu, jednak wcześniej, koło kościoła, Zamoyski zwrócił się raz jeszcze w stronę Zborowskiego:

– Opuść mi, bo każę cię stracić.

– Nie odpuszczę, bo niewinnie mnie tracisz – odparł Samuel.

– Na Boga cię proszę, opuść mi.

– Opuuszczam, ale cię pozywam przed straszliwy sąd Boga żywego, przed którego majestatem dziś stanę. Ten z tobą rozsądzi, że mnie niesłusznie tracisz.

Tuż przed egzekucją Samuel oddał swoją chustkę zaufanemu słudze Zamoyskiego – Mroczkowi i poprosił, aby zmoczył ją w jego krwi i oddał synowi. Potem Zborowski złożył głowę na pniu i poprosił, aby kat poczekał, aż powie trzy razy słowo „Jezus”. Następnie zmówił modlitwę. Gdy powiedział „Jezus” po raz trzeci, jego głos był jednak tak straszny, że kat rzucił ponoć miecz i uciekł. Dopiero jeden z hajduków Zamoyskiego wymierzył banicie śmiertelny cios. Tak właśnie skończył jeden z największych hultajów dawnej Polski, człowiek odważny, porywczy i zapewne w jakiś sposób tragiczny. Do dziś nie wiadomo, czy Krzysztof i Samuel Zborowscy rzeczywiście uknuli spisek na życie Batorego. Tajemnicę tę Samuel zabrał ze sobą do grobu.

Starosta kaniowski

Pisząc o warchołach, hultajach i swawolnikach, nie sposób nie wspomnieć o panu staroście kaniowskim Mikołaju Bazylim Potockim, osławionym okrutniku i rozpustniku z drugiej połowy XVIII wieku. Potocki, zwany często „starostą Mikołajem” lub „starostą kaniowskim”, trafił nawet do folkloru Ukrainy. Jeszcze w XIX wieku straszono nim dzieci, opowiadano bajki i gawędy. Mikołaj Bazyl znany był także za granicą Rzeczypospolitej. W Turcji zwano go zwykle „szalonym baszą”, podczas gdy w Polsce zazwyczaj „szałaputą koronnym”.

Mikołaj Bazyl Potocki, choć żył w czasach stanisławowskich, w wieku oświecenia i rozumu, nie przejmował się wcale wykształceniem i wiedzą, nie posiadał również zbytniej ogłady. Choć po ojcu – wojewodzie bełskim – odziedziczył znaczne majątki na Rusi Czerwonej i Ukrainie, nigdy nie pozował na wielkiego karmazyna. Starosta kaniowski odziewał się prosto, pił gorzałkę i miód, zamiast przyprawianych korzeniami win. „Życie jego było proste, kozackie, jadł u stołu pospolitego” – napisał o nim Julian Ursyn Niemcewicz. Mikołaj Bazyl Potocki palił też wielką fajkę, golił głowę, bratał się z Kozakami, trzymał bowiem w swych włościach nadworne oddziały mołojców, które budziły grozę wśród najbliższych sąsiadów.

Nikt nie obawiał się bardziej Potockiego niż jego własni dzierżawcy i – rzecz jasna – Żydzi.

Starosta kaniowski potrafił zjawić się nagle, poczynić gwałty i swawoleństwa. Już w roku 1738, gdy wraz ze swoją kompanią przybył do Lwowa, dokonał tam takich spustoszeń, że król, na skutek skargi mieszczan, polecił mu opuścić miasto. Potocki uwielbiał dręczyć poddanych, a jego ulubioną rozrywką było zwykle batożenie chłopów, Żydów i drobnej szlachty. Potocki pewnego razu „sto różeg kazał dać jednemu ze swoich paziów za to, że ów ziewnął w czasie antyfony”. Gdy nawiedzał oficjalistów dworskich w swoich włościach, na urzędników i ekonomów padał blady strach. Starosta miał bowiem ten zwyczaj, iż szczególnie skrupulatnie sprawdzał wszystkie rachunki. W tym samym czasie zaś przed drzwiami kancelarii stawali kozacy z nahajami, gotowi sypać plagi, jeśli Potocki odkryłby jakieś nieprawidłowości. Gdy jednak wszystko przebiegało po myśli starosty, pan Mikołaj zapraszał wszystkich swoich dzierżawców na wspólny obiad, gdzie każdy mógł opić się jak bąk.

Innego typu awantury urządzał starosta kaniowski z Żydami. Powiadano, że pewnego razu zabił jakiegoś Żydka w miasteczku należącym do sąsiada. Gdy ów sąsiad domagał się zadośćuczynienia i chciał pozwać Potockiego do sądu, starosta Mikołaj nakazał połapać w swoich dobrach Żydów, a związanych wrzucić na wielki, drabiniasty wóz i odprowadzić ich przed oblicze sąsiada. Tam słudzy wyrzucili na ziemię cały ładunek i przekazali, że „nasz pan kłania się jegomości i za jednego zabitego Żyda przysyła czterdziestu”. Powiadano też, że starosta Mikołaj uwielbiał zabawy z babami i chłopami. Kazał im wchodzić na drzewa i kukać jak kukułki, po czym strzelał im w zadek śrutem. Gdy baby spadały – starosta nie posiadał się ze szczęścia i radości.

Mikołaj Bazyli Potocki uwielbiał także zwady i bójki z biedną szlachtą. Biednych szaraczków kazał smagać nahajami, bić do krwi. Jednak – co przyznawali wszyscy – płacił zawsze pobitym hojne basarunki. Bardzo często zdarzało się zatem, że drobni szlachetkowie sami prowokowali z nim burdy, aby otrzymać sowite wynagrodzenie. Potocki sam powiedział ponoć kiedyś po ukraińsku pewnemu szukającemu z nim zwady szlachcicowi: „ne ma hroszi, ne budu byty” (nie ma pieniędzy, nie będę bił).

Wśród licznych zainteresowań starosty kaniowskiego Mikołaja znajdowały się rzecz jasna kobiety. Ze swoich poddanek, ze swawolnych pań, Potocki uczynił na swym dworze prawie cały harem. Starosta kaniowski nie przepuszczał żadnej niewieście, która miała nieszczęście wpaść mu w oko – pannie, wdowie, mężatce; ma się rozumieć, iż nie gardził też chłopkami czy Żydówkami. Jeszcze jako przeszło siedemdziesięcioletni starzec, który dokonywał reszty żywota w klasztorze, trzymał dla rozpusty kilka młodych dziewczek.

Ma się rozumieć, iż jak każdy warchoł i pijanica, starosta kaniowski sływał z wielkiej pobożności. Potocki uczęszczał na wszystkie nabożeństwa, leżał krzyżem na posadzce i posłusznie odbywał wszystkie swoje pokuty. W każdą sobotę, w dniu poświęconym Bogurodzicy, kazał nie tylko bić w dzwony w swojej rezydencji, a nawet powstrzymywał się od

picia i w drodze łaski zmniejszał o połowę wszystkie nałożone kary! Gdy księża napominali go z ambony, korzył się przed nimi, a nawet zachęcał do jak największych reprimend, przytakując publicznie wszystkim zarzutom. Starosta fundował też klasztory i kościoły, sownie obdarowywał biednych. Jednak, rzecz jasna, pobożność nie miała zbyt wielkiego wpływu na jego życie i czyny.

Zwady, pijaństwa i ekscesy doprowadziły jednak wkrótce starostę kaniowskiego do wielkiego zatargu z Kościołem. Gdy w roku 1758 odmówiono mu rozgrzeszenia i zagrożono klątwą kościelną, Potocki przeszedł na grekokatolicyzm. Po pierwszym rozbiórze Polski, w roku 1772, gdy władze austriackie nakazały staroście kaniowskiemu zlikwidowanie oddziałów prywatnej milicji, Potocki, obawiający się zemsty sąsiadów, osiadł na pokucie w klasztorze Bazylianów w Pocięjowie. Sypał tam jałmużnami, wznosił budynki sakralne, gorliwie napominał mnichów, aby przestrzegali modlitw i postów. Gdy zmarł w roku 1782 twierdzono, że zakończył życie jako niezwykle świątobliwy człowiek. Na koniec doszło nawet do tego, że jego grób stał się celem pielgrzymek, jako miejsce spoczynku człowieka słynącego z wielu cnót!

Kniaź Jarema

Jeremi Wiśniowiecki, znany z kart „Ogniem i mieczem”, bynajmniej nie był aż tak cnotliwym obrońcą Rzeczypospolitej, jakim ukazuje go Sienkiewicz. Nikt nie umniejsza, rzecz jasna, zasług kniazia Jaremy względem ojczyzny. Bez wątpienia Wiśniowiecki był bardzo zdolnym dowódcą wojskowym i politykiem sięgającym swym wzrokiem dalej, niż wielu mu współczesnych, jak na przykład Jerzy Ossoliński. Jako ukraiński kniaź, był jednak Jarema także znanym awanturnikiem i warchołem, jak zresztą większość magnatów polskich w owym burzliwym okresie.

Pierwszą awanturą, w jaką wdał się Wiśniowiecki, był zajazd na włości Mirona Biernawskiego, byłego Hospodara Mołdawskiego. Jarema dokonał go wspólnie z kasztelanem sieradzkim Maksymilianem Przerębskim. Obaj na czele swoich nadwornych oddziałów wpadli do Ujścia, zaraz po śmierci Biernawskiego, zrabowali wszystkie jego skarby i kosztowności. Według siostry zmarłego, Teodozji Nikoryczyny, złupiono wówczas między innymi „krzyż z diamentem i 50 cewek ciągnionego złota, gotówki 1000 dukatów, kilka szabel przepysznie oprawianych, szkatułę srebrną z relikwiami, buławy złotem oprawne, rzędy bogato kamieniami zdobione, czapraiki złotem haftowane, strzemiona srebrne, sajdaki, zegary, 50 drogich kobierców, garderobę z belikiem futer, ferezji...” Piękna Teodozja nie pozostała jednak dłużna. Szybko pozyskała niejakiego rotmistrza Krasieńskiego, ten zaatakował Ujście, w którym usadowił się Przerębski, obiegł je i w końcu zmusił kasztelana do poddania się. Jarema wyszedł jednak z całej awantury bez szwanku i – co chyba najważniejsze – z łupami. Jeremi Wiśniowiecki, właściciel ogromnych dóbr na ukraińskim Zadnieprzu był bardzo niebezpiecznym sąsiadem. Kniazia Jareme stać było zawsze na utrzymanie kilku tysięcy wojska. Rozporządzając taką siłą, Wiśniowiecki naprawdę nie musiał obawiać się nikogo i niczego.

Drugą z awantur, w jaką wdał się kniaź Jarema, był spór z marszałkiem Adamem Kazanowskim o miasteczko Rumno. Według układu, jaki istniał między obydwoma magnatami, Rumno pozostawało we władaniu Kazanowskiego tylko do końca życia marszałka. Gdy zatem w roku 1644 rozeszły się wieści o jego śmierci, Wiśniowiecki nie czekał, lecz zajął miasteczko i wypędził zeń burgrabiego. Ma się rozumieć, że nie szturmował Rum-na, lecz ograniczył się do prostego wybiegu. Jak pisze Albrycht Stanisław Radziwiłł: „posłał Wiśniowiecki sługę do zamku Rumno, niby dla odwiedzenia burgrabiego, a gdy przez niego uprzejmie przyjęty usiadł do wieczerzy, zjawił się drugi, trzeci i czwarty sługa. Burgrabia sądząc, że tylu gości przybyło, usiłował ich ugościć. Gdy ci spostrzegli, że mają już przewagę, dziękują za ucztę i gotowi oddać przysługę za przysługę, jako gościa (sic!) zapraszają go na nocleg. Kiedy ów przerażony chciał bronić spraw swojego pana, został przez nich pojmany. Po wkroczeniu do zamku żołnierzy Wiśniowieckiego, który zajął zamek, miasto i całą włość, odprawiono łaskawie burgrabiego, by

powiadomił Kazanowskiego, że książę z Wiśniowca ma dziedziczne prawo i do tych dóbr”.

Ma się rozumieć, że Adam Kazanowski, przyjaciel króla Władysława IV, natychmiast zawrzał gniewem. Szybko pozwał Wiśniowieckiego przed sąd, a ponieważ Jarema nie zjawił się, otrzymał zaoczny wyrok banicji. Nie trzeba chyba dodawać, że Wiśniowiecki nic sobie z niego nie robił. Mało tego – powysyłał na sejmiki szlacheckie pisma, w których przekonywał panów braci, że Kazanowski władał Rumnem bezprawnie. Szlachta zaś opowiedziała się za Wiśniowieckim, a nawet wybrała banitę posłem na sejm. Ostatecznie wszystko skończyło się polubownie, na sejmie w roku 1645, gdzie Wiśniowiecki otrzymał prawo wieczystego posiadania Rumna.

Zwycięstwo nad Kazanowskim nie oznaczało wcale, że Wiśniowiecki poniechał swojej hultajskiej działalności. Już w roku 1646 rozpoczął nową awanturę – tym razem o Hadziacz. Miasto to było królewszczyzną i należało do hetmana wielkiego koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Po jego śmierci otrzymał je Wiśniowiecki. Gdy jednak usiłował wejść w jego posiadanie i poczynić odpowiednie zmiany w księgach grodzkich w Kijowie, niespodziewanie jego urzędnicy zostali przepędzeni przez ludzi syna starego hetmana – Aleksandra Koniecpolskiego. Okazało się bowiem, że już za życia Stanisława Hadziacz przyznano jego synowi.

Ma się rozumieć, że Wiśniowiecki nie zamierzał bynajmniej włączyć się po sądach. Szybko zaciągnął około 7 tysięcy ludzi i obiegnął Hadziacz. Wkrótce wywalono bramy, a piechota Wiśniowieckiego wdarła się do miasta. Jazda z kolei poczęła zajmować wszystkie wsie należące do włości hadziackiej.

Aleksander Koniecpolski natychmiast złożył protest na Wiśniowieckiego, oskarżając go o odebranie mu Hadziacza, a w dodatku nieprawne posiadanie Chorola. Cała sprawa miała być rozstrzygnięta na sejmie w maju 1647 roku. Zanim do niego doszło, Wiśniowiecki zdążył wcześniej, wspólnie z wojewodą kijowskim Januszem Tyszkiewiczem usunąć znanego awanturnika Samuela Łaszczę ze starostwa kaniowskiego. 27 kwietnia zebrał się sejm w Warszawie. Wiśniowiecki przyjechał na czele ogromnego, czterotysięcznego orszaku swoich sług. W kilka dni później wjechał do stolicy chorąży koronny Aleksander Koniecpolski. Ponieważ sprawa Hadziacza miała traktować się już na wcześniejszym sejmie, na który Wiśniowiecki nie stawił się, tłumacząc swoją absencję chorobą, Koniecpolski zażądał, aby Jarema oświadczył pod przysięgą, że rzeczywiście był chory. Książę rozzłościł się wówczas. Zebrał ponoć „swoich ludzi, a więc 4 tysiące rębajłów i uczynił przemowę prosząc, aby wszyscy przy nim stali i na jego początek patrzyli, a potem kończyli to, co on zacznie. Bo z tym się deklarował, iż jeśli przysięże, zaraz wstawszy chorążego szabłą miał ciąć i wszystkich siec, co by się przy nim opowiadali, choćby i króla samego. A wy – powiedział – wszyscy co do jednego do senatorskiej izby wciśnijcie się a posiłkujcie mnie”. Sytuacja była dość poważna, nie bacząc

jednak na nic, Koniecpolski żądał ciągle przysięgi od Jeremiego. W końcu senatorowie wpłynęli na niego, aby zaniechał swoich żądań. Zresztą opłaciło mu się to bardzo. Sejm bowiem rozstrzygnął spór na korzyść młodego Koniecpolskiego.

Jarema, który pochodził z dość szeroko rozgałęzionego rodu Wiśniowieckich, w latach czterdziestych został niespodziewanie najstarszym członkiem swojej rodziny. Zmarł bowiem najpierw Janusz Wiśniowiecki, zostawiając po sobie żonę Eugenię z pięciorgiem dzieci, potem zaś, w roku 1641 Aleksander, a w końcu ojciec obydwu Wiśniowieckich – Konstanty. Umierając, Konstanty zlecił Wiśniowieckiemu opiekę nad majątkami Eugenii – żony jego syna. Opieka oznaczała w XVII wieku bardzo wiele, przede wszystkim zarządzanie majątkami wdowy czy sieroty. Eugenia jednak sprawiła Wiśniowieckiemu przykrą niespodziankę, wyszła bowiem za mąż za Aleksandra Radziwiłła, marszałka litewskiego. Ale ponieważ testament Konstantego naznaczał Wiśniowieckiego opiekunem Eugenii, Jarema ani myślał zrezygnować ze swoich praw. Szybko podjął zatem brutalne, ale skuteczne środki, to znaczy zajechał dobra Eugenii i zajął je siłą.

Radziwiłłowie dostali szału. Szybko wyprosili u króla powołanie specjalnej komisji, która miała zająć się wyjaśnieniem sporu. Wyrok jaki wydała, był niepomyślny dla Jeremiego. Wiśniowiecki jednak nie miał wcale zamiaru rezygnować ze swoich praw. Oświadczył zatem przed królem, że „prędzej życie straci, niż do opieki kogo innego dopuści”, a Władysław IV powołał nową komisję.

Tymczasem jednak doszło do nowych komplikacji. W połowie maja 1642 roku Eugenia oświadczyła swemu mężowi, że chce wraz z dziećmi odwiedzić swoją kuzynkę Annę Zbaraską. Radziwiłł, nie przeczuwając niczego, zgodził się na jej wyjazd, a nawet dał żonie stosowną eskortę. Tymczasem sprytna Eugenia uciekła od niego do... Wiśniowieckiego, którego poprosiła o opiekę nad nią i dziećmi. Jarema, zaskoczony namawiał Eugenię do powrotu do małżonka, jednak sprytna kobieta, sprzykrzywszy sobie widać Aleksandra Radziwiłła, za pośrednictwem biskupa łuckiego Gembickiego uzyskała unieważnienie swojego małżeństwa. Za podstawę przyjęto fakt, iż Radziwiłł był w trzecim stopniu pokrewieństwa z pierwszym mężem Eugenii – Januszem Wiśniowieckim. Tymczasem jednak okazało się, że Radziwiłł miał dyspensę papieską na ślub, o czym nie wiedział Gembicki...

Sprawa zapewne ciągnęłaby się jeszcze długo, gdyby nie Książ Jarema, który ostatecznie umocnił się we włościach Eugenii i posłał jej synów, Dymitra i Konstantego, do szkół w Krakowie. Samą Eugenią odsunął od wszystkich spraw wychowawczych i opiekuńczych, a także od zarządzania włościami. Eugenia musiała w dodatku spłacać jeszcze długi swego męża, a gdy nie miała z czego, Trybunał Lubelski skazał ją na banicję i infamię. Ostatecznie jednak Wiśniowiecki ujął się za krewniaczką i spłacił jej wierzycieli.

Erudyta Herburt

Jan Szczęsny Herburt był chyba jednym z nielicznych przykładów uczonego warchoła. Ten, urodzony w latach siedemdziesiątych XVI wieku wychowanek hetmana Jana Zamoyskiego, człowiek znany z zamiłowania do sztuki, miłośnik nauki, wydawca dzieł Wincentego Kadłubka i Długosza, był jednocześnie awanturnikiem uciążliwym dla sąsiadów. Herburt, rokoszanin, Herburt, autor swej biografii, „Herkules”, Herburt – najlepszy przyjaciel Stanisława Diabła Stadnickiego, jawi się jako postać zaiste niezwykła. Ten wichrzyciel i gwałtownik trzymał na swoim zamku wspaniałe rzeźby i obrazy, zachwycał się pięknem sztuki, a jednocześnie więził w lochach sąsiadów. Herburt jako jedyny chyba spośród szlachty województwa ruskiego stał się apologetą Stadnickiego, którego jeszcze w czasie rokoszu zwał „Decjuszem polskim” i którego śmierć przypisała go o wielką melancholię. Nasz bohater sam często określał się mianem człowieka mającego wielką ogładę. Sąsiedzi byli jednak o nim zgoła odmiennego zdania. „Herburt, praw, wolności, swobód, pokoju pospolitego, jurysdykcji wszelakich, zwierzchności, magistratu, dawnych i świeżych uniwersałów i wszystkich naszych porządków w Rzeczypospolitej gwałtownik i wzgardzieli” – pisał o nim Jan Wojewódka, dworzanin kasztelana przemyskiego Stanisława Stadnickiego.

Herburt przeszedł jedną z najwybitniejszych szkół politycznych, jaka tylko mogła być w dawnej Rzeczypospolitej – na dworze kanclerza Jana Zamoyskiego. Młodzieniec ów, zaprawiony w rycerskim rzemiośle, zręczny i silny, był przez długi czas zaufanym człowiekiem Zamoyskiego. W roku 1596 prowadził Herburt wraz z innymi komisarzami Rzeczypospolitej układy z legatem papieskim w sprawie utworzenia ligi chrześcijańskiej przeciwko Turcji. W roku 1595, a więc o rok wcześniej, wyprawił się na czele własnej chorągwi na Wołoszczyznę wraz z Zamoyskim i Żółkiewskim.

Bez wątplenia Szczęsnego Herburta czekała wielka przyszłość polityczna, tym bardziej, iż sam Zamoyski polubił bardzo rycerskiego młodziana. Według samego Herburta pomiędzy nim a hetmanem „urosla taka przyjaźń, że się zdało, iż niebo obalone przerwać jej nie miało”. Jednak za czasów przebywania na dworze Zamoyskiego Herburt urósł bardzo w dumę i pychę, tak że, jak napisał o nim później Samuel Maskiewicz, był to „człowiek wielkiej presumpcji o sobie, nikomuż pod słońcem świata przed sobą i w urodzeniu i w dowcipie pierwszeństwa nie dając”. Być może też ta właśnie pycha spowodowała, że Herburt rozstał się w końcu z Zamoyskim i począł zabawiać się w politykę na własną rękę.

Siedzibą Herburta był leżący na południu Rzeczypospolitej Dobromil, który szlachcic ów wydarł gwałtem wdowie po krewnym – Stanisławie Herburcie. Gdy w roku 1601 Stanisław nagle umarł, Herburt, korzystając z pomocy swego teścia Janusza Zasławskiego, wpadł do Dobromila. Ludzie Herburta uderzyli na zamek, zdobyli go, splądrowali, zajęli także cały klucz dobromilski.

W taki oto sposób stał się pan Szczęsny posiadaczem ogromnego majątku, który jednak szybko roztrwonił. Już umierając, Herburt siedział po uszy w długach, a swemu synowi pozostawił włości w zupełnej ruinie.

Ma się rozumieć, iż Herburt nie usiedział spokojnie na swych włościach. Już w roku 1603 rozpoczął wojnę z Porudeńskimi i Korytkami. Walki z Porudeńskimi z Bonowa trwały przez sześć lat. Ostatecznie dopiero w 1609 roku Herburt odniósł ponury tryumf. Jego porucznik, Abramowski, napadł z sabatami węgierskimi na Bonów, zdobył go, złupił i spalił. Bracia Porudeńscy – Stanisław i Piotr, musieli ratować się ucieczką.

Podobna historia jak z Porudeńskimi, miała miejsce ze Stanisławem Korytkiem w Dmytrowicach. Herburt napadł go niespodziewanie z hajdukami. Gdy Korytko odparł pierwszy atak, Herburt dokonał drugiego zajazdu, tym razem na czele chłopów, zaciągniętych żołnierzy i sabatów. Tym razem zdobył dwór w Dmytrowicach, złupił go i spalił.

Kolejny konflikt wywołał Herburt z jednym z najspokojniejszych mieszkańców Ziemi Przemyskiej – Stanisławem Wapow-skim. Wapowski nigdy nie wadził nikomu, wystarczyło jednak, iż jego włość Wołostków graniczyła z dobrami Herburtów. Wnet uczony warchoł zajechał Wapowskiego, powywracał słupy graniczne, włączył spory szmat ziemi do swojego starostwa. Wapowski uciekł się do trybunałów, jednak Herburt szydził z ich wyroków, czując się bezpiecznym na Dobromilu.

Awantura z Wapowskim wywołała prawdziwą burzę w rodzinie Herburtów, bowiem większość jej przedstawicieli – poza Szczęsnym – była dość spokojnego charakteru. Mikołaj Herburt, wojewoda ruski, starszy brat Szczęsnego, wysłał do niego listy z napomnieniami. Posłaniec jego zastał ponoć Szczęsnego nad łańskimi księgami. A odpowiedź, jaką dał Szczęsny Mikołajowi, sama w sobie świadczy o wielkiej erudycji autora. „Ja nie wojuję – odpowiadał nasz bohater – teraz doma mieszkam, według stanu i powołania mego zacnego; przestrzegam, aby nic mi gwałtem nie brano, gdyż ja też nic nikomu nie odbiorę. Brat, choć starszy, nie ma się rzucać z ostrością niebraterską. Znane z łaski Bożej imię i cnota jest moja po wszystkim świecie, raczy Król Jegomość nasz miłościwy Pan wiedzieć, co o mnie w chrześcijaństwie i pogaństwie przedniejsi ludzie z łaski Bożej dzierżą... Uczyłem się za młodu i teraz się uczę tego, co Africanus umiał, co Temistokles, co Consalvus, co Philibertus Sawojczyk, co naszych wieków i tych dni u nas kanclerz, a w Rzeszy Georgius Basta umie”.

Już wkrótce po zwadach z sąsiadami, znalazł sobie Szczęsny Herburt prawdziwie wielkiego wroga. Przy tym przeciwniku bladła moc i znaczenie wszystkich sąsiadów z Ziemi Przemyskiej. Herburt wystąpił bowiem przeciwko samemu królowi Zygmuntowi III Wazie i wkrótce przyłączył się do rokoszu wymierzonego przeciwko władcy. Gdy w obozie pod Sandomierzem zgromadzili się rokoszanie, przyprowadził ze sobą około tysiąca żołnierzy. Kiedy jednak rokosz rozpadł się, Herburt wrócił w rodzinne strony z wojskiem. Widząc klęskę w otwartym starciu,

postanowił spróbować partyzantki.

Zaraz po przyjeździe w przemyskie, Herburt wypowiedział wojnę Stanisławowi Stadnickiemu, kasztelanowi przemyskiemu (nie był to, oczywiście, Diabeł z Łańcuta lecz jego krewny). Herburt, który miał jakiś drobny rankor do kasztelana, usiłował zrazu schwytać go w zasadzce, gdy jednak ta się nie udała, zaatakował Chotyń, w którym schronił się Stadnicki. Kasztelan bronił się w nim dzielnie, kiedy jednak Herburt nakazał podpalić zabudowania, Stadnicki rozpoczął odwrót z dworu i został schwytyany przez Herburta. Stary kasztelan został później osadzony w loszku w Małnowie.

W całej Rzeczypospolitej zawrzało. Stadniccy poczęli zbierać się do kupy, rozwścieczeni klęską krewniaka. Brat Stanisława, Adam, kasztelan sanocki zaczął szybko zbierać wojsko i szlachtę. Król wydał natychmiast uniwersał, aby Herburt rozpuścił swoje wojska. Ma się rozumieć, iż Herburt ani myślał go słuchać. Już wkrótce zresztą kilku magnatów podjęło się rokowań. Wojewoda trocki Aleksander Chodkiewicz, kasztelan poznański Jan Ostroróg i kasztelan wołyński książę Aleksander Ostrogski udali się do Małnowa, gdzie rozłożył się Herburt ze swoimi ludźmi. Tutaj mieli okazję, by spotkać się ze Stadnickim, który był tak przerażony postępowaniem Herburta, że zgodził się na wszystkie warunki swego pogromcy. Herburt wypuścił go zatem z więzienia, a Stadnicki, który odstąpił Herburtowi duże sumy pieniędzy i włości, zaprzysiągł warunki ugody. Był w niej oczywiście także znamienity punkt, w którym kasztelan przemyski zaprzysiągł, iż nie będzie podejmował żadnych wojennych kroków przeciwko Herburtowi.

Jeśli Szczęsny myślał, że wszystko zostało już załatwione, to mylił się, bowiem Stadnicki ani myślał puścić płazem tej zniewagi. Zaraz po podpisaniu ugody, wniósł w grodzie przemyskim protestację przeciwko Herburtowi, twierdząc, że wszystkie warunki ugody zostały na nim wymuszone siłą. Wnet po stronie brata opowiedział się kasztelan sanocki Adam, który podburzył szlachtę przemyską i wyruszył na włości Herburta.

Tego uczonego warchoła się nie spodziewał. Obawiając się walki w otwartym polu, uszedł wraz z żoną i dziećmi do Lwowa. Adam Stadnicki zajął tymczasem Dobromil, spustoszył włości Szczęsnego, złupił dwór w Mościskach, a potem ruszył do Lwowa. Mieszczanie obawiali się jednak krewkiego kasztelana i zawarli przed nim bramy miasta. Stadnicki rozpoczął zatem oblężenie Lwowa, ustawił działa na wzgórzu św. Jura, złupił i splądrował przedmieścia miasta. Wreszcie, gdy wyczerpał wszystkie prośby i pogróżki pod adresem mieszczan, ustąpił od oblężenia, wnosząc jedynie protestację przeciwko Herburtowi. Herburt ma się rozumieć czytał pismo Stadnickiego i wpisał swoją odpowiedź do książąt grodzkich zaraz za obelgami kasztelana. „Nie tyle oburzam się na ciebie – potwarco – pisał – ile boleję nad Ojczyzną, że cię ma w liczbie senatorów. (...) Zbłąźniłeś się sromotnie pode Lwowem, ze wstydem spod murów jego odchodzisz i ty – o gorzka ironio! – masz być następcą takich bohaterów, jak Kmitowie, jak

Herburtowie i Drohojowscy!”

Na rewanż czekał Herburt kilka miesięcy. Już na początku 1607 roku zebrał około 700 hultajów i dopadł z nimi ludzi Stadnickiego w Niżankowicach, pobił ich i rozpedził. Kasztelan ledwie zdołał schronić się do zamku przemyskiego, umocnić go i obwarować. Herburt przyszedł szybko pod fortecę, nakazał oblegać ją i ostrzeliwać, niewiele jednak wskórał. Całą swoją złość wylał zatem na Niżankowicach, które doszczętnie złupił. Ze Stadnickim było jednak bardzo niebezpiecznie zadzierać, bowiem już w kilka dni po zwadzie w Przemyślu, pan Adam pobił ludzi Herburtów, a samego schwytał i uwięził. 16 lutego 1607 roku Herburt musiał z wielkim upokorzeniem wykupić się z niewoli. W akcie ugody musiał zgodzić się na anulowanie wszystkich protestacji, które wniósł przeciwko Stanisławowi Stadnickiemu, rozpuścić własne wojsko, a także odsiedzieć dwa lata w więzy. Stadniccy zmusili zapewne Herburtów do obietnicy wypłaty wielkich sum pieniędzy, upokorzyli go bardzo. I – jak to zwykle bywało – skończyło się tylko na upokorzeniu. Herburt bowiem bynajmniej nie poszedł do celi i nie ustąpił Stadnickim ani na piędź. Wybuchł bowiem znowu rokosz przeciwko królowi. Herburt zatem bez przeszkód zaciągnął mógł kupy swawolnego hultajstwa. Z takim wojskiem ruszył nasz bohater pod Guzów, gdzie w lipcu doszło do starcia z siłami królewskimi. Herburt nie okazał się bynajmniej bohaterem. On, który lubił porównywać się do antycznych bohaterów, sam pierwszy rzucił się do ucieczki. A potem schwytyany został przez żołnierzy Zygmunta III Wazy i wraz z Prokopem Pękoślawskim osadzony w więzieniu, gdzie przebywał długo, opuszczony przez wszystkich, zrujnowany. Nikt, absolutnie nikt, nawet jego teść, kasztelan krakowski Jerzy Zbaraski, nie śmiał ująć się za wichrzycielem Herburtów. Wszystko wskazywało zatem na to, iż Szczęsny da w końcu głowę pod toporem kata. Nie mając zaś czasu na warcholenie, siedząc w więzy doskonalił się Herburt w pisaniu. Tu właśnie napisał swoją autobiografię, opatrzoną jakże znamienym tytułem „Herkules”, a także liczne pisma i memoriały. W trakcie odsiadki wieży, miał ponoć Herburt święte wizje, a także szukał pociechy w astrologii i kabale. Ni stąd ni zowąd w pismach Szczęsnego pojawił się motyw łaskowości, dobroćliwości i przebaczenia. „Łaska króla dla nas więźniów i powrót nas ukontentowanych między bracią, niepodłe lekarstwo na te wszystkie mieszaniny” – pisał. „Spróbować przeciwko uniwersałom dobroćliwości, przeciwko zajazdom miłości, przeciwko wojskom niewinności, a poddanym okowy zdjąć z nóg, a włożyć na serca” – napominał delikatnie, czując zapewne nad swym karkiem ciężar katowskiego miecza. Na koniec Herburt począł prosić samego króla o dopuszczenie go do łaski ucałowania ręki królewskiej. O czasach rokoszowych pisał już nie inaczej niż jako o „czasiech nieszczęsnych, które wspomnieć strach, a wymówić przykro”.

Zygmunt III Waza zdziwił się chyba unizonymi suplikami Herburtów, bowiem w roku 1609 ułaskawił go w końcu, jednak pod upokarzającymi warunkami, na które Herburt musiał przystać. Po pierwsze zatem, miał sędzić go o zdradę stanu sąd sejmowy, musiał poddać się wyrokom

wszystkich innych osób, które kiedyś ograbił lub najechał. Herburt miał też pozostawać w granicach kraju, a od swojego Dobromila nie mógł oddalać się więcej niż na 7 mil.

Szczęśny Herburt do końca swego życia pozostał skrytym przeciwnikiem króla. Siedząc w zrujnowanym Dobromilu, wyczekiwał tylko na chwilę, w której powrócić mógłby na scenę polityczną. Jeszcze w roku 1612, gdy w Rzeczypospolitej szalała konfederacja wojskowa, namawiał konfederatów, by „z chorągwiami szli na Warszawę”, żołnierze nie usłuchali go jednak. Herburt wdał się zatem w mistycyzm, miał jakieś widzenia, urządzał nabożeństwa na górze chełmskiej, co doprowadziło do konfliktów z duchowieństwem. Opuszczony przez wszystkich, zrujnowany, zmarł pan Szczęśny 31 grudnia 1616 roku, nie dożywając lat pięćdziesięciu. Jego jedyny syn Jan usiłował początkowo pójść w ślady ojca. W roku 1620 urządził bowiem zajazd na dwór Adama Goreczkowskiego. Otrzymał za to infamię, ale glejt królewski dał mu później ochronę przed prawem. Tym niemniej majątku uchronić już nie zdołał. W roku 1622 stracił Dobromil i wszystkie wsie. Chwała Herburtów zgasła odtąd na zawsze.

Stanisław Daniłowicz

Jedną z najlepiej znanych awantur, jaką przeżyła Warszawa w XVII wieku, była zwada między Adamem Kalinowskim, starostą winnickim, a Stanisławem Daniłowiczem, wojewodziec ruskim, znanym dobrze z kart ksiąg grodzkich, pozywany do sądu za zbrojne zajazdy i bójki. Kalinowski był jednym z największych przeciwników Daniłowicza. Obaj szlachcice od dawien dawna mieli do siebie wielkie pretensje za zajazdy i niszczenie dóbr na Rusi. Kłopot jednak w tym, iż dopóki Kalinowski przebywał w swoich dobrach, dopóty był praktycznie niedostępny dla swojego przeciwnika. Sytuacja jednak zmieniła się znacznie, gdy w roku 1633 obaj przyjechali do stolicy na pogrzeb króla Zygmunta III Wazy. Wówczas to Daniłowicz dowiedział się sekretnie, gdzie stoi na kwaterach znienawidzony starosta, po czym szybko zebrał pewnych ludzi i odbywszy z nimi naradę, nakazał schować pod ubraniami muszkiety i pistolety, po czym zasadził się na Kalinowskiego gdzieś, jak napisano „w ulicy tej, która idzie do dworu pana podskarbiego koronnego”. Czyli w okolicach zbiegu dzisiejszych ulic Bielańskiej i Daniłowiczowskiej (sic!). Gdy tylko starosta winnicki pojawił się na ulicy, Daniłowicz rzucił się ze swoimi ludźmi na świętę Kalinowskiego. „Poranił go, posiekł – czytamy w starym pozwie – zaraz na obydwie ręce pokaleczył i w głowę z tyłu i na inszych miejscach razów wielkich i szkaradnych zadał”. Nie skończyło się jednak na tym. Czeladź i słudzy Daniłowicza posiekli mocno i poranili towarzyszy pana starosty. Sam Daniłowicz nakazał swoim hajdukom rozciągnąć Kalinowskiego na ziemi i pobić go okrutnie. Po tym wszystkim zaś zbiegł bezkarnie z miejsca zwady.

W Warszawie zawrzało wówczas. Ponieważ wszystko to wydarzyło się pod bokiem nowego następcy tronu Władysława IV Wazy, sprawą zajął się szybko sąd marszałkowski, znany z ferowania surowych wyroków. Skazał on Stanisława Daniłowicza na infamię i banicję, czyli wyjęcie spod prawa. Ma się rozumieć jednak, że pan wojewodziec niewiele robił sobie z tych wyroków. Zresztą niektórzy dygnitarze, jak na przykład kanclerz wielki litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł, ubolewali nad tym, twierdząc, że był to „z inszych miar zacny młodzian i wielkich nadziei”. Jednak już wkrótce sam Władysław IV Waza dał mu glejt chroniący go przed nadgorliwymi starostami, Daniłowicz zapłacił zresztą Kalinowskiemu 100 tysięcy złotych polskich odszkodowania, a od wieży wykupił się sumą 200 tysięcy złotych. A za udział w wojnie o Smoleńsk w latach 1632-34 zniesiono ciężący na nim wyrok infamii.

Nie upłynął jednak nawet rok od zniesienia infamii, gdy Daniłowicz wszczął na dworze królewskim nową awanturę. W czasie sejmu w lipcu 1634 roku, na obiedzie wydanym przez wojewodę wileńskiego Krzysztofa Radziwiłła, pokłócił się z wojewodziec łeczyckim Hieronimem Radziejowskim. Tym razem nie doszło jednak do zwady na szable. Obaj szlachcice chwycili się za łby. „Bili się pięściami – napisał o nich Albrycht Stanisław Radziwiłł –

i wrywali sobie włosy tak zajadle, że poranili się i zostali prawie bez włosów. Gdyby nie zamknięto drzwi przed nadbiegającą ich służbą, doszłoby do dużego tumultu i rozlewu krwi, bo cała izba aż błyszczała od wyciągniętych z pochew szabel”. I tym razem jednak wszystko skończyło się pomyślnie dla Daniłowicza. Po interwencji Krzysztofa Radziwiłła, obaj zwaśnieni pogodzili się.

Hieronim Radziejowski

Hieronim Radziejowski, zapisał się dość czarną kartą w dziejach szlacheckiej Rzeczypospolitej. Ten podkanclerzy, który skazany został na banicję i infamię, gdy poróżnił się z królem Janem Kazimierzem, uciekł do Szwecji i namawiał Karola X Gustawa do ataku na Polskę. Niewielu wie jednak o fakcie, iż Radziejowski pozbawiony został czci i honoru za wielką awanturę, której dopuścił się w stolicy, pod bokiem króla.

Na początku lat pięćdziesiątych XVII wieku Radziejowski ożenił się z piękną Elżbietą Kazanowską ze Słuszków, wdową po marszałku koronnym. Idylla małżeńska nie trwała jednak zbyt długo, bowiem Kazanowską pokłóciła się z mężem. Powiadano niby, że powodem awantury był portret pierwszego męża, którego Elżbieta nie chciała usunąć ze swego pokoju, inne plotki z kolei mówiły nawet o jej romansie z królem Janem Kazimierzem lub z przystojnym pokojowcem – Tyzenhauzem.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Wnet podkanclerzyna, co było niewątpliwie szokiem dla współczesnych, złożyła w nuncjaturze prośbę o unieważnienie małżeństwa. Krewka niewiasta posunęła się nawet do tego, że ze wszystkich dóbr usunęła urzędników Radziejowskiego. Ponieważ mąż obrzydł już jej na dobre, po kilku awanturach zabrała wszystkie swoje rzeczy i poszła mieszkać do mniszek w klasztorze Bernardynek nieopodal Zamku Królewskiego.

W Radziejowskiego jakby piorun strzelił. Szybko zebrał swoich klientów i czeladź, po czym zbrojnie napadł na klasztor. Atak nie powiódł się – podkanclerzy został sromotnie odparty. Mało tego: do Warszawy ściągnęli bracia jego żony Bogusław i Zygmunt Słuszkowie. Ci nie wdawali się bynajmniej w politykę. 4 stycznia 1652 roku uderzyli szturmem na dawny pałac Kazanowskiego, w którym mieszkali niegdyś małżonkowie. Atak przeprowadzono nadzwyczaj fachowo – z dwóch stron: od Wisły i od Krakowskiego Przedmieścia. Radziejowski przebywał wówczas w swoich Radziejowicach pod Warszawą.

Podkanclerzy nie próżnował. Gdy tylko przez posłańca doszła doń wieść o napadzie, natychmiast skrzyknął szlachtę z okolic Radziejowa. Nie na darmo w XVII wieku Mazurzy słynęli jako wielcy hultaje i pijanice. Radziejowski przybył z odsieczą jeszcze tego samego dnia. Walka rozgorzała na nowo. W mieście uderzono w dzwony, mieszczanie kryli się w piwnicach domów. Ludzie Radziejowskiego zaatakowali pałac w środku nocy, posiekli obrońców, wielu zabili. Następnie, wzięwszy pałac szturmem, wyrzucili zeń na ulicę, na mróz rannych i zabitych. Radziejowski tryumfował, ale był to tryumf przedwczesny.

Cała awantura miała miejsce nieopodal Zamku Królewskiego, pod bokiem Jana Kazimierza. Najprawdopodobniej dwór nie wtrącał się do tej rozprawy, aby tym bardziej pogрузić znieprawdzonego Radziejowskiego. I tak sąd marszałkowski skazał za to podkanclerzego na banicję i infamię oraz pozbawienie urzędów i godności. Z kolei Elżbieta Radziejowska otrzymała

wyrok roku i sześciu niedziel w wieży i grzywnę w wysokości 4 tysięcy złotych. Podkanclerzyna zajechała ponoć do więzienia na zamek poszóstną karetą. Jej mąż natomiast udał się na wygnanie. Uwięziony został również brat podkanclerzyny – Bogusław Słuska. Radziejowski dopuścił się później okropnego czynu. Podkanclerzy zdradził bowiem Rzeczpospolitą i namówił do najazdu na nią szwedzkiego króla Karola X Gustawa. Tym samym zatem spowodował „potop” szwedzki.

Kazimierz Jan Sapieha

Pod koniec XVII wieku do wielkich zaszczytów i władzy doszedł na Litwie możny ród Sapiehów. Początków ich potęgi szukać należałoby w czasach szwedzkiego potopu, kiedy to w obronie ojczyzny i przeciw sprzymierzonemu ze Szwedami Januszowi Radziwiłłowi wystąpił wojewoda witebski Paweł Jan Sapiecha. Jego litewskie chorągwie przez jakiś czas pozostawały jedynym wojskiem w Rzeczypospolitej, które nie poddało się ani Szwedom, ani Moskwie, okupującej bez mała połowę kraju. Za swe zasługi hetman Sapieha uzyskał godność hetmana wielkiego litewskiego, zaszczyty i dostojęstwa. Sapiehowie wyrosli w ten sposób ponad inne rody.

– Jakaś głowa kiepska – musi być z Witebska – powiedział sienkiewiczowski Zagłoba o hetmanie Sapiesze. Wbrew jego słowu, potomkowie Pawła Sapiehy nie byli bynajmniej pobożnymi hreczkosiejami. Syn Pawła – Kazimierz Jan Sapieha i także hetman wielki, rozbijał sejmiki, gnębił szlachtę na Litwie, nie cierpiał także króla Jana III Sobieskiego. Postępowanie rodu Sapiehów doprowadziło w końcu do tego, że został on znienawidzony przez szlachtę, a w końcu nawet magnaterię, która zazdrościła mu władzy i przywilejów. Kazimierz Jan Sapieha nie bał się jednak nikogo i niczego, miał bowiem do swej dyspozycji litewskie wojsko komputowe, które gwarantowało mu znaczną pozycję wśród innych panów braci.

Największa litewska awantura, która skończyła się tragicznie dla Sapiehów, zaczęła się na wiosnę 1694 roku. Wówczas to hetman wielki litewski umieścił wojska w dobrach należących do biskupa wileńskiego Brzostowskiego. Żołnierze z ówczesnej armii polskiej znani byli jako notoryczni hultaje i rabusie. Nie trzeba było wojny, wystarczyła sama obecność wojaków panów braci w dobrach szlacheckich lub kościelnych, aby przyczynić się do ich zrujnowania. Nie należy się zatem dziwić, iż biskup Brzostowski zareagował na posunięcie hetmana niezwykle ostro. A gdy nie poskutkowały protestacje, posunął się do ostateczności i w kwietniu 1694 roku rzucił w katedrze wileńskiej na Sapiechę uroczystą klątwę, wyłączając go tym samym z Kościoła katolickiego.

Hetman wielki litewski nie przejął się tym zbyt. Złośliwi ludzie powiadali, że ci panowie

bracia, którzy przysłuchiwali się ceremonii w katedrze, natychmiast po mszy, po uroczystym rzuceniu świec na ziemię z okrzykiem: „anatema, anatema, anatema”, poszli do pałacu Sapiehy na ucztę, bo akurat miał tego dnia urodziny i szczegółowo poinformowali o wszystkim. Hetman nie wyglądał na zmartwionego. Wprost przeciwnie – uśmiechnął się pod wąsem. Sapiehowie wspierali bowiem wiele litewskich klasztorów, które teraz nie chciały uznać klątwy nałożonej na swego dobrodzieja. W porwywie wściekłości biskup Brzostowski rzucił ekskomunikę i na nie. Jednak wówczas w obronie Sapiehy wystąpił kardynał Denhoff, który napisał nawet do Brzostowskiego list, prosząc go o pojednanie. Gdy jednak krewki biskup nie chciał ustąpić i odwołał się nawet do papieża, Denhoffowi nie pozostało nic innego jak uczynić to samo. Gdy obie strony przedstawiły już swoje racje, Ojciec Święty ujął się za Sapiehami; klątwy kościelnej nie zatwierdził i napominał nawet biskupa, aby „zaniechał pychy, zemsty i pieniactwa”.

Brzostowski jednak nie ustępował. Rozwścieczony na Sapiechę, wszedł w bliskie kontakty z jego największymi wrogami – Michałem Kazimierzem Kociełłem, strażnikiem litewskim Ludwikiem Pocijem i kanonikiem wileńskim Hrehorym Ogińskim. Już wkrótce wielka koalicja magnacka poczęła szukać sposobu wywarcia zemsty na Sapiebach. Na razie jednak była ona jeszcze zbyt słaba, aby zmierzyć się z potężnym przeciwnikiem.

W kwietniu 1700 roku na ulicy Świętego Jana w Wilnie, niespodziewanie pijana czeladź dworska Sapiehów pomyliła się w nocy i wzięła orszak należący do Michała Serwacego Wiśniowieckiego za klientów Kociełła. Na następstwa nie trzeba było czekać długo. Rozjuszeni ludzie Sapiehów napadli na księcia, poranili go, a także jego brata Michała, posiekli pocztowych. Rozwścieczeni Wiśniowieccy postanowili wówczas wystąpić przeciwko hetmanowi i przyłączyli się do pozostałych magnatów. I wówczas właśnie wybuchła na Litwie wojna domowa...

18 listopada 1700 roku szlachta litewska rozbiła pod Olkiennikami wojska Sapiehów. Hetman Kazimierz Jan Sapieha i jego brat – podskarbi Benedykt – uszli do Wilna. Szlachecy konfederacji schwyтали Michała Sapiechę, koniuszego litewskiego. Brzostowski chciał ocalić go przed śmiercią, jednak szlachta, która znienawidziła Sapiehów za rozliczne swawole i okrucieństwa, wydała nań wyrok śmierci. W nocy, gdy Michał zamknięty był w kościele, panowie bracia poczęli pić na umór. Żądania wydania szlachcie Sapiehy stawały się coraz bardziej natarczywe. W końcu Litwini rzucili się na kościół, rozproszyli pilnujących go żołnierzy Wiśniowieckich. Na czele tłumu pijanej szlachty biegł ponoć ksiądz Krzysztof Białożor... Sapieha wiedział, co się święci. Gdy konfederaci wpadli do kościoła, zwrócił się do Białożora z prośbą o przedśmiertelną spowiedź. – Ot, masz absolucją! – krzyknął wówczas kanonik i uderzył Michała w twarz. Na nic zdała się już interwencja Wiśniowieckich, ani prośby Brzostowskiego. Wśród szlacheckich tłumów zapanowała tak wielka wściekłość, że każdy z karmazynów myślał już tylko o ratowaniu swojej głowy. A nieszczęsnego Michała Sapiechę wywleczono przed kościół i rozsiekano niemal na sztuki. Konfederaci podprowadzali potem do

zwłok ludzi podejrzanych o to, że sprzyjali Sapiedom. Jeśli udowodniono im, że tak było, pijana szlachta roznosiła ich natychmiast na szablach. Jeśli jednak nieszczęśnicy wypierali się sapieżyńskich sympatii, musieli na próbę ciąć i rąbać zmasakrowanego trupa Michała.

24 listopada w Olkiennikach szlachta odsądziła Sapietów od czci i wiary, dóbr i urzędów. Oszczędzono jedynie kodeńską linię tego rodu, która nie żyła w przyjaźni z Kazimierzem Janem Sapietą.

Andrzej Ligęza

Jedną z głośnych wojen domowych, do jakiej doszło na samym początku XVII wieku w Rzeczypospolitej, był konflikt, jaki rozgorzał w rodzinie Ligęzów, zamieszkałej na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Do waśni doszło bowiem między Mikołajem Ligęzą, kasztelanem czechowskim, znanym już z tej części niniejszej książki, która poświęcona była Diabłu Stadnickiemu. Mikołaj, jak już wspominaliśmy, był człowiekiem dość spokojnym i dobrym panem, popadł jednak w konflikt ze swoim bratankiem, Andrzejem, który był synem Jana, wojskiego sanockiego, a po śmierci ojca pozostawał pod opieką stryja Mikołaja.

Tak jak w wielu podobnych awanturach, tak i w tej poszło o rzecz dość powszednią w ówczesnych czasach, a mianowicie o nieuczciwe administrowanie dobrami małoletniego Andrzeja. Młody Ligęza oskarżył bowiem stryja, iż ów bezprawnie przywłaszczył sobie część ojcowskiej spuścizny, która w rzeczywistości powinna należeć do niego. Rokowania pokojowe nie przyniosły żadnych skutków, Andrzej zatem szybko doszedł do prostego i jakże słusznego w owych czasach wniosku, że problemy te powinny zostać rozwiązane w zupełnie inny sposób.

W roku 1603 Andrzej Ligęza zwerbował sobie wielką swawolną gromadę na pograniczu węgierskim i podszedłszy nocą, pod nieobecność stryja w pobliże Rzeszowa, napadł na zamek w grodzie, rozbił taranami mury, zdobył i zrabował siedzibę kasztelana, zabierając mu liczne kosztowności, a wśród nich między innymi skrzynię z 20 tysiącami talarów. Oczywiście stary kasztelan wpadł we wściekłość. Szybko skrzyknął swoich poddanych i urządził napad na włości Andrzeja – Zwiężycę i Starą Niwę, po czym złupił je i spustoszył.

Andrzej powetował sobie jednak szybko straty i spustoszenia poczynione przez stryja. Jeszcze w tym samym roku zebrał sporo wojska i uderzył na Rzeszów powtórnie. Jego ludzie szybko wyłamali bramy miasta. W grodzie Andrzej pozwolił swemu wojsku na rabunek, samo miasto otoczył czatami, które nie dopuszczały do Rzeszowa nikogo. A młody Ligęza przez trzy dni hulał sobie w mieście, na koszt kasztelana, a także, jak pisano w protestacjach, kosztem cnoty mieszczanek. Kasztelan natychmiast wysłał do Zygmunta III Wazy list z prośbami o interwencję, a król w odpowiedzi nakazał staroście sanockiemu, aby zwołał szlachtę z tego powiatu

i wyruszył, by ukarać Andrzeja. Na jego wezwania nie stawił się jednak nikt. Andrzej bowiem słynął jako niezwykle dzielny młodzian, który nie bał się nawet samego Diabła Stadnickiego i nikt z panów braci wolał nie ryzykować swego życia i fortuny, aby mierzyć się z tak potężnym przeciwnikiem.

Wobec takiego obrotu sprawy Mikołaj Ligęza zaciągnął znaczne siły i wytoczył synowcowi proces w sądach w Przeworsku. W roku 1604, gdy nadeszły roczki sądowe, pociągnął do miasta.

Tymczasem jednak Andrzej przybył do Przeworska pierwszy i przyprowadził ze sobą około 900 ludzi i armaty. W ówczesnych czasach Przeworsk posiadał był jedną jedyną murowaną kamienicę. I ten właśnie dom obsadzili uzbrojeni w rusznice i szable ludzie Andrzeja. Inni żołnierze rozlokowani zostali także w przyległych do wspomnianej kamienicy drewnianych domostwach.

W tym samym czasie do Przeworska przyjechał kasztelan Ligęza. Dowiedziawszy się, że Andrzej zajął rynek i ufortyfikował się w domach, zatrzymał się na przedmieściu i otoczył strażami miasto. Mikołaj początkowo liczył na układy, ale gdy Andrzejowi udzielił pomocy starosta przemyski Drohojowski, doszło do otwartej walki. Pierwsze starcie miało miejsce w chwili, gdy kasztelan usiłował dostać się do budynku sądu. Ludzie Andrzeja wszczęli bowiem wówczas strzelaninę z hajdukami starego Ligęzy. Później doszło zaś do otwartej walki, w czasie której szturmowano dom po domu, strzelano i rąbano się szablami. Kasztelan, na którego korzyść przechyliła się w końcu szala walki, chciał schwycić Andrzeja, ów jednak zamknął się w jednej z gospod i aż do samego wieczora odpierał oblegających. I wreszcie Mikołaj odstąpić musiał od karczmy, zabierając ze sobą sześciu zabitych. Andrzej stracił 21 ludzi, a także konie i podwody, które zrabowali słudzy kasztelana.

Już w dniu następnym doszło pomiędzy stryjem i bratankiem do nowych walk. Zarówno bowiem Andrzej, jak i Mikołaj załadowali trupy zabitych na wozy, aby przywieźć je do Przemyśla i zaprezentować w grodzie starościńskim, w celu złożenia protestacji na przeciwnika. Ponieważ jednak za stronę pokrzywdzoną mógł uznać się ten z przeciwników, który zaprezentował więcej własnych trupów, pomiędzy zwaśnionymi rozgorzała zatem wojna o zwłoki. Ostatecznie ludzie kasztelana odbili 15 trupów należących do czeladzi Andrzeja, który zaprezentować mógł w Przemyślu jedynie sześć zwłok.

Wojna skończyła się na tym ostatecznie. Pomiędzy stryjem i synowcem doszło w końcu do ugody. Nie wiadomo jednak, jakie były jej warunki.

Jan Tomasz Drohojowski

Jan Tomasz Drohojowski znany był na początku XVII wieku jako nadzwyczaj mężny,

przystojny i bogaty pan, pochodzący w dodatku ze świetnego, małopolskiego rodu. Drohojowski władał swobodnie kilkoma językami, posłował dla Rzeczypospolitej do Włoch, Francji i Turcji, uczestniczył także we wszystkich wojnach, jakie w czasie jego żywota prowadziła Rzeczpospolita. Jednak co najmniej tak dobrze jak łaciną, władał pan Drohojowski szablą. A w Rzeczypospolitej znano go przede wszystkim jako człowieka, który wszczął wielką wojnę ze Stanisławem Stadnickim z Leska.

Do czasu zwady ze Stadnickim Drohojowski bywał ciężki dla swoich sąsiadów. Mieszkańcy południowych stron Korony znali jego awantury z sąsiadami, zatargi z ruskimi władcykami, wojnę z mieszczanami z Przemyśla, a także takie drobiazgi, jak choćby zastrzelenie w roku 1602 szlachcica Piotra Skorodyńskiego. Jednak wojna ze Stadnickim wstrząsnęła całą Ziemią Sanocką.

Powodem tej zwady była oczywiście rzecz dość powszednia w XVII wieku – sprzeczka o gospodę na sejmiku wisznińskim. Wiadomo też, że na sejmiku dochodziło do starć lub też co najmniej zbrojnych demonstracji pomiędzy przeciwnikami, bowiem na przykład w roku 1601 Drohojowski sprowadził do Sądowej Wiszni cały oddział hajduków uzbrojonych w rusznice, którzy ograbili i poturbowali kilku mieszczan z Krasnopola. Tak naprawdę jednak, powód do rozpoczęcia wojny był zupełnie, ale to zupełnie inny.

Nieopodal włości Drohojowskiego mieszkał bowiem niejaki Stanisław Tarnawski, chorąży sanocki, a przy tym znany warchoł, banita i infamis. Tarnawski był na początku stulecia zrujnowany finansowo, a jego okazała fortuna, licząca kilka wsi, obciążona była ogromnymi długami. Jednym z wierzycieli Tarnawskiego stał się wkrótce referendarz Drohojowski, który po prostu kupił dług Tarnawskiego. Tarnawski, który według prawa winien był referendarzowi koronnemu 70 tysięcy złotych, sprzedał jednak wszystkie swoje włości Stanisławowi Stadnickiemu z Leska. Drohojowski postanowił zatem nie czekać, aż Stanisław zagarnie włości Tarnawskiego, lecz postanowił schwytać swego przeciwnika i wymusić nań oddanie majątku.

W roku 1601 Drohojowski urządził na Stadnickiego zasadzkę nad Strwiążem. Gdy jego przeciwnik przejeżdżał tamtędy, zniemacka zaatakowany został przez ludzi referendarza. Stadnicki stawiał twardy opór, nie wytrzymał jednak przewagi przeciwnika i musiał ratować się ucieczką. Hajducy Drohojowskiego nie ścigali go zaś wcale, tak dalece bowiem zajmowało ich łupienie podróży wozów i kufrów kasztelana, że poniechali pościgu.

Już wkrótce do drugiej utarczki doszło w Przemyślu. I znów sprowokował ją Drohojowski, który najprawdopodobniej napadł Stadnickiego w mieście. Rozgorzała tutaj ciężka walka, a Drohojowski wytoczył nawet przeciwko swemu przeciwnikowi armaty. Ściągnęło to jednak kłatwę kościelną na jego głowę, bowiem w zamęcie żołnierze referendarza ostrzelali także przemyską katedrę. Biskup Pstrokoński uznał to za profanację, zamknął katedrę, a referendarza obłożył interdyktem. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy pan Jan upokorzył się i odprawił pokutę.

Tuż po wspomnianych zajściach, Zygmunt III Waza założył pomiędzy Drohojowskim a Stadnickim zastaw w wysokości 120 tysięcy złotych. Suma ta była jednak groźna tylko na papierze. A już, gdy w roku 1604 Drohojowski uzyskał w sądzie prawo intromisji do włości Tarnawskiego, które zagarnął Stadnicki, konflikt rozgorzał na dobre. Najpierw referendarz urządził kilka dokuczliwych zajazdów na wsie Stadnickiego. W końcu, gdy Drohojowski zorganizował wyprawę na Tarnawę, Stadnicki zebrał 200 ludzi i zastąpił mu drogę, a potem zmusił do ucieczki. Drohojowski nie przejął się porażką. W kilka dni po potyczce urządził nowy zajazd na Tarnawę, zajął ją, wymusił posłuszeństwo na chłopach, a we wsi i w kilku innych włościach ustanowił swoich ekonomów. Jednak już w kilka dni później Stadnicki odebrał zagarnięte wsie, a czeladź i dzierżawcy Drohojowskiego poszli w dyby i do sanockiego więzienia.

Widząc jak stoją sprawy, Drohojowski postanowił schwytać banitę Tarnawskiego. Przez długi czas śledził go i ścigał, chcąc wykonać ciężące na hultaju wyroki. W końcu pozyskał nawet starostę sanockiego Mniszcha, który wydał uniwersał do szlachty sanockiej, aby stawiała się zbrojnie pod jego rozkazy w celu schwytania infamisa. Panowie bracia jednak zlekceważyli uniwersał. Na wezwanie Mniszcha stawili się zaledwie dwóch szlachciców, podczas gdy Tarnawskiego wsparło wielu znanych hultajów. Jednak Mniszech i Drohojowski nie odstąpili od swoich zamiarów. Egzekucję starościńską zamierzali wykonać w dwóch majątkach Tarnawskiego – Zagórze oraz w Glinnem i Uhercach. Na pierwszą wyjechał ze zbrojną asystą podstarości sanocki Chamiec, na drugą zaś Stanisław Kamodziński. Obydwaj powrócili z niczym. Chamiec, który dotarł do Zagórze, znalazł tam całą armię szlachty, a także baterię działek i hakownic. Podstarości stwierdził, że było tam ponad 600 ludzi z samym chorążym Tarnawskim na czele, po czym szybko musiał wracać, powitany gęstą salwą ze strzelb. W podobny sposób zakończyła się egzekucja Kamodzińskiego, który po kilku starciach z przyjacielem Tarnawskiego Janem Tyrawskim, musiał uchodzić aż pod Sobień.

Do ostatecznej rozprawy pomiędzy Drohojowskim a Stadnickim przyszło dopiero na jesieni 1605 roku. Pan referendarz założył prawdziwy obóz pomiędzy Glinnem a Uhercami, gdzie zgromadził znaczne siły i prześladował Stadnickiego. Żołnierze Drohojowskiego napadali między innymi kupców jadących na jarmark do Chyrowa, dopuszczali się zbójcekich napadów na włości Stadnickiego. Do ostatecznego starcia doszło w Przemyślu 19 listopada. I tutaj, w niejasnych okolicznościach, zginął referendarz koronny Jan Tomasz Drohojowski.

Po śmierci referendarza, wdowa po nim – Jadwiga z Herburtów – znalazła się w prawdziwie rozpaczliwym położeniu. Po zgonie jej męża, Stadniccy: Stanisław z Leska, Diabeł Łańcucki i Marcin Stadnicki, przystąpili do wydzierania wdowie majątku. Diabeł zagarnął jej majątność Wojutycze, Jan Krasicki, starosta doliński zajechał zaś z kolei Rybotycze, które złupił i splądrował. Gdy tylko wycofał się, jak piorun spadł na wdowę Marcin Stadnicki, a gdy Jadwiga

zamknęła się w zameczku w Rybotyczach, ostrzelał ją z dział i oblegał tak długo, aż wdowa poddała się i wyszła z zamku, a wówczas Stadnicki zrabował Rybotycze, zabrał z nich złoto, klejnoty i kobierce, warte ponoć aż 100 tysięcy złotych.

Jacek nad Jackami

W dawnej Rzeczypospolitej dość łatwo otrzymać można było infamię i banicję za zbrojny zajazd na dwór lub włości sąsiada. Jedynym wyjątkiem były zajazdy urządzone przez starostów w majestacie prawa. Zwykle jednak każdy z panów braci uważał za stosowne przeprowadzenie zajazdu samemu, gdy tylko otrzyma już na swego wroga wyrok sądowy. Wystarczyło, że trybunał, albo sąd ziemski wydał korzystny wyrok w sporze o włości, czy zwykłą łękę lub nawet dostęp do rzeki, a wnet pewny swego pan brat zbierał czeladź, chłopów, czasami także najmował nieco zbrojnego hultajstwa i zajeżdżał swego adwersarza.

Zajazdy nie należały wcale do łatwych. W przygotowywaniu ich konieczne było nie tylko obycie z koniem i szablą, lecz także znajomość prawideł sztuki wojowania. Ci spośród szlachty, którzy nie znali się na wojaczce, zawsze skorzystać mogli jednak z pomocy fachowców. W województwie ruskim na przykład znano więc niejakiego Jacka Dydyńskiego, który za stosowną opłatą gotów był urządzać zajazd na każdego szlachcica. Dydyński, zwany także „Jackiem nad Jackami”, był wojowniczego usposobienia, służył niegdyś w chorągwiach lisowczyków. Nic więc dziwnego, iż w Ziemi Przemyskiej bano się go jak ognia.

Nie wiemy niestety, kiedy urodził się opisywany pan brat, znany z waleczności i męstwa. Wiadomo, że pochodził z Niewistki w Sanockim, a na początku XVII wieku służył w chorągwiach lisowczyków. Dydyński, podobnie jak wielu spośród panów braci z Ziemi Przemyskiej, służył potem przez pewien czas u Stanisława Diabła Stadnickiego. Jednak spryknęszy sobie jego kompaniję, przeszedł szybko do jednego z wrogów Diabła – Konstantego Korniakta, możnego szlachcica ze Lwowa, który toczył ze Stadnickim długą i okrutną wojnę. Później, po śmierci Diabła, Dydyński długo pozostawał płatnym kondotierem na usługach szlachty, aż w końcu w roku 1636 przeszedł na służbę do Stanisława Krasickiego, podczaszego łomżyńskiego, który ubiegał się o starostwo po swym ojcu – Jerzym, uznanym za słabego na umyśle. W Boże Narodzenie 1637 roku Dydyński napadł ze swą czeladzią na Dolinę, doszczętnie złupił ją i splądrował. W roku 1639 Dydyński, wciąż na służbie Stanisława Krasickiego, wystąpił zbrojnie przeciwko kasztelanowi wyszogrodzkiemu Maciejowi Siecińskiemu, który usiłował zagarnąć dla siebie dobra starostwa dolińskiego należące do Jerzego Krasickiego. Już wkrótce jednak Jacek Dydyński porzucił znowu podczaszego i przystał do jego najzacieklej szych wrogów – książąt Sanguszków, tak iż Stanisław Krasicki groził panu

Jackowi śmiercią, a Władysław IV Waza założył między przeciwnikami zastaw, czyli wadium w wysokości 60 tysięcy złotych polskich. Dydyński przysłużył się następnie innemu synowi Jerzego Krasickiego – Adamowi. Ów miał kłopot z niejakim Jakubem Kakowskim, który zagarnął majątek jego matce Rachinie. Dydyński był prawdziwym mistrzem w sprawach zajazdów, szybko zatem zorganizował wielki zajazd na Kakowskiego, który bronił się długo, aż w końcu uchodzić musiał ciężko ranny wraz z niedobitkami swoich dragonów.

W ciągu całego swojego życia Jacek Dydyński poczuł porażkę tylko raz, gdy zadarł z innym panem bratem, tak samo jak i on, parającym się płatnymi zajazdami Mikołajem Tarnawskim, który w drodze do Lublina urządził nań zasadzkę i mocno poranił. Trybunał lubelski z kolei, za bezprawne najazdy i za zwadę z Tarnawskim, skazał pana Jacka na 6 niedziel w więzy. „Jacek nad Jackami” długo służył panom braciom w rozstrzygnięciu wszelakich zajazdów i waśni, dopóki w roku 1649 nie zginął w bitwie pod Zborowem, walcząc w chorągwi powiatowej Ziemi Przemyskiej, pod komendą Zygmunta Przedwojowskiego.

Pan Odlanicki

Nie byłby chyba nikim znanym imć pan Jan Władysław Poczobut Odlanicki, gdyby nie zostawił po sobie pamiętnika. Bez niego opisywany szlachetka zniknąłby w ogromnej masie herbowych panów braci i nikt dziś, po latach, nie wiedziałby nawet, kto zaczął i co czynił za życia. Jednak pan Odlanicki spisywał długo i cierpliwie wszystkie swoje wspomnienia, a zatem bitwy, pojedynki, zwady i pijaństwa, bowiem imć pan Jan Władysław był nade wszystko znamienitym warchołem. A że nie posiadał zbyt wielkiego wykształcenia, opisywał w swoim pamiętniku życie szlachty polskiej takie, jakim było ono naprawdę, w prostych, mocnych słowach.

Co strona zatem znaleźć można w pamiętniku pana Odlanickiego zwykłe, normalne sceny z życia codziennego herbowych panów braci. „Zabił towarzysz nasz, pan Ostrowski, pana Obrąpalskiego, tyrańsko, obuchem w łeb, aż mózg wyprysł, a sam uciekł” – pisze bez żadnej żenady Odlanicki. „Miesiąca augusta dnia 2 wychodziłem na pojedynek ze Stanisławem Wołkiem, z którym bić się nie puszczono, bo wcale on nie chciał – tak go tchórz z Łaski Bożej obleciał”. Czasami Poczobut Odlanicki, rębajło znany chyba w całym wojsku litewskim, odnosił także przykre porażki. „Zwadziliśmy się z sędzicem pińskim (Nowickim) pofolgowałem w cięciu, przyparłszy go w opłotki przy kacie” – podaje Odlanicki. „Przyszło mi się potem z towarzyszem jego Snarskim pociąć, któremu palec uciał, a on przypadłszy z boku, ciął mnie w łeb, w róg głowy, zem się na nogach nie ustał” – pisze znany rębajło.

Pan Odlanicki trzymał zawsze przy sobie wiele ochoczej czeladzi – najczęściej godnych siebie wisielców i zawalidrogów. „Dnia 23 februaru czeladź moja, będąc podpitą, zwadzili się,

mijając dwór wołpiński z dragonią jm. pana Sapiehy natenczas podskarbiego Wielkiego Księstwa Litewskiego, tak dużo, że i dragonią w dwór wparli, aż młódź wypadła, dopiero wtedy uszli obronną ręką”. Zwada ta wywołała, oczywiście, wielki gniew Sapiehy, który chciał zaraz osobiście wyjść na pojedynek z Odlanickim, jednak gdy posłańcy podskarbiego przybyli do naszego bohatera, ów wyśmiał ich. „Dla Boga, proszę, perswadujcie panu swemu – powiedział – aby mnie na pojedynek nie wyzywał, bo jeśli mnie wybije, to niewielką sławę mieć będzie, że Sapieha Poczobuta wybił, ale jeśli – uchowaj – Poczobut Sapiechę, to cała monarchija szczęście jego widziałyby i taką wiktorię”.

Odlanicki wychodził zwykle cało z pojedynków. Dość często zdarzało się, że już w trakcie walki jego przeciwnik zmieniał zdanie i oświadczał, że nie chce bić się dalej. „Nazajutrz wyjeżdżałem na pojedynek z panem Stanisławem Szemiotem, który wyzwawszy do pierwszego cięcia, jał się prosić, że aż musiało być dosyć, za co chwala Najwyższemu. Podczas tej zwady księdza Konarzewskiego okrwawiono, czub wyrwano i w gębę dano, bo siła sobie pozwał”.

Poczobut Odlanicki, pochodząc ze średniej szlachty, ujmował się zwykle za krzywdą innych panów braci, podobnie jak zresztą większość herbowych w Wielkim Księstwie Litewskim. „Na sejmiku traktowała się materia niesłychana sprawy takowej, iż młody pan Massalski, młody syn podkomorzego nowogrodzieńskiego, wzięwszy szlachcica dobrego, jakby sam nigdy nie był lepszym, pana Samuela Szoldkowskiego z domu jego własnego, dał mu plag siedemset batogami, o co się cały powiat ujął i chciał był gwałtownika wziąć z domu, sądzić go. Ale że sam uciekł z majątności swojej, musieli się od przedsięwzięcia wstrzymać” – pisze Odlanicki.

Pan Fredro i jego Murzyn

Andrzej Fredro, możny szlachcic z Ziemi Przemyskiej, słynął na początku XVII wieku jako notoryczny warchoł, piniacz i awanturnik zajeżdżający sąsiadów. Pan Andrzej i jego brat Jan zasłynęli także z wielu okrucieństw. W roku 1599 napadli na niejakiego Mikołaja Ornowskiego, który stał w gospodzie w Przemyślu, poranili go szablami, gdy leżał w łóżku, a potem kazali wywlec na ulicę, gdzie rozsiekli go ich słudzy i pachotkowie. W roku 1603 ci sami bracia zarabali Teodora Tarnawskiego, a w trzy lata później zabili swego krewnego – Jana Orzechowskiego, którego napadli w Boże Narodzenie modlącego się w kościele.

Poza tym wszystkim Andrzej bywał często sprawcą wielu burd i awantur. Na swoim dworze trzymał Murzyna – rzadkość w owych czasach. Murzyn ów przejął w zupełności szlacheckie obyczaje. Jako sługa Fredry chadzał w żupanie i przy szabli, brał także udział w bijatykach swego pana. Tak właśnie stało się, gdy pewnego razu Fredro przechadzał się ulicami Przemyśla wraz z gromadą czeladzi i Murzynem. Niespodziewanie spotkał się z prawosławnym orszakiem

pogrzebowym i nie mogąc precyzyjnie się przez tłum, razem ze swym kompanem – Stanisławem Jaksmanickim, dobyli szabli i poczęli przepłaszając uczestników pogrzebu. W trakcie zamieszania Murzyn oberwał w łeb, czy też po boku, a uniósłszy się gniewem, wpadł z dobytą szablą do cerkwi i począł siec nią na wszystkie strony. Zaraz za owym Murzynom wpadł niejaki Wijowski, a w świątyni doszło wkrótce do paniki i przelewu krwi. Jeden z Rusinów na pogrzebie odniósł ranę, inni puciekali z cerkwi, porzuciwszy trumnę i katafalk. Jednak uchodząc, zatrzasnęli i zamknęli na klucz drzwi cerkwi, zamykając w środku Murzyna i Wijowskiego, a potem popędzili do zamku po starościńskich hajduków.

Obydwaj hultaje Fredry znaleźli się teraz w nader przykrym położeniu. Nie mogli ująć z cerkwi przez okna, te bowiem, były zbyt małe. Jednak, na szczęście dla nich, już wkrótce przybył z odsieczą sam Fredro, a wraz z nim Jaksmanicki. Zanim księża ruscy powrócili z zamku ze strażą, pan Andrzej i jego towarzysze wyłamali już drzwi cerkwi i uwolnili Wijowskiego i Murzyna.

Liber Chamorum pana Trepki

Stan szlachecki był w wieku XVII niezwykle atrakcyjny dla osób nie wywodzących się spośród herbowych panów braci. Wielu mieszczan i wzbogaconych chłopów starało się zatem wśliznąć w szeregi szlachetnie urodzonych. Bogactwo, ożenek ze szlachetną panną ze zubożałego rodu, na ostatku zaś spryt, umożliwiały nieprawne podawanie się za szlachcica. Uczynek taki, karany w dawnej Polsce śmiercią, był w zasadzie nie do wykrycia. Szlachty polskiej liczone na ponad milion, a w tak ogromnym społeczeństwie szlachetnie urodzonych panów braci niknęli ci, którzy nie mogli wylegitymować się szlacheckim pochodzeniem.

Mimo iż rzadko udawało się wykryć fałszywych szlachciców, znalazł się jednak w pierwszej połowie XVII wieku pewien pan brat, który wytrwale i bezlitośnie tropił wszystkich plebejuszy. Ich nazwiska i historie spisywał zaś w wielkim dziele zwanym uczenie „Liber generationis plebeorum”, w skrócie zaś: „Liber Chamorum”. Był to Walerian Nekanda-Trepka, zubożały szlachcic z Małopolski, który wytrwale jeździł po sejmikach i szlacheckich biesiadach, zbierając informacje, które umieszczał w swojej księdze. Trepka pilnował wszystkich i wszystkiego, czujnie nadstawiał ucha, opisując zabiegi godnych pogardy chamów, którzy usiłowali się „śrobować do ślachectwa”.

Walerian Nekanda-Trepka wskazywał wiele cech, którymi wyróżniali się chłopcy usiłujący udawać prawdziwych Sarmatów. „Szeplunieł z Mazowiecka” – pisał nasz autor o jakimś Pińczowskim – „jak chłop, a o ślachectwie swym bajął. Jak mu kto przypochebiając rzekł: WM ślacheć, to go częstował do zdechu winem. Tak drudzy chcą się napić darmo wina, zwali

Pińczowskiego ślachcicem”. „Śmiglecki zalecał się pannie Gosławskiej w sandomirskiej ziemi, ale poznano z niego, że chłop, bo mowę chłopską miał, szepluniawą i prostak w obyczajach”. O niektórych panach braciach Trepka pisał wprost, bez ogródek, jak na przykład o Adamie Bronickim: „idyjota, ni pisać, ni czytać nie umięjtny, chłop własny...”.

Ma się rozumieć, że pan Walerian, prawy szlachcic małopolski, nie uznawał wcale nobilitacji sejmowych, w wyniku których wyniesiono do stanu szlacheckiego, na przykład, za zasługi w wojnach, chłopów i mieszczan, „Jak król da przywilej, niechże (chłop) tylko u niego będzie nobilis, a u ślachty wszystkiej, chłopem, póki żyw będzie. Król wieś dać może, ale odrodzić nie może, bo nie Bóg” – pisał Trepka w „Liber Chamorum”. Pan Walerian pilnie baczył też na nazwiska panów braci. „Ci Wyżłowie, bądź Kusiowie, niech się nie czynią ślachtą – pisał – Wyżłowie niech idą ze psy w rząd, a Kusiowie do chłopów!”.

Ogromną trwogą przejmowały Waleriana Nekandę-Trepkę wieści, że tu i ówdzie któryś z biednych zaściankowych szlachetków wydawał chyłkiem swoją córkę za mąż za chłopca albo mieszczanina. Kiedy niejaki Brodecki, będąc opiekunem sieroty Anny Mokierskiej, wydał ją za mąż za chłopca, Trepka rzucał gromy na nieszczęsnego zagrodnika, że „chłop wnet psim, niecnotliwym, maklerskim sposobem i żony ślachcianki i wsi dostał. Nie godzien chłop tak leda jakiej ślacheckiej krwi, jeszcze i wsią i dostatkiem okraszanej...”. Osobliwie Trepka zżymał się, gdy słyszał, że z przyczyny chłopskich sług dochodziło do waśni czy zabójstw. „Kozubski zwał się zwykły chłopski syn z Brnia, służył u pana Widawskiego, później u pana Walewskiego. Tam podczas dobrego myśli brata pańskiego dał Kozubskiemu w gębę, a pan ujął się za nim i między braćmi przyszło do bitwy. Przypadła siostra rodzona tych panów braci rozwadzać, którą jak to w zwadzie cięto okrutnie, że zabita została. A to wszystko z przyczyny tego służki chłopca”.

Nienawiść Trepki do stanu plebejskiego była przeogromna i nieustająca. Chłop polski był dla opisywanego pana brata przedmiotem największej pogardy, nienawiści i poniżenia. Co jednak najdziwniejsze, ogół szlachty nie miał jednak takiego stosunku do swoich poddanych. Sarmaci widzieli chłopów jako zwykłych, pracowitych, prostych chłopków, których należało chociaż trochę cenić – wszak pracowali na utrzymanie szlacheckiego dworu. Trepka był jednak zgoła innego zdania. „Gródecki był chałupniczy syn ze wsi Gródek, służył u pana Mierzowskiego, co wieś Chrapczów po żonie wziął. Ten szlachcic Mierzowski trzymał cło w Będzinie, a że nie umiał czytać, przeto Gródeckiemu polecił pisywać rejestra celne. A gdy co nie ku myśli starosty uczynił, kijem nieraz bierał i jako mieszczanin lada jaki, do kuny i kabata wsadzony był.” „Stanisława Piorunowskiego zabito anno 1626 za Mikołajską Bramą w Krakowie na śmieciach. Złożył Pan Bóg tak pysznego plebeja ze stanowiska”.

Walerian Nekanda-Trepka nie považył się nigdy na wydanie drukiem swego dzieła. Wszak w „Liber Chamorum” znalazło się co najmniej kilka tysięcy nazwisk szlacheckich. Zapewne autor obawiał się, że posądzeni o chłopskie pochodzenie szlachcice będą szukać zemsty, a nikt

przecież nie lubi, gdy nad karkiem wiszą mu tysiące szabel.

PIJANICE

CZYLI

MOCZYGĘBY I OPILCE

Karol Stanisław Radziwiłł „Panie Kochanku”

Największym pijanicą, facecjonistą i hulaką w Rzeczypospolitej połowy XVIII wieku był Karol Stanisław Radziwiłł, zwany także nader często „Panie Kochanku”, lubił bowiem bardzo zwracać się w taki właśnie sposób do swej czeladzi i klientów. Karol Stanisław już za życia stał się prawdziwą żywą legendą. Szlachta kochała Radziwiłła do szaleństwa. Albowiem chociaż po swym ojcu – Michale Kazimierzu zwanym „Rybeńką”, wojewodzie wileńskim i hetmanie wielkim litewskim, odziedziczył ogromną fortunę, nigdy nie pogardzał drobnymi szaraczkami. Zawsze pił z biednymi panami braćmi i dawał im jeść w czasie nieurodzajów. Młody Karol Stanisław lubował się w urządzaniu najróżniejszych psot pijącym z nim szlachcicom. „Skropić kijem z tyłu nieznacznie, pijącemu przybić kielich do gęby aż do zachłyśnięcia, nalać z tyłu za kołnierz wina leniwo pijącemu, dwom rozmawiającym ze sobą zetknąć głowy z bliska aż do wytryśnięcia guzów, wyrządzać figle sztuczne z obrazą białej płci – wszystko to było najmilszą zabawą Radziwiłła” – napisał o nim Jędrzej Kitowicz. „Ale że Radziwiłł był tak szczodry w podarunki, jak obfity w psoty, nikt się na to nie skarżył. Rozdawał bowiem konie z rzędami, pasy bogate, pałasze, pistolety, zegarki, tabakierki i inne rozmaite sprzęty... Wsie nawet dożywociem i całe klucze niskim kontraktem puszczał swego deboszu i rozpusty wiernym kolegom” – podaje Kitowicz.

Radziwiłł bywał jednak nieznośny dla współbiesiadników jedynie w czasach młodości. Później przycichł, ustatkował się, jednak ciągle zapraszał panów braci na długie, pijackie biesiady. Słynął także z unikalnego sposobu otrzeźwiania się po długotrwałych biesiadach. Kiedy był pijany, kazał polewać się wiadrami wody lub też szedł do kaplicy, gdzie póty śpiewał pijackim głosem pieśni kościelne, póki nie wytrzeźwiał. Radziwiłł znany był ze swoich anegdot, fantazji i sarmackiego humoru. Karol Stanisław ubierał się w strój polski, golił głowę, gardził cudzoziemszczyzną, co zjednywało mu uwielbienie i szacunek szlacheckiego narodu. W „Pamiętkach Soplicy” Henryka Rzewuskiego znaleźć można wiele anegdot i opowieści o „Panie Kochanku”, prawdziwym królu polskich pijaków. Nie na darmo powiadano przecież „Król sobie królem w Krakowie, a Radziwiłł na Nieświeżu”.

Pewnego razu w Nowogródku, gdy Karol Stanisław Radziwiłł wydał ogromną ucztę, na której pito tak tęgo, że wszyscy goście pomieszali się ze sobą, magnaci padali w objęcia

pospolitym zaściankowym szlachetkom i zasypiali razem z nimi pod stołami, książe poczuł potrzebę zbratania się ze szlachtą. Wstał zatem od stołu, a zobaczywszy jakiegoś szlachetkę z obdartą czapką, szybko zdjął mu ją i włożył na swoją głowę, a potem dał tę, którą wcześniej nosił. Na ten znak wszyscy kompani Radziwiłła, którzy byli na tyle trzeźwi, aby pozostać na nogach, natychmiast poczęli zamieniać się czapkami i kołpakami między sobą. „Panie Kochanku” zaś począł się rozbierać, oddając z przyrodzonej dobroci serca swoje szaty przygodnie spotkanym szlachetkom. I tak jednemu z panów braci dał swój złoty pas, mówiąc: „darując durniu!”. Drugiemu jeszcze oddał kontusz: „Na, świnió!”, innemu z kolei oddał brylantową spinkę: „trzymaj ośle!”. Na koniec książe zdjął żupan i, rzuciwszy go jakiemuś panu bratu z okrzykiem „masz kpie!”, w samych hajdawerach i koszuli usiadł na wielkiej beczce wina leżącej na wozie. Gdy siadł, jego kompani poczęli ciągnąć wóz po ulicach Nowogródka, co kilka kroków zaś zatrzymywali się, a kto tylko chciał, mógł nadstawić kielich lub garnek, a książe zaraz odykał czop od beczki, każąc pić za swoje zdrowie.

Karol Stanisław Radziwiłł nie zagroził nigdy niczyjemu życiu, poza życiem Ignacego Paca. Bowiem gdy ów, pokłóciwszy się o coś z księciem, wyzwiał go na pojedynek, Radziwiłł udał, że rozgniewał się na Paca, nakazał schwytać go, okuć w kajdany i wtrącić do więzienia. Nazajutrz kazał ubrać go w śmiertelną koszulę, wyprowadzić na plac w asystencji kata i księdza, i stracić. Wszyscy przyjaciele i sam Pac rzucili się do nóg Radziwiłła, prosząc o litość. Książe jednak zapamiętał się na wszystkie ich głosy i ponaglał Paca, aby co rychlej położył głowę pod topór. Gdy w końcu pan Ignacy wypowiedział się, Radziwiłł nagle roześmiał się i zawołał po prostu: „Ot, widzisz, ja ciebie lepiej nastraszyłem niż ty mnie pojedyńkiem!”. A zaraz po tym zaprosił Paca na pokoje, ugościł i uczęstował, nie czując już doń żadnej urazy. Pac jednak, zmuszany do picia po tak wielkim przestraszeniu, nazajutrz rozchorował się i zaraz umarł.

Spośród wszystkich pamiątek po Karolu Stanisławie Radziwiłł, na wspomnienie zasługują chyba najbardziej jego facecje, za życia szeroko znane wśród szlachty, rozprowadzane sobie w karczmach i na sejmikach. O księciu powiadano wprost: „kiedy łąć, to jak Radziwiłł”, czy też „Radziwiłł rad żywił”. W dawnej Rzeczypospolitej znano wiele anegdot o „Panie Kochanku”. Do najciekawszych należy chyba ta, jak to Radziwiłł polował na niedźwiedzie. Otóż według naszego bohatera, wystarczyło po prostu pomazać miodem dyszel od wozu i pozostawić go w lesie. A wówczas przychodził łasy na miód niedźwiedź, rozdziawiał paszczę, aby zlizać miód z dyszla, potem lizał coraz dalej i dalej, aż w końcu nadziewał się na drąg.

Innym razem z kolei „Panie Kochanku” polecił wydoić wszystkie krowy w Nieświeżu i zlać mleko do jednej sadzawki. Potem zrobiła się śmietana, w końcu masło. I w maśle tym – znaleziono źrebię, które się w sadzawce z mlekiem utopiło.

Na Litwie powiadano często, jak to pewnego razu „Panie Kochanku” wybrał się na polowanie. Zobaczył w końcu jelenia, ale że nie miał już śrutu, nabił strzelbę pestkami od wiśni

i strzelił. Trafił prosto między rogi, ale i tak jeleni uciekł w gęste chaszczę. Gdy następnego roku „Panie Kochanku” wybrał się na polowanie, zobaczył jelenia, na łbie którego zakwitł krzak wiśni.

A oto inna anegdota: – Jeżdżąc po morzach, panie kochanku – opowiadał kiedyś Radziwiłł – spotkałem na Adriatyku prześliczną syrenę, półkobietę i półrybę. Otóż kazałem ją swoim ludziom chwycić i potajemnie ślub z nią wziętem na okręcie. Potem, panie kochanku, potomstwo jakie z nią miałem, złożone ze stu tysięcy śledzi, darowałem Borowskiemu, dworzaninowi memu, za co niemało pieniędzy zgarnął, prawda Borosiu?

– Tak jest, proszę księcia, prawda to najprawdziwsza – potakiwał natychmiast dworzanin.

– Jeśli ja łzę, to łzę rzeczy, które się zawsze zdarzyć mogą – powiadał często Karol Stanisław Radziwiłł. I razu pewnego zwrócił się do swego dworzanina Borowskiego: – Proszę, wymyśl coś takiego, co w ogóle, absolutnie byłoby niemożliwe, a dam ci konia z rzędem.

Nazajutrz Borowski przyszedł do księcia ze smutną miną.

– Co się stało, panie kochanku? – zapytał go Radziwiłł.

– A, nic, miałem dziwny sen...

– Co za sen?

– Ano śniłem, że byłem w niebie i tam... kiedy wstydę się powiedzieć.

– No co, nie bój się.

– Tam w niebie, u Pana Jezusa Radziwiłł świnie pasie...

– No tak panie kochanku – powiedział roześmiany książę – zmyśliłeś coś, co jest absolutnie niemożliwe. Dostaniesz konia z rzędem!

Innym razem z kolei Radziwiłł opowiadał, jak to przebywając w Chorwacji, postanowił zaatakować turecką fortecę. Jednak w czasie szturmował miał przykry wypadek: pocisk armatni oberwał jego koniowi obie tylne nogi. Ale Radziwiłł nie byłby Radziwiłłem, gdyby nie poradził sobie i w takiej sytuacji. „Panie Kochanku” dał bowiem tak mocno ostróg koniowi, że ów na dwóch pozostałych, przednich nogach wskoczył na wał. A tam już pan Stanisław w pół pacierza wyrąbał całą załogę.

Karol Stanisław Radziwiłł nie ograniczał się rzecz jasna do swego ukochanego Nieświeża. Jak sam powiadał, korespondował z Jeanem Rousseau i Wolterem. A kiedy wyrwał się z tym w czasie jakiegoś przyjęcia i ktoś rzekł mu, iż przecież obaj ci myśliciele dawno już pomarli, Radziwiłł odparł z miłym uśmiechem, że „pewnie listy na pocztę zaległy, bo kilka ich świeżo odebrałem”.

Bez wątpienia Karol Stanisław Radziwiłł kochał szlachecką Rzeczpospolitą. Opowiadał się po stronie antyrosyjskiej konfederacji barskiej, opowiadał przeciwko zdrajcom i sprzedawczykom, którzy byli zwolennikami ostatniego króla Rzeczypospolitej Stanisława Poniatowskiego. W lecie 1769 wyjechał nawet z kraju, szukając w Europie ratunku dla

upadającej konfederacji. Karol Stanisław nienawdził bardzo rosyjskiej carycy Katarzyny, popierał nawet samozwańczą pretendentkę do tronu rosyjskiego – kobietę, która podawała się za księżniczkę Tarrakanow, nieślubną córkę cesarzowej rosyjskiej Elżbiety. A w Polsce w 1776 roku sejmiki, które wybierały posłów na sejm, umieszczały w instrukcjach poselskich żądanie, aby Karol Stanisław Radziwiłł mógł wrócić bezpiecznie do kraju.

Kielich Adama Małachowskiego

W XVII i XVIII wieku istnieli tacy pijanice, którzy okazywali się bardzo niebezpieczni dla swych gości – a zwłaszcza podróżnych, którym wypadło zatrzymać się u nich po drodze. A wszystko z powodu nadmiaru staropolskiej gościnności. Mogło bowiem się zdarzyć, że któryś z wielkich moczygębów, nie mając kompanii do wypicia, nie chciał wypuścić gościa zbyt szybko.

W Małopolsce, w XVIII stuleciu, wszyscy unikali jak ognia dworu w Bąkowej Górze. Unikali, bowiem mieszkał tam niejaki Adam Leon Małachowski. O moczygębie owym rozprawiano szeroko. Jeszcze w 10 lat po jego śmierci uczony pludrak – Francuz, ksiądz Hubert Vautrin, pisał z niedowierzaniem, że pan Małachowski „przepił ponad milion złotych” i, jednym haustem wypróżnił puchar zawierający dwie butelki wina”.

Małachowski znany był jednakowoż z innego rodzaju wyczynów. Pijanica ów posiadał wielki, półgaracowy (2 litry) kielich, zwany „corda fidelium”. Każdy, kto po raz pierwszy gościł we dworze wspomnianego szlachcica, musiał wychylić duszkiem całą zawartość pucharu. Jeśli mu się to nie udało, za każdym razem, kiedy odrywał naczynie od ust, dolewano mu wina do pełna. Działo się tak, dopóki nie wypił wszystkiego, co jednak – jak się domyśli każdy Czytelnik – w zasadzie się nie zdarzało, lub też padł bez życia na ziemię. Małachowski przez długie lata był wielkim ciężarem dla podróżnych i okolicznej szlachty; owszem, czasami i do niego zjeżdżali specjalnie wielcy biboszowie z całej Korony, aby spróbować sił w pijackich zawodach. Czasami temu i owemu zmarło się nawet gdzieś pod płotem, a niektórzy z tych, których zły los i droga zaniósł do Bąkowej Góry, ratowali się ucieczką, pozostawiając konia, szablę, a nawet pas słucki.

Pewnego razu przyjechał do pana Małachowskiego bernardyn – kwestarz. Członkowie tego zakonu, podobnie jak pijarzy, nie na darmo słynęli z wielkich brzuchów i przepastnych gardeł. Gdy już napełniono corda fidelium, braciszek ów wziął w ręce kielich, po czym, przeżegnawszy się i poleciwszy swoją gardziel Bogu, począł łykać, aż wreszcie odjął naczynie od ust, pozostawiając nieco wina na dnie. „Ho, ho, nie dopiłeś, bracie! – zawołał natenczas pan Małachowski – dolejcie mu, dolejcie!”.

Osaczony bernardyn, chciał zrazu umknąć gdzieś w kąt, otoczono go jednak i znowu dolano do pełna. Wówczas począł doić kolejny kielich powolnymi łykami, po czym ten także odjął od ust nie dopity. Małachowski rozkazał, aby dolać mu znowu. Bernardyn wychylił tak następną porcją, a potem jeszcze jedną i jeszcze. W sumie wypił ponoć sześć kielichów, co dawało trzy garnce, czyli dwanaście litrów wina. Zobaczywszy, że kwestarz prędzej poczyni nieodwracalne spustoszenia w jego piwnicy, niż da się spoić, pan Adam nakazał nałożyć mu pełen wóz ziarna i wysłać, gdzie pieprz rośnie. I jak każdy się domyśli, odtąd aż do końca życia unikał bernardynów.

Klasztor Piotra Borejki

Nie byłoby chyba Rzeczypospolitej szlacheckiej, gdyby nie istnieli w niej wielcy pijanice, którzy potrafili wchłonąć ogromne ilości miodu, wina i piwa, nawet wtedy, gdy wszyscy ich towarzysze leżeli już pod stołami. Skoro pisaliśmy już o sławetnym moczygębie Małachowskim, wypada wspomnieć zatem o innych opilcach, którzy szli w zawody z panem z Bąkowej Góry. Za wielkiego pijanice, czy też, jeśli kto woli, rzygulca, uważano w XVIII wieku Janusza Sanguszkę. Miał on tak tęgą głowę, że gdy już się spał, kazał zaprzęgać konie do karety i przejechał kilka mil, powracał trzeźwy, jak gdyby nigdy nic, po czym pił na nowo z tymi, którzy jeszcze byli w stanie dotrzymać mu towarzystwa. Jednak nawet Sanguszko był niczym przy panu Piotrze Borejce, kasztelanie zawichoskim.

Jędrzej Kitowicz nazywa wspomnianego pana brata „pijakiem pobożnym”, a to dla przyczyny, iż szlachcic ów nade wszystko lubił pijać z duchownymi. Najślawniejsze bywały zaś organizowane przezeń we dworze pijackie „klasztory”. Pan Borejko zapraszał do siebie wielu zakonników, a potem zamykał się z nimi na wiele dni i nocy. Rzecz jasna, tak doniosła ceremonia, jak picie ku Bożej chwale, wymagało specjalnego przygotowania. I tak zatem, pokoje sypialne dla wygody pijących wykładano słomą i kobiercami, by każdy mógł spać tam, gdzie padł. Ów pijacki „klasztor” zamknięty był zawsze dla postronnych. Nikt i nic nie zakłócało zatem spokoju kompanów pana Borejki.

Było jasne, iż w pijackim „kasztorze” nie śmiano w żaden sposób uchybić Panu Bogu. Dlatego też zawsze spośród gości Borejkiznaczano odpowiedniego kapłana, który miał odprawiać mszę świętą. Nie była to najlepsza z funkcji, jako że mnich ów nie mógł pić dłużej, jak tylko do godziny jedenastej, dlatego też każdego kolejnego dnia godność ową sprawował inny spośród członków tego zgromadzenia.

Pan Borejko nie mógł wszakże urządzić „kasztorów” tak często, jak by sobie tego życzył. Przyczyna była prosta – niewielu zakonników sprostać mogło jego przepastnej gardzieli. Nawet

bernardyni – znani ze swoich gardeł i ogromnych brzuchów nie bywali u niego częściej niż kilka razy w miesiącu. A zatem, kiedy Borejko nie miał z kim pić, ruszał z czeladzią na rozstajne drogi, gdzie zaczajał się na przypadkowych podróżnych. Każdy, kto tylko przejeżdżał w pobliżu, proszony był przed oblicze pana kasztelana. Wszystko zaczynało się niewinnie – od jednego lub też kilku toastów. Jednak gdy nieszczęsny podróżny wymawiał się od picia, chciał bowiem jechać dalej, okazywało się, że pan Borejko nie chciał zbyt prędko wypuścić go w dalszą drogę. Zwykle zatem każdy gość musiał pić dopóty, dopóki nie padł z nóg. Na dobro Borejki zapisać jednak należy fakt, iż zwykle zostawiał przy śpiącym swego sługę, który pilnował, aby nikt nie okradł pijanego.

Okoliczna szlachta i sąsiedzi lubili bardzo pana Borejkę. Raz, iż był niezwykle gościnny, dwa zaś, że jako wielki pijanica słynął z bardzo humanitarnego sposobu postępowania. Borejko nie przymuszał bowiem nikogo do ścinania kwartowych szklaneczek duszkiem, tak jak Małachowski; pozwalał odetchnąć w czasie picia, choć i tak nie za długo.

Konrad Badowski

Jednym ze znanych pijanie i żarłoków w drugiej połowie XVIII wieku był pisarz ziemski lubelski, Konrad Badowski. Badowski często jeździł po dworach panów braci, a w każdej szlacheckiej sadybie potrafił spustoszyć spiżarnię i piwniczkę gospodarza. Ma się rozumieć, nie opuścił on nigdy żadnego sejmiku, żadnego szlacheckiego zjazdu ani uczy. Pojemność jego ogromnego brzucha była wprost zdumiewająca. Powiadano, że gdy pewnego razu przyjechał pijany do znajomych, poprosił o zrazy z kaszą i skwarkami. W czasie gdy służba szykowała posiłek dla pana Konrada, Badowski wypił trzy butelki wina. Zaraz po tym zjadł półmisek zrazów z kaszą i skwarkami, poprawił jeszcze dwoma kapłonami, a na koniec, nim wyjechał, wypił jeszcze cztery następne butle wina. Znajomi, wiedząc o apetytach pana Konrada, nie wiedzieli, czy zaliczyć go do pospolitych w owych czasach pijanic, czy też do niezwykłych żarłoków. Badowski „nie był nałogowym pijakiem, lecz opojem i żarłokiem niesłychanym” – napisał o nim Kajetan Koźmian.

I w rzeczy samej Badowski, choć nie uchylał się nigdy od spełniania rozlicznych toastów i sprawnie osuszał kolejne stągwie i beczki, chorował jednak na pewną dość ciekawą przypadłość. Otóż kiedy już dobrze wypił, przestawał władać rękoma, zwykle stawał pod ścianą, opierał się o nią i czekał na pomoc współbiesiadników. Jego kompani zwykle nie opuszczali Badowskiego w nieszczęściu. Zwykle ktoś szybko zbliżał się do pana pisarza z okrzykiem „do ciebie, panie Konradzie”. A wówczas Badowski, jak pisze Koźmian „otwierał tylko gębę, a przychodzący wcedzali mu kielichy w gardło, a trunek, bulgocąc, jak w przepaść przez gardło

przelewał się”. Pomimo niemocy w rękach, Badowski miał niesłychanie mocną głowę. „Szczególna rzecz, że tak z parę godzin stojąc oparty o ścianę, po tym jak ze snu ocucony chodził, śpiewał i całe towarzystwo przetrwał” – zanotował Kajetan Koźmian.

HERODBABY

CZYLI
SWAWOLNE PANIE
I STEPWE WILCZYCE

Polska carowa

Maryna Mniszchówna, a także jej ojciec, wojewoda sandomierski Jerzy Mniszech uwikłali się na początku XVII wieku w ogromne polsko-moskiewskie awantury zwane przez potomnych „Dymitriadami”. To właśnie owa młodziutka, niska dziewczyna została w wieku 17 lat polską carową na Kremlu. Z jej przyczyny wybuchła także wielka wojna domowa w Moskwie, w którą wciągnięta została również Rzeczpospolita. Państwo polsko-litewskie osłabiło wówczas znacznie potęgę swego wschodniego sąsiada, odebrało mu ziemie, które Moskwa zagrabiła w połowie XVI wieku Litwie. Dla Maryny, i jej męża – cara Dymitra, awantura ta skończyła się jednak tragicznie...

Wszystko zaczęło się ponoć w Brahimiu, w 1603 roku na dworze księcia Adama Wiśniowieckiego. Otóż pewnego razu, gdy książę zażywał kąpieli w łaźni, któryś z jego dworzan – wysoki, niemrawy drągał, uchybił w czymś swemu panu. Wiśniowiecki, co było w XVII wieku zwyczajem normalnym, niewiele myśląc, dał mu w gębę. – Gdybyś panie wiedział, kim jestem, nie uderzyłbyś mnie – powiedział wówczas sługa. – A któż ty taki jesteś? – zapytał książę i – ma się rozumieć – walnął sługę w gębę z drugiej strony. Odpowiedź jaka padła, wywołała co najmniej zdumienie Wiśniowieckiego. Okazało się bowiem, że przed chwilą obić wcale nie sługę, lecz prawowitego następcę tronu w Moskwie, carewicza Dymitra, który cudem uszedł z rąk oprawców ówczesnego władcy Moskwy – Borysa Godunowa.

Pierwszy to chyba i jedyny przypadek w historii Rzeczypospolitej, aby polski magnat bił po gębie władcę Moskwy. Dlatego też Wiśniowiecki dopytywał się o szczegóły, a wówczas tajemniczy młodzian z łaźni wyjawiał mu tajemnicę swojego pochodzenia.

Tragedia Dymitra, który był najmłodszym synem sławnego ze swego okrucieństwa księcia Moskwy Iwana IV Groźnego, a za którego podawał się tajemniczy sługa Wiśniowieckiego, zaczęła się w chwili, gdy zmarł jego straszny rodzic. Iwan Groźny, którego bano się bardzo w Moskwie, nie zostawił jednak po sobie dobrego następcy tronu. Jeden z jego synów – Iwan – zabity został w przyływie gniewu przez ojca. Drugi – Fiodor, który odziedziczył carski stolec na Kremlu, był psychicznie upośledzony i całe dni spędzał na wysłuchiwanie muzyki cerkiewnych dzwonów. Z kolei najmłodszy syn, Dymitr, miał w chwili śmierci Iwana IV zaledwie półtora

roku.

Nic zatem dziwnego, iż faktycznie w państwie rządził wpływowy bojar Borys Godunow, sprawujący formalnie opiekę nad nieudolnym Fiodorem. Godunow marzył, by zostać carem, jednak na przeszkodzie jego zamiarom mógł stanąć młodziutki car Dymitr, który pomimo młodego wieku był już księciem uglickim. Tymczasem zaś Dymitr zapowiadał się na godnego następcę swego strasznego ojca. Ponoć ogromnie lubił dręczyć zwierzęta i ścinać drewnianym mieczem głowy bałwankom, ozdobionymi tabliczkami z nazwiskami Borysa Godunowa i najbliższych mu bojarów. Ale już w roku 1591 ten właśnie Godunow kazał zamordować Dymitra. Morderstwo było doskonale ukartowane, a specjalna komisja, która miała zbadać przyczyny śmierci młodego carewicza stwierdziła, iż chłopiec... zabił się sam w czasie zabawy w „pikuty”. Gdy w roku 1598 zmarł car Fiodor, wygasła dynastia Rurykowiczów, a Sobór Ziemski zdecydował się mianować nowym carem Borysa Godunowa.

Tajemniczy Dymitr, który pojawił się na dworze w Brahimiu twierdził, że był właśnie wspomnianym Dymitrem, synem Iwana Groźnego, ocalonym niemal cudem z kaźni, jaką zgotowali mu ludzie Godunowa. Wiśniowiecki, gdy tylko się o tym dowiedział, ucieszył się szczerze. Skoro bowiem inni polscy panowie trzymali po dworach karłów, wielbłądy i żyrafy, on mógł mieć przy swojej karcie moskiewskiego carewicza. Kwestią otwartą był fakt, czy ów tajemniczy młodzieniec był rzeczywiście Dymitrem. Jak dotąd jest to problem nie rozstrzygnięty. Wielu historyków twierdzi, iż był to Grigorij Otriepiew, były mnich i zbiegły z Moskwy syn carskiego setnika strzeleckiego. Być może jednak Dymitr przygotowany został od dziecka przez wrogów Borysa Godunowa do odegrania roli samozwańca... Jak jednak było naprawdę, nigdy się nie dowiemy. Fakt jednak pozostaje faktem. Wiśniowiecki dostrzegł, że ma idealną szansę na wmieszanie się w sprawy moskiewskie.

Już wkrótce z pomocą potężnemu magnatowi przyszedł inny karmazyn – Jerzy Mniszech, wojewoda sandomierski. Nazwisko tego pana brata aż nadto zasługuje, by umieścić je na kartach tej książki. Mniszchowie, którzy przybyli do Polski z Moraw w połowie XVI wieku, uzyskali wielki wpływ na ostatniego króla z dynastii Jagiellonów – Zygmunta Augusta. To właśnie oni w ostatnich latach jego życia podsyłali mu swawolne panie, wprowadzali na jego dwór czarnoksiężników. Jerzy Mniszech oskarżany był o kradzież królewskich klejnotów po śmierci Zygmunta w Knyszynie. Potem imć pan wojewoda prowadził tak wystawny tryb życia, że zrujnował dobra swoje i królewskie – nie był w stanie spłacać kwarty z posiadanych starostw. Wojewoda miał jednak córkę Marynę, która ponoć wypatrywała prawdziwego księcia z bajki. I księciem tym okazał się carewicz Dymitr, określany potem mianem „wora”, „samozwańca” i „carzyka”. Dymitr, uwiedziony ponoć jej urokiem, postanowił pojąć ją za żonę, a potem uczynić carową Moskwy. Młody carewicz hojnie rozdzielał swoje włości. I tak Mniszchowie otrzymać mieli za swą pomoc księstwo smoleńskie i siewierskie, Maryna zaś Psków i Nowogród

Siewierski.

Już wkrótce na dwór Wiśniowieckiego przybywać zaczęli uchodźcy z Moskwy, z których każdy bez wyjątku rozpoznawał w byłym słudze Wiśniowieckiego cudem ocalałego carewicza Dymitra. Już wkrótce wokół rzekomego następcy carskiego tronu zgromadziło się wielu żądnych przygód hultajów, Kozaków dońskich i zaporoskich, a także uciekinierów z Moskwy. Sam Dymitr zaś począł szykować się do wyprawy po odzyskanie carskiej korony.

Szlachta polska i dygnitarze koronni i litewscy, łącznie z królem Zygmuntem III Wazą bardzo niechętnie spoglądali na Dymitra. Ten jednak wyrzekł się potajemnie prawosławia i obiecał papieżowi, że gdy zostanie carem, „skłoni swój naród do prawdziwej wiary”, czyli podporządkuje cerkiew prawosławną papieżowi. Jednak poza poparciem papieża, Dymitr Samozwaniec nie zdołał uzyskać poparcia żadnego możliwego protektora, prócz oczywiście Mniszchów i Wiśniowieckich.

Dymitr nie przejmował się tym jednak. Szybko werbował wojska, pisał listy do swoich nielicznych zwolenników w Moskwie, szykował się do wyprawy. Do jego obozu przybyło dość szybko wielu hultajów i awanturników, kozaków i innych swawolników. Zbieranina ta liczyła około 4 tysięcy ludzi, i z takim właśnie wojskiem Dymitr zdecydował się wyruszyć na podbój Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, posiadającego ogromną armię i silne twierdze. Dymitrowi ludzie byli tak słabi, że idąc przez Ukrainę, obawiali się, aby niechętny wyprawie książę Janusz Ostrogski nie rozbił ich chorągwi swymi prywatnymi oddziałami.

Wbrew przewidywaniom postronnych, Dymitr Samozwaniec, który wkroczył na ziemie Moskwy w październiku 1604 roku, nie skończył jak zwykły stepowy watażka – pod toporem kata. Sytuacja, jaka panowała w Wielkim Księstwie, sprzyjała jego planom. Od dawna panował bowiem głód, a chłopci, mieszczanie i wielu bojarów nastawieni byli bardzo niechętnie do Borysa Godunowa. Gdy armia Dymitra zbliżyła się do Putywła, miasto poddało się carewiczowi. W innych miastach mieszkańcy obezwładniali carskie załogi i przyjmowali władzę Dymitra. Opór stawiał jedynie Piotr Basmanow, który schronił się w Nowogrodzie Siewierskim. Gdy Dymitr rozpoczął jego oblężenie, Godunow wysłał na odsiecz armię pod wodzą kniazia Fiodora Mścisławskiego. Moskiewscy żołnierze nie dostali jednak pola Polakom i Kozakom, zostali pobici i odrzuceni. Jednak już pod koniec stycznia sam Dymitr rozgromiony został w bitwie pod Dobryniczami.

Zdawać by się mogło, że cała sprawa jest przegrana, bowiem wojsko Samozwańca, które pozamykało się w miastach i twierdzach, nie mogło zbyt długo stawiać oporu. Jednak gdy 13 kwietnia 1605 roku niespodziewanie zmarł car Borys Godunow, Dymitr potrafił wykorzystać nadarzącą się okazję. Kiedy dowódca carskiej armii Piotr Bamanow przeszedł na stronę Samozwańca, przed Dymitrem otworzyła się droga do carskiego stolca. Entuzjastycznie witany, wkroczył do Moskwy, gdzie jeszcze miesiąc temu uduszono wraz z matką młodego Fiodora

Godunowa, syna cara Borysa, i został carem Moskwy.

Już 22 listopada 1605 roku Dymitr zawarł w Krakowie ślub z Maryną, rzecz jasna nie osobiście lecz przez swego wysłannika Atanazego Własiewa. Przy okazji zaślubin doszło do kilku zabawnych incydentów. Nie przyzwyczajony do zachodnich obyczajów Własiew padał na ziemię plackiem, ilekroć wymieniano imię Dymitra. Gdy zaś ksiądz chciał związać stułą rękę jego i Maryny, Własiew wyrwał chustę jakiemuś uczestnikowi ceremonii, obwiązał nią własną rękę i dopiero dał owinąć stułą, aby nie dotknęła go stuła przeznaczona dla carskiego ramienia. Zaś już w marcu 1606 roku Maryna ruszyła w Moskwy, aby zostać carową. Wraz z nią jechały tam istne tłumy Polaków. Nowy car Dymitr okazał się bowiem bardzo łagodnym władcą, otworzył granice Moskwy, pozwolił kupcom na swobodne poruszanie się po ogromnym kraju.

Tymczasem jednak przebywający w Moskwie panowie polscy poczynali sobie naprawdę swobodnie. Pozajmowali szybko najlepsze gospody i dziewczki, wzniecali bójk i zwady, stroili się. Dymitr zaprowadził na carskim dworze wiele z nieznanym dotąd rozrywek, między innymi bale maskowe i tańce, budzące prawdziwą zgrozę wśród Moskwy. „Na tańce nasze (Moskale) tak mówią: chodzić po izbie, szukać, czego się nie zgubiło, szalonym się czynić, a nade wszystko błaznem, bo człowiek – mówią-pocziwy ma siedzieć na swoim miejscu” – pisał Samuel Maskiewicz. Nic zatem dziwnego, że niechęć do Polaków sprzyjała zawiązaniu spisku, na czele którego stanął Wasyl Szujski, a także Golicynowie i Tatiszczewowie. 27 maja, po zaślubinach Maryny, w Moskwie wybuchł bunt wymierzony przeciwko Dymitrowi. Tłumy rozszalałej czerni rzuciły się na Polaków i świętę Dymitra. Samego cara zabito na Kremlu, w czasie ucieczki. Trupa jego wystawiono na widok publiczny na Placu Czerwonym. W końcu Szujski nakazał spalić jego ciało a prochy wystrzelić z armaty na zachód. Maryna ocalała – ponoć dzięki małemu wzrostowi skryła się pod suknią jednej z dam dworu. Później schwytano ją i razem z ojcem powędrowała do moskiewskiej niewoli.

Nowym carem obwołano szybko Wasyla Szujskiego, prowodyra spisku przeciwko Dymitrowi. Nie zmieniło to w żaden sposób sytuacji Moskwy. Wkrótce wybuchł stłumiony krwawo bunt chłopski Iwana Bołotnikowa. A po jego opanowaniu-12 czerwca 1607 roku w Starodubie pojawił się następny Samozwaniec – podający się z kolei za ocalonego w Moskwie Dymitra I. Starodubscy bojarzy i dworzanie nie chcieli jednak wierzyć, iż rzeczywiście jest to ocalony carewicz. Kiedy w dodatku rzekomy Dymitr nie chciał przyznać przed nimi, kim naprawdę jest, Moskwicini postanowili wymusić na nim przyznanie się tradycyjnymi metodami używanymi od wieków w ich państwie – torturami. Wówczas jednak Dymitr przypomniał sobie, kim jest naprawdę. – Ach wy sukinsyny, jeszcze mnie nie poznajecie?! Gosudar jestem! – zakrzyknął i porwał się do kija.

Ma się rozumieć, że po tym wystąpieniu nikt już nie miał wątpliwości, iż tajemniczy samozwaniec jest rzeczywiście rzekomym Dymitrem. Faktycznie jednak jest pewne, że człowiek,

który pojawił się w Starodubie nie był żadnym ocalałym z moskiewskiego pogromu carewiczem. Współcześni określali go po prostu jako grubego, prostackiego Moskwi-cina. „Do pierwszego niczym, oprócz tego, że człowiek nie podobny” – stwierdził o nowym samozwańcu Stanisław Żółkiewski.

Nowego Dymitra poparli jednak szybko żądni sławy polscy magnaci. Najpierw książę Adam Wiśniowiecki i książę Roman Narymuntowicz Różyński, a potem starosta uświacki Jan Piotr Sapieha. W Rzeczypospolitej skończył się właśnie rokosz Zebrzydowskiego, więc w całym kraju było wielu wolnych zawalidrogów, nie mających zajęcia i szukających szybkiej okazji do zwady i wypitki. Wszyscy oni, zarówno byli rokoszanie, jak i regaliści, ruszyli do Moskwy. Wojsko polskie samo ochrzciło nowego „carewicza” Szalbierzem, rwało się jednak do boju. W maju 1608 roku Różyński rozbił siły carskie pod Wołchowem i ruszył w stronę Moskwy. W kolejnej bitwie nad Chodynką pokonali siły kniazia Skopina Szujskiego i założyli warowny obóz w Tuszynie pod Moskwą. Car Wasyl Szujski był przerażony. W nadziei ułożenia sobie pokojowych stosunków z Rzeczpospolitą, zwolnił z niewoli moskiewskiej wszystkich jeńców, w tym Marynę Mniszchównę i jej ojca. Wojsko moskiewskie miało odeskortować jeńców do granic Rzeczypospolitej, jednak podjazd Aleksandra Zborowskiego odbił ich z rąk moskiewskich i przyprowadził do Tuszyna. I tu znów rozegrały się romantyczne sceny. Maryna natychmiast rozpoznała w Dymitrze II swego dawnego ukochanego. Tak samo Jerzy Mniszech, w zamian za trzysta tysięcy rubli i czternaście zamków siewierskich, „rozpoznał” w Szalbierzu swego zięcia. Najprawdopodobniej jednak po cichu udzielono ślubu Marynie i Dymitrowi II.

Wojska Dymitra rozpoczęły teraz blokadę stolicy Wielkiego Księstwa, która jednak nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Nie powiodło się też oblężenie Ławry Troicko-Siergiejewskiej przez Jana Piotra Sapiechę. Kiedy w dodatku w roku 1609 do wojny z Moskwą przystąpiła Rzeczpospolita, w Tuszynie zapanował zamęt. Część z dowódców, jak na przykład Aleksander Zborowski, syn znanego banity Samuela, zdecydowała się przejść do obozu królewskiego. A w styczniu 1610 roku sam Dymitr Samozwaniec uciekł z obozu pod Tuszynem, obawiając się Romana Różyńskiego. Samozwaniec zdołał ująć aż do Kaługi. Sytuację uratowała tajemnicza śmierć Różyńskiego. Jednak gdy w lipcu 1610 roku hetman Stanisław Żółkiewski rozbił wojska rosyjskie pod Kłuszynem, zajął Moskwę i zawarł z bojarami ugodę wynoszącą na moskiewski tron syna polskiego króla Zygmunta III Władysława, na ludzi Samozwańca padł blady strach. Wkrótce Żółkiewski wyruszył też na wyprawę przeciwko wojskom Samozwańca. Nie doszło jednak do bratobójczej walki. Jan Piotr Sapieha przeszedł bowiem na stronę króla. Żółkiewski podjął też rokowania z Dymitrem, obiecując mu nadanie Grodna lub Sambora w Koronie za zrzeczenie się pretensji do tronu carskiego. Szalbierz odparł jednak, że wolałby raczej służyć u chłopca, niż patrzeć chleba z rąk króla polskiego. „Niech też król jegomości ustąpi carowi jegomości Krakowa, a car jegomości da królowi Warszawę!” – miała zawołać wówczas

Maryna, pewna swej carskiej władzy. Żółkiewski usiłował wówczas schwytać Samozwańca, ten jednak powtórnie zbiegł z obozu w Tuszynie do Kaługi. Tutaj już 28 grudnia został zabity przez dowódcę swego oddziału Tatarów – Piotra Urusowa.

Maryna nie poddała się jednak i teraz. Związała się z Janem Zaruckim, znanym wodzem Kozaków dońskich, i u jego boku kontynuowała walkę o carski stolec dla siebie i syna Dymitra II, także Dymitra, nazywanego przez Moskwę „woreńkiem”. Maryna żyła w siodle, po kozacku, biła się wraz ze swym kochankiem z moskiewskimi wojskami. Jednak gdy polski garnizon Moskwy skapitulował w 1612 roku, przyszedł na nią gorzki kres. W lipcu 1613 roku wojska rosyjskie pojmały Zaruckiego i Marynę. Kozak wbity został na pal, Marynę uwięziono w Kołomnie. Tam, najprawdopodobniej w początkach 1614 roku, mały Dymitr został powieszony, a Maryna utopiona w przerębli. Po Samozwańcach nie pozostał żaden ślad.

Wojewodzina Golska

Jedną z najbardziej awanturnicznych niewiast w dawnej Rzeczypospolitej była na początku XVII wieku wojewodzina Zofia z Zamiechowa Golska. Kobieta owa miała po kolei za mężów trzech możnych szlachciców, po każdym z nich odziedziczyła znaczne włości, a także procesy, spory i waśnie. Golska poczyniała sobie zgoła jak pani Stadnicka. Zaciągała hajduków, sabatów i kozaków, prowadziła wojny, urządzała zajazdy, dostawała także wyroki infamii i banicji, z których niewiele sobie robiła. Przeciwnikami Golskiej nie bywali jednak wcale pomniejsi warchoły i awanturnicy. Pani Zofia bowiem toczyła wojny z Radziwiłłami, Wolskimi, Ostrogskimi, Buczackimi i Potockimi.

Pierwszym mężem pani Zofii był niejaki Jan Golski, kasztelan kamieniecki, ale w chwili, gdy stawał na ślubnym kobiercu, był wojskim trembowelskim. Pan Golski był bez wątpienia pospolitym sztachetką, posiadającym majątek Kobyłowloki, cechował go jednak zgoła niepospolity głód dobrego wina i nowin z szerokiego świata. Kiedy Ormianie wozili obok jego włości beczki z tym napitkiem, pan Golski zawsze czuwał z czeladzią przy gościńcu. A gdy gościńcem przejeżdżał jakiś kupiec, zatrzymywał go i zaraz zaczynał targi o kilka beczek tego wybornego nektaru. Zwykle targi te kończyły się niczym – kupiec chciał za dużo, Golski dawał za mało. Zwykle było więc tak, iż Golski zabierał kupcowi kilka beczek trunku i stwierdzał, że zapłaci wtedy, gdy Ormianin przyśle mu ze Lwowa poświadczenie, ile kosztuje tam małmazja. Nie trzeba chyba dodawać, iż większość tego typu zakupów kończyła się w sądzie.

Drugą słabością Golskiego był, jak już wspominaliśmy, głód informacji. Kto tylko – znajomy, czy niezajomy – przejeżdżał obok włości pana Wojskiego, musiał koniecznie zatrzymać się i opowiedzieć właścicielowi, co słyhać w szerokim świecie, a zatem kto się

urodził, kto umarł, kto kogo porąbał, co kto sprzedał lub kupił. A jeśli ktoś nie chciał się zatrzymać, wnet pojawiali się słudzy Golskiego, którzy wlekli siłą niewdzięcznika do dworu. A pan wojski nie zwykł był puszczać gościa zbyt szybko w dalszą drogę. Zwykle zatem każdy, kto tylko wyrwał się z takiej gościny, biegł szybko do zamku trembowelskiego złożyć protestację przeciwko takiemu traktowaniu.

Poza tym wszystkim pan Jan Golski miał jeszcze jedną przywarę, która jednak nie wyróżniała go zbytnio od innych panów braci. Było nią zaś nałogowe oddawanie się pijaństwu, które powodowało, że sąsiedzi mieli go za słabego na umyśle.

Największą awanturą, w jaką wchodziła się w ciągu swojego życia Zofia Golska, był spór o skarby hospodara wołoskiego Mohiły, złożone w zamku podhajeckim. Wszystko zaczęło się w roku 1612, kiedy Stefan Potocki, starosta feliński i zięć Jeremiego Mohiły, hospodara wołoskiego, wyprawił się do Mołdawii, aby osadzić na jej tronie swego szwagra – Konstantego Mohiłę. Żona tegoż – Mauroina zdeponowała wówczas w zamku podhajeckim wszystkie swoje kosztowności. Podhajce były w posiadaniu wojewody ruskiego Stanisława Golskiego. Potem wszystko zgoła się poplątało. Najpierw w roku 1612 Stefan Potocki poniósł klęskę pod Sasowym Rogiem, potem zaś zmarł Stanisław Golski, a zamek odziedziczył po nim jego brat – Jan, wspomniany już wojski trembowelski, mąż pani Zofii. Jan szybko objął władzę po bracie. A gdy żona Stefana Potockiego, Maria Mohilanka zażądała wydania rzekomego skarbu, odmówił wraz z żoną spełnienia tego żądania. W czerwcu 1613 roku Mohilanka wytoczyła zatem sprawę Golskim i wniosła protestację, podając, że w zamku podhajeckim ukryty jest rzekomo ogromny skarb, szacowany niemal na setki tysięcy złotych. Były tam ponoć monety i drogie kamienie, a także „główki św. Jana”, czyli zapewne wykopane gdzieś monety rzymskie, klejnoty, łańcuchy, pierścienie, stołowe srebra, kosztowne rzędy końskie i wiele innych cennych przedmiotów.

Do dziś nie wiadomo, czy Golscy rzeczywiście zagarnęli skarb Mohilanki. Jednak Zofia nie broniła się wcale w sądach, nie zrzuciła winy na kogoś innego. W czasie, gdy zaczęły się pierwsze procesy, Golska miała już drugiego męża – Lanckorońskiego. W niczym jednak nie zmieniło to faktu, iż na sejmie w roku 1613 uchwalono konstytucję nakazującą Zofii oddanie skarbu podhajeckiego pod groźbą infamii i banicji.

I wtedy Zofia odpowiedziała. Na początku rzecz jasna gradem obelg przeciwko Stanisławowi Włodkowi, wojewodzie bełskiemu i całemu sądowi grodzkiemu, do którego zwróciła się Mohilanka. Zofia odwołała się także do trybunału w Lublinie, natychmiast jednak spadły na nią pozwy i wyroki odziedziczone po mężu. Przeciwko niej wystąpili także Wolscy, od których dobra podhajeckie kupił brat męża Zofii – Jan Golski. Największym przeciwnikiem okazał się jednak Jan Jerzy Radziwiłł, który rościł sobie pretensję do wojewody Golskiego za to, iż chorągwie tego ostatniego spustoszyły dobra jego żony. Radziwiłł wyrobił sobie prawo intromisji na Buczaczu i pobliskie wsie, jednak woźni radziwiłłowscy, którzy przyszliz, by usuwać wdowę

z tych dóbr, wrócili z kwitkiem i guzami na łbie. Golska wiedziała jednak, że z Radziwiłłem nie było żartów, dlatego umocniła zamek buczacki i obsadziła go załogą. Jednak załoga nie broniła się zbyt długo. Gdy w styczniu 1614 roku Radziwiłł uderzył na zamek z wojskami, opór trwał bardzo krótko. Później okazało się, że Buczacz nigdy nie zostałby zdobyty, gdyby nie zdrada komendanta – niejakiego Kaszowskiego. Sama Zofia wytoczyła zatem proces przeciwko Radziwiłłowi, oskarżając go o bezprawny zajazd Buczacza, zabicie kilku służby i zrabowanie kosztowności z zamku. Trybunał skazał zaocznie Radziwiłła na infamię i banicję, jednak potężny magnat niewiele sobie z tego robił. Przeciwnie – szybko uzyskał specjalny glejt królewski. A na Zofię spadły nowe nieszczęścia.

Już wkrótce zmarł bowiem jej mąż – Lanckoroński, po którym nieszczęsna wdowa odziedziczyła kilkakrotnie więcej procesów i pozwów niż po Golskim. Siostra Lanckorońskiego była żoną Mikołaja Czuryły, a Czuryłowie wystąpili szybko z pretensjami do dóbr Zofii. W roku 1617, gdy wdowa pojechała do Lublina, Czuryłowie zdobyli Podhajce, podobnie jak w przypadku Buczacza, przekupując zamkową załogę. Jednak wdowa odzyskała wkrótce Podhajce i osiadła w nich pewnie, odpierając inne ataki Czuryłów. Jednocześnie Zofia stoczyła kilka wojen ze swymi sąsiadami i dzierżawcami, jak na przykład Stanisławem Kilianem Boratyńskim.

Tymczasem jednak odżyła stara sprawa o skarby podhajeckie. Już w roku 1615 wrócił z niewoli tureckiej Stefan Potocki i wraz z Jerzym Dydyńskim upomnieli się o kosztowności. Wojewodzina przeszukała w końcu zamek podhajecki. Szukając skarbu, znalazła w końcu jakieś tajemnicze kufry i skrzynie, po czym oświadczyła przed Trybunałem, że jeśli cokolwiek miałyby być owym skarbem, są nim najprawdopodobniej właśnie owe kufry i skrzynie. Zofia zażądała jednak, aby Potoccy przyjęli owe skrzynie na ślepo, na co oczywiście nie zgodził się ani Stefan, ani jego żona. Zofia zabrała zatem skarb z powrotem do zamku podhajeckiego. Wówczas spadły na nią dalsze infamie i banicje, a Stefan Potocki zwerbował sobie znaczną gromadę zbrojnego hultajstwa. W roku 1618 napadł na Holhocze i zajął dwór po długim oblężeniu, później zaś ruszył na Podhajce, zajął okoliczne wsie i rozpoczął regularne oblężenie. Tymczasem Zofia wróciła z Lublina, ale przyciśnięta do muru musiała pójść na ugodę z Potockim. Rzekome skarby podhajeckie opłaciła ogromną połacią ziemi, odstąpiła bowiem trzy miasteczka z zamkami: Czortków, Buczacz i Wierzbów, a także 23 włości należące do klucza buczackiego, i duże, dochodzące do 20 tysięcy złotych sumy pieniędzy.

Straszna wdowa nie dotrzymała jednak warunków ugody. Przede wszystkim dlatego, iż po prostu nie miała pieniędzy na spłacenie Potockiego. Już w roku 1618 znów zagroziła jej infamia, a Golską uratował dopiero glejt królewski.

W roku 1629 Zofia wyszła za wojewodę trockiego Tyszkiewicza, szukając zapewne pomocy przed Potockim. Jednak w swoim mężu nie znalazła oparcia. Tyszkiewicz mało dbał o Podhajce

i inne dobra swojej żony. Wprawdzie już wkrótce zmarł Stefan Potocki, zaciekły wróg Zofii, jednak wdowa po nim – Mohilanka – wyszła wkrótce za wojewodę sandomierskiego Firleja, który przejął wszystkie pretensje Stefana Potockiego.

Nieoczekiwanie jednak Zofia uzyskała pomoc od Mikołaja Sieniawskiego, który pożyczył jej 200 tysięcy złotych, pod zastaw dóbr podhajeckich. Ostatecznie wojewodzina miała już tylko tę pociechę, że umierała w Podhajcach w roku 1635. Jednak po śmierci Zofii Potoccy odkupili Podhajce od Sieniawskiego. W roku 1641 panem na Podhajcach został Stanisław Potocki, wojewoda podolski.

Pani Łahodowska

Gwałtownym charakterem i porywcznością zasłynęła w pierwszej połowie XVII wieku Anna Łahodowska, prawdziwa wilczyca na swoich włościach, zajeżdżająca sąsiadów, wiodąca długie spory sądowe i biorąca udział w licznych zwadach i awanturach. Anna zamężna była w ciągu całego swojego życia trzykrotnie. Pierwszym jej mężem był Mikołaj Małyński, który w roku 1627 zginął na wojnie ze Szwedami o ujście Wisły. Anna pocieszyła się po nim szybko, jej drugim wybrankiem został niejaki Stanisław Kilian Boratyński, który miał taki sam awanturniczy charakter, co i jego żona. Boratyński słynął jako znany warchoł. Jedną z najsłynniejszych awantur, w jakie wdał się ów człowiek, było porwanie z Jarosławia w roku 1623 pewnego młodzieńca, znanego ze swego ślicznego głosu, bowiem Boratyński zapragnął mieć go na swym dworze. Potem zaś, nie chcąc, by ów wraz z mutacją stracił swój głos, postanowił wykastrować go i w tym celu sprowadził do siebie chirurga. Młody śpiewak jednak uciekł do księżnej Anny Ostrogskiej, która wzięła go pod swoją protekcję i umieściła u jezuitów we Lwowie. Boratyński postanowił wówczas odebrać młodzieńca zbrojną ręką. I pewnego razu w czasie mszy urządził prawdziwy zajazd na kościół, w którym przebywał ów chłopak, wtargnął na chór, rozbił drzwi, usiłując wyrwać śpiewaka z rąk jezuitów. Nie udało mu się to jednak – przeciwnie – musiał uchodzić z miasta, bowiem po stronie jezuitów opowiedziało się wielu mieszczan i przebywających we Lwowie panów braci.

Z takim oto człowiekiem połączyły panią Annę więzy małżeńskie. Zaraz po ślubie Łahodowska, teraz już Boratyńska, popadła w ostry zatarg z krewnymi jej pierwszego męża – Ludzickimi. Poszło o spadek po Macieju Ludzickim, wuju Małyńskiego, czyli jej pierwszego męża. Zaraz po zgonie krewnego męża, Anna zajechała wszystkie jego włości, a brat zmarłego – Olbracht stwierdził, że sfalszowała nawet testament zmarłego. Wywiązał się zatem teraz wielki i długi proces, a gdy Olbracht wyjechał na trybunał lubelski, Anna, korzystając z pomocy brata Marka i kuzyna Krzysztofa Sienieńskiego, zajechała dobra Ludzickiego, wtargnęła do jego zameczku w Grzymałowie i urządziła tam wielkie spustoszenia. Nie inaczej postąpiła także z Janem Brzuchowskim, deputatem na trybunał lubelski, który pozwał ją z powodu nieoddania długu i uzyskał na Annę zaoczny wyrok banicji. Straszliwa kobieta nasłała bowiem na jego gospodę dziesięciu hajduków, którzy opadli go w izbie i posiekli, krzyząc przy tym: „Otóż tobie banicja, banicja!”.

Główną siedzibą Anny Łahodowskiej stała się wieś w powiecie trembowelskim – Kałaharówka, szybko przemieniona w rozbójnicze gniazdo. Anna znana była w całym województwie jako Herod-Baba, kobieta przysparzająca wielkich kłopotów sąsiadom. Łahodowska prowadziła zacięte wojny z Grzymałowem Ludzickich i Satanowem Sieniawskich. W czasie wypraw bardzo pomagał jej syn z pierwszego małżeństwa – Stefan Małyński, który za

zwady i zajazdy otrzymał wyroki infamii i banicji. Anna srożyła się bardzo. Podczaszy koronny Mikołaj Sieniawski nie mógł w końcu dać sobie rady z niespokojną kobietą i zmuszony był zwoływać pospolite ruszenie, aby przeciwstawić się jej napaściom. Kilkakrotnie także oblegał ją w Kałaharówce, jednak bezskutecznie.

Agnieszka Machówna

Pod koniec XVII stulecia słynny w całej Rzeczypospolitej stał się spór Agnieszki Machówny, podającej się za córkę Marcina Zborowskiego, z Anną Barbarą z Rupniewskich Szembekową. Sprawa ta wstrząsnęła wieloma umysłami. A epilogiem jej stała się kaźń oskarżonej Agnieszki.

Agnieszka Machówna vel Zborowska nie była bynajmniej szlachcianką, lecz zwykłą chłopką, która przysła na świat gdzieś około 1648 roku we wsi Kolbuszowa pod Rzeszowem. Wiadomo, że już od pierwszych lat swego życia odznaczała się olśniewającą urodą. I jak to bywało w owych czasach, rodzice nie pozwolili, by długo pozostawała panną. Już gdy miała 16 lub 17 lat, wydali ją za mąż za nadwornego kozaka książąt Lubomirskich – Bartosza Zatorskiego. Jednak mąż – zapewne tępy i prostacki – znudził się szybko Agnieszce, która porzuciła go i uciekła do Krakowa. Tam jednak – rzecz dziwna – nie podzieliła wcale losu wielu innych ubogich dziewcząt, które w poszukiwaniu łatwego chleba uciekały z rodzinnych wiosek.

Machówna nie skończyła na bruku jak zwykła ulicznica. Przeciwnie – szybko otoczył ją tłum wielbicieli. Tak wielkie powodzenie wróżyło jej wielką sławę w najstarszym zawodzie świata. Jednak Machówna wyjechała po pewnym czasie z Krakowa, wróciła do rodzinnej wsi i ubłagała jakoś Zatorskiego, aby przyjął ją z powrotem.

Jednak niespokojna niewiasta nie była w stanie długo zajmować się kądzielą i gospodarskimi sprawami. Już wkrótce, w roku 1670, uciekła po raz wtóry – tym razem do Warszawy. I tutaj rzuciła się w wir zabaw i miłostek. Machówna podawała się za szlachciankę – córkę Marcina z Rytwian Zborowskiego; twierdziła też, że rodzice z niewiadomych przyczyn kazali wychowywać ją na wsi. W ten sposób podbiła serca wielu bogatych panów. Zakochał się w niej szlachcic z Cesarstwa Niemieckiego – Kollati. Wkrótce poślubił piękną Agnieszkę, która wniosła do tego związku spory posąg, i wyjechał z nią do Wiednia.

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że Agnieszka Machówna pozostawała długo w związku z austriackim arystokratą. W Wiedniu często zdradzała swego męża, flirtowała i romansowała, dlatego też Kollati opuścił ją szybko i wyjechał z kraju. A wówczas Agnieszka udała się do cesarza niemieckiego Leopolda i oskarżyła Kollatiego, iż ów porwał ją z klasztoru, zbałamucił i zmusił do małżeństwa. Cesarz uwierzył pięknej awanturnicy i kazał Kollatiemu wypłacić jej

całą sumę, którą otrzymał od niej w posagu.

Odzyskawszy pieniądze, Agnieszka rozpoczęła długie podróże po Europie. Wiadomo, że przebywała między innymi we Włoszech, Francji, w Cesarstwie Niemieckim. W końcu poznała kasztelana sądeckiego, zaledwie 16-letniego Stanisława Rupniewskiego. Mimo iż była od niego starsza o ponad dziesięć lat, Machówna uwiodła młodego panicza i wkrótce zawarła z nim kolejne małżeństwo. Wydawało się, że nic już nie jest w stanie przeszkodzić szczęściu młodej pary, gdy niespodziewanie Rupniewski zmarł, pozostawiając ciężarną żonę. Machówna wróciła zatem szybko do kraju i zajęła dobra po małżonku. Wówczas jednak wystąpiła przeciwko niej siostra zmarłego – Anna Barbara z Rupniewskich Szembekowa, którą dążyła do unieważnienia małżeństwa i pozwała Agnieszkę przed trybunał lubelski, zarzucając jej, iż nieprawnie podawała się za szlachciankę.

Machówna broniła się, jak tylko mogła. Przekupiła nawet boczną linię Zborowskich, którzy oświadczyli pod przysięgą, że rzeczywiście była ona córką Marcina Zborowskiego. Agnieszka wyszła także po raz kolejny za mąż, a jej wybrańcem został kasztelanie lubelski Kazimierz Domaszewski. I właśnie on – przekupiony zapewne przez Szembekowa, zdradził własną żonę i wydał ukrywającą się Agnieszkę w ręce pachołków starościńskich. Gdy w dodatku Szembekowa odnalazła w końcu Zatorskiego – pierwszego męża Agnieszki, a także jej rzekomą matkę, i doprowadziła do konfrontacji z oskarżoną, szala przechyliła się na stronę Szembekowej. Za bigamię sąd skazał Machównę na ścięcie i tortury. Tortury owa „Wenus polska”, jak nazywano ją w XVII wieku, przetrzymała bardzo mężnie. 12 lipca 1681 roku kat lubelski ściął głowę pięknej awanturnicy, a pamięć o jej niezwyklej wprost urodzie przetrwała przez całe lata.

ROZBÓJNICY

CZYLI
BRYGANCI WATAŻKOWIE

Kniaź Bajda

Jednym z najślawniejszych stepowych watażków, których pełno było w XVI wieku na ukraińskiej prowincji Rzeczypospolitej, był kniaź Dymitr Wiśniowiecki, przodek Jeremiego Wiśniowieckiego, zwany przez Kozaków „Bajdą”. Kniaź Dymitr nie był zdecydowanie osobą wykształconą; nie budował na Ukrainie oszalałymi przepychem, renesansowych rezydencji. Wiśniowiecki był po prostu prawdziwym stepowym rozbójnikiem. Jak napisał o nim Jan Widacki: „w czasach gdy polska myśl polityczna sięgała swoich wyżyn, Dymitr rozważał, czy lepiej tym razem złupi Krym, czy Wołoszczyznę”. Będąc starostą czerkaskim i kaniowskim, przewodził często Kozakom w chadzach na Turcję, Chanat Krymski i Wołoszczyznę. Dymitr spadał niespodziewanie na swoich przeciwników, zagarniał w stepach stada koni i bydła, palił tatarskie ułusy i miasta. Najciekawsze jednak, że jego kariera zaczęła się w roku 1553 najpierw od tego, iż obrażony na króla Zygmunta Augusta, który nie spełnił jakiejś jego prośby, porzucił służbę u wielkiego księcia litewskiego i wraz z Kozakami poszukał szczęścia w Moskwie, na służbie u księcia Iwana IV Groźnego. Wiśniowiecki wziął udział w kilku wyprawach wojsk carskich na Krym, a zasłynął przede wszystkim jako doskonały przewodnik.

Gdy jednak Iwan Groźny zawarł pokój z Tatarami i w roku 1561 rozpoczął wojnę z Polską i Litwą, Wiśniowiecki postanowił wrócić do łask królewskich. I znów, tak jak w roku 1553 uderzył do nóg Zygmunta Augusta, chcąc uzyskać przebaczenie. Król przyjął go z powrotem, a Bajda natychmiast zorganizował wielką wyprawę na Oczaków i poszarpał posiadłości tatarskie.

Nikt inny, lecz właśnie Wiśniowiecki położył podwaliny pod organizację Kozaków zaporoskich. On to właśnie założył jako pierwszy na dniewskiej wyspie Chortycy pierwszą Sicz Zaporoską – warowny obóz Kozaków.

Bajda nie usiedział spokojnie w Czerkasach. Wkrótce starosta wypuścił się znowu z Kozakami na kolejne wyprawy, w czasie których uwolnił tłumy jasyru, pobrał jeńców, a przy okazji – złupił Krym. Mołojckie życie Wiśniowieckiego zakończyło się jednak niespodziewanie w roku 1563, kiedy to ufny w swoją siłę postanowił napaść na Mołdawię. Najpierw stanął po stronie despoty z wysp Samos i Paros – Jana Heraklidesa i pomógł mu osiąść na tronie w Mołdawii. Potem jednak pokłócił się z nim o pieniądze i postanowił osobiście zająć Jassy i zostać hospodarem mołdawskim. Bajda był bowiem dalekim krewnym hospodara Stefana

Wielkiego panującego w latach 1457-1504.

Tymczasem jednak Mołdawianie zbuntowali się przeciwko Janowi Heraklidesowi i wybrali na swego władcę Stefana Tomżę. Gdy Wiśniowiecki razem z – ozakami przybył do Mołdawii, został pokonany, a zdradzieccy Mołdawianie pojмали go i wydali sułtanowi tureckiemu.

Wedle legendy, Turcy chcieli ponoć darować Bajdzie życie; sam sułtan ceniąc jego męstwo, ofiarował mu swoją córkę za żonę, jednak pod warunkiem, iż Wiśniowiecki przyjmie islam. Ma się rozumieć jednak, że książ-watażka odmówił w mało parlamentarnych słowach. – Twoja doczka charoszaja, twoja wiara psia – powiedział ponoć do sułtana, co tak rozżłościło padyszacha, że kazał natychmiast powiesić go za żebro.

Jak mówi legenda, Dymitr nie byłby jednak Dymitrem, gdyby i na haku nie dokazywał cudów męstwa i odwagi. Wedle dum ukraińskich, chwycił bowiem łuk i – wisząc – począł strzelać do swych oprawców.

A jak strzelił Bajda z łuku

Trafił cara prosto między uszy

A carycę w potylicę

A carską córeczkę – prosto w samą główeczkę

Tobie carze w ziemi gnić

A Bajdzie – młodemu – młodemu – miód-gorzałkę pić!

– podaje jedna z ukraińskich pieśni. Nic więc dziwnego, że Wiśniowiecki stał się na długo bożyszczem Kozaków zaporoskich. Zresztą uszanowali go i Turcy, którzy pochowali go z honorami w Stambule. Sam Maciej Strykowski, który w roku 1574 brał udział w poselstwie do sułtana, widział ponoć w Stambule grób sławnego, stepowego mołojca.

Bracia Policcy

Hultajstwem, odwagą i bezczelnością, a także okrucieństwem, wyróżniali się spośród wszystkich rozbójników województwa ruskiego bracia Policcy. Działalność ich, jak najbardziej zbójcka, przypadła w połowie lat dwudziestych XVII stulecia, głównym zaś miejscem, wokół którego dokonywali swoich swawoleństw okazał się Lwów. Policcy grabili i rabowali bez miłosierdzia. Napadali na folwarki, młyny, ograbiali dwory, zabijali ludzi w mieście i – co najważniejsze – uchodzili bezkarnie. Tak w samym mieście, jak i w okolicach nikt nie mógł czuć się przed nimi bezpieczny. Zbójccy bracia – Jakub i Andrzej – dobrali sobie liczną kompanię z podobnych im obwiesiów, a w samym Lwowie mieli swego wypróbowanego człowieka –

niejakiego Gąsiorowskiego, który w porę powiadał ich, czy to o sposobnościach do rabunku, czy grabieży, czy też o szykującej się na nich obławie.

Jednym z głośniejszych rozbojów Polickich okazał się napad na folwark lwowskiego mieszczanina Krzysztanowicza. Straszliwi bracia złupili go doszczętnie, pobrali liczne sprzęty i kosztowności, zabili także przebywających tam trzech służących mieszczanina. Sam Andrzej, liczący wówczas ponoć lat 17, nakazał usieć ich, a związane razem ciała wrzucić do studni.

Przez długie lata łotrostwa Polickich uchodziły bezkarnie. Nikt nie miał tyle śmiałości, by złożyć w grodzie protestację przeciwko nim, nikt nie poważył się mierzyć ze zbójami, którzy jeździli w biały dzień po Lwowie, strzelali z pistoletów, pili po nocach i wszczynali bójki w gospodach. Dla Polickich niczym było zabójstwo czy podpalenie. Starszy z braci, Jakub, zabił kiedyś dobosza, który szedł z miasta. – A coś ty za drab jeden – spytał ponoć nieszczęśnika. – Jam nie żaden drab, jeno dobosz Jego Królewskiej Mości – odrzekł zapytany. A wówczas Policki porwał za szablę i uciął mu głowę.

Kres działalności Polickich nastąpił dopiero w roku 1625. Wówczas to obaj bracia wszczęli wielką awanturę przed kościołem Bernardynów we Lwowie. Kiedy pijani krążyli po ulicach miasta, strzelając co i rusz z pistoletów, nie spodobało się to niejakiemu Stanisławowi Głębockiemu. Kiedy jednak wyszedł przed karczmę i począł wyzywać na pojedynek Polickich, jeden z ich ludzi, niejaki Wojciech Ostrowski, strzelił doń z rusznicy. – Sam jeno, sam wychodź, nie ufaj w tę ruszniczkę! – zawołał ponoć rozwścieczony Głębocki i porwał się do szabli. Ostrowski zeskoczył z konia, stał się w walce z rozwścieczonym szlachetką, lecz wówczas Jakub Policki podstępnie zastrzelił Głębockiego.

Bracia zabitego – Mikołaj i Paweł Głęboccy – nie darowali Polickim tej zbrodni. W kilka dni później rzucili się w pościg za hultajami. Szukając braci, wpadli do Hodowicy, w której mieszkała matka Polickich – z drugiego małżeństwa Sarnowska, a gdzie obaj rozbójnicy urządzili skład zrabowanych rzeczy. Tam właśnie wywiązała się walka, tam też padła trupem przyrodnia siostra Polickich zwana Sarnowszczanką, przeszyta trzema kulami. Głęboccy pojмали jednak Andrzeja i odstawili go do Lwowa, gdzie młody hultaj wtrącony został do najgłębszego miejskiego więzienia. Do lochu trafił też schwytyany wcześniej w mieście Ostrowski. Zdawać by się mogło, że teraz przyjdzie już kres na łotrostwa Polickich. Tak jednak się nie stało. Trybunał, do którego odwołali się bracia, rozkazał wypuścić Andrzeja z lochu. Głowę pod topór kata dał jednak Wojciech Ostrowski. Zaś wypuszczony Andrzej oskarżył zaraz Głębockich o zabicie jego przyrodniej siostry i począł zasypywać ich pozwami.

Rosińscy z Teleśnicy

Na początku XVII wieku jednymi z najbardziej niebezpiecznych ludzi, cieszących się niemal ponurą sławą morderców, byli bracia Rosińscy z Teleśnicy w Sanockiem. Zbójcka owa rodzina słynęła ze swoich ekscesów i zabójstw, ich wieś – wspomniana Teleśnica – uważana była za zbójckie gniazdo. Nikt, kto zatrzymał się tam na noc lub skorzystał z gościnności braci, nie mógł być pewien swojego życia ani zdrowia. Rosińscy – ojciec Jerzy i jego synowie Stanisław, Piotr i Jan niejednokrotnie godzili bowiem na życie swoich gości.

Pierwszej ze swych zbrodni Rosińscy dokonali w roku 1607. Wówczas to zaprosili do Teleśnicy sąsiada – niejakiego Wojciecha Kroguleckiego. Pod pozorem sąsiedzkiej przyjaźni ugościli go suto, a w trakcie wieczerzy rozsiekli, wbrew wszelkim zasadom gościnności. Zbrodnia ta oburzyła całą szlachtę. Podkomorzy sanocki Piotr Bał wezwał wszystkich panów braci do zastanowienia się, co począć z Rosińskimi. Jednak nikt w Sanockiem nie myślał chyba nawet o tym, aby wystąpić zbrojnie przeciwko hultajskiej rodzinie. Rosińscy budzili bowiem powszechny strach.

Do obrony wykorzystywali zaś nawet swoich poddanych. Chłopi z Teleśnicy ćwiczeni byli bowiem w walce, uzbrojeni przez swych panów w kosy, siekiery i koły, a nawet w szable i rusznice. Rosińscy zaprowadzili we wsi nawet wojskową organizację. Gdy tylko ktoś usiłował zajechać Teleśnicę, wystarczył odgłos dzwonów, a już chłopi chwyтали za broń i śpieszyli bronić dworu.

Nie wiadomo do tej pory, ilu panów braci padło ofiarami Rosińskich. W roku 1611 usiłowali oni w podobny sposób, co Kroguleckiego, pozbyć się Krzysztofa Głowy z Nowosielec i w tym celu zaprosili go w gościnę. Głowa był jednak bardziej czujny niż Krogulecki, być może też przyjechał z liczniejszą czeladzią. W każdym bądź razie w Teleśnicy doszło do wielkiej zwady i strzelaniny, a Głowa ledwie wyrąbał się z zasadzki.

Dopiero w roku 1616 Jan Bał wspólnie z synem zamordowanego Kroguleckiego zebrali nieco szlachty i urządzili wyprawę na Teleśnicę. Tam, po walce zdobyli zbójckie gniazdo i schwytali żywcem jednego z braci – Stanisława. Bał zabrał go ze sobą do Daszówki, gdzie mieszkali jego znajomi – Leszczyńscy i zamierzał odstawić go do starosty. Przedtem jednak postanowił zadrwić sobie okrutnie z hultaja. Oznajmił zatem Rosińskiemu, że ten będzie stracony, kazał zawołać księdza, a Stanisławowi przykazał się wypowiadać. Później przyniesiono pieniek i sprowadzono hajduka z mieczem. Rosiński musiał położyć głowę na kłocu, skończyło się jednak tylko na takim pokazie, a ledwie żywego ze strachu hultaja odprowadzono później do więzienia.

Bał i Krogulecki cieszyli się zapewne bardzo z tryumfu. Dlatego też urządzili u Leszczyńskich wielką ucztę po zwycięstwie, kazali też wytoczyć dla służby beczki miodu i wina. Zresztą służba Bala była pijana już w chwili, gdy zdobywała Teleśnicę. Hajducy popili się jednak bardzo i posnęli. Było to oczywiście bardzo korzystne dla Stanisława Rosińskiego, który

skorzystał z okazji i umknął, a potem jeszcze złożył protestację przeciwko Balowi.

Grabscy

W XVI i XVII wieku najgorszą sławą spośród wszystkich szlacheckich zjazdów, uczt i spotkań cieszyły się kujawskie biesiady. Mieszkańców tej części Rzeczypospolitej cechowała bowiem niezwykła skłonność do wszczynania burd przy stole, tak iż niemal na porządku dziennym bywały tutaj krwawe waśnie, zabójstwa i zwady. Na kujawską biesiadę trudno było jechać, jeśli nie napisało się wcześniej testamentu. Kujawskie biesiady doczekały się wielu wspomnień u polskich pamiętnikarzy z XVII wieku.

*W Angliji śmierć tańczyła, jako jeden pisze
Lecz kiedy o kujawskich biesiadach ja słyszę,
Mówię, że i tam śmierć tańczy i wesola bywa,
Gdy ludzi od kufli i w tańcu porywa*
– pisał o Kujawach Wespazjan Kochowski.

Niezwykle charakterystyczną cechą Kujaw było, iż wśród spokojnego ogółu szlachty zamieszkiwało tutaj kilkanaście hultajskich rodów szlacheckich. Talenty do warcholstwa przechodziły w nich chyba z ojca na syna, bowiem przeglądając stare księgi grodzkie, odnajduje się ślady hultajskiej działalności owych panów braci niemal na przestrzeni stuleci. Dawne księgi przechowały imiona i nazwiska wielkich warcholów z Kujaw, a Dąbscy, Grabscy, Charbiccy, czy Tolibowscy nie raz zagościli na kartach diariuszy czy pamiętników.

Jednym z bardziej znanych hultajskich rodów z Kujaw był w XVII wieku ród Grabskich. Na początku opisywanego stulecia budzili oni przestrach i grozę wśród sąsiadów. Hultajska działalność opisywanych panów braci rozpoczęła się od zajazdu Adama i Jerzego Grabskich na Stanisława Sławęckiego. Sławęcki zapewne od dawna dawał Grabskim „okazję” do zwady. I tak, w roku 1616 obaj bracia na czele służby, chłopów i kilkunastu szlachty zajechali w nocy dom Sławęckiego. Atak rozpoczął się od strzelaniny, wytluczenia okien i wybicia drzwi. Następnie uzbrojeni napastnicy wdarli się do dworu i rozpoczęli masowy rabunek mebli, kosztowności i broni. Rozwścieczona czeladź Grabskich wyrwała nawet haki ze ścian i stalowe okucia z okiennic! Schwytanego żywcem Stanisława Sławęckiego wsadzili Grabscy na konia i zawieźli do wsi jednego ze swoich popleczników – niejakiego Wojtkowskiego. Tam zrazu zamierzali go po prostu rozstrzelać, poprzestali jednak na obiciu. Później zawieźli go jeszcze do jednej wsi, pobili i zostawili związanego, półżywego z ran na drodze, po czym odjechali.

Kolejną zwałą, w jaką już po upływie dwóch lat wmieszali się Grabscy, była awantura ze Szczycińskimi. Wprawdzie to ci drudzy dali powód do awantury, bowiem w roku 1618 Maksymilian Szczyciński zranił trzech ludzi Piotra Grabskiego. W odwecie Grabscy dopadli Szczycińskiego w jakiejś ustronnej karczynie i ciężko poranili. Dalszy ciąg zwady ciągnął się aż do roku 1634, kiedy to w którejś z bójek ranny został Marcin Szczyciński. Jednak apogeum owej waśni rodowej miało miejsce w roku 1650. Wówczas to dwaj bracia Grabscy – Stanisław i Ludwik, podpiwszy sobie nieźle, postanowili poszukać zaczepki. W tym właśnie celu pojechali nocą do Waleriana Szczycińskiego. Ten przyjął ich gościnnie, poczęstował nawet piwem. Jednak Stanisław Grabski, szukając powodu do bitki, zabrał Szczycińskiemu książkę i odmówił jej zwrotu. Jak łatwo się można domyślić, zajście owo skończyło się wielką awanturą i rąbaniną, w której Grabscy obcięli Szczycińskiemu trzy palce u ręki.

Stanisław Grabski i jego brat słynęli długo jako notoryczni hultaje, zajeżdżający sąsiadów i szukający okazji do wypitki i wybitki. W 1653 roku Stanisław zajechał zbrojnie Piotra Kłobukowskiego. Gdy ów oskarżył go w sądzie, Grabski z zemsty „zasadził się” na Kłobukowskiego w Małym Jarnowie. Zasadzka nie udała się, niemniej jednak Kłobukowski został ranny. Innym z kolei razem, Grabski przyuważył Kłobukowskiego w kościele. Szybko zatem podkraść się doń wraz ze swoimi ludźmi, a potem popchnął i zelżył. Kłobukowski jednak ustąpił mu miejsca, nie chcąc wszczynać zwady w Bożej świątyni. Grabski nie przejął się tym i postanowił spokojnie poczekać, aż skończy się msza. Końcowe sceny zatargu rozegrały się zatem przed wejściem do kościoła, gdzie doszło do gwałtownej bójki i rąbaniny, w której ranny został syn Kłobukowskiego – Jan.

Nalewajko w wole usmażon

Jednym z pierwszych kozackich watażków, którzy zbuntowali się przeciwko Rzeczypospolitej, był Semen Nalewajko. Nalewajko wzniecił w roku 1595 wielkie powstanie na Ukrainie, a pamięć o jego męce przetrwała w wielu ukraińskich dumach.

Nalewajko zaczynał swoją karierę kozacką w podobny sposób, jak osławiony Dymitr Bajda-Wiśniowiecki. Choć watażka nie był kniazem jak Bajda, lecz pochodził z mieszczańskiej rodziny z Kamieńca Podolskiego, już jako młodzieniec zaciągnął się na służbę do księcia Janusza Ostrońskiego i brał udział w roku 1592 w bitwie pod Piątkiem, gdzie rozgromiono innego kozackiego przywódcę – Krzysztofa Kosińskiego. Po zakończeniu wojny Nalewajko przeszedł jednak do Kozaków zaporoskich i szybko wsławił się wieloma znamienitymi czynami. W roku 1594, jako ataman, zorganizował wielką wyprawę na Mołdawię, zdobył jej stolicę – Jassy, spustoszył także okolice Białogrodu, Kili i Tehini. Jak powiadano na Ukrainie, Nalewajko

zrównał z ziemią ponad 500 wsi i tatarskich ułusów. Następnie wrócił w granice Rzeczypospolitej, ale jego Kozacy bynajmniej nie powrócili na Sicz, lecz rozłożyli się na Braclawszczyźnie. Już wkrótce przyłączyli się do nich zbuntowani chłopci i inni mołojcy, którzy zaczęli rabować szlacheckie dwory. Powstanie ogarnęło znaczne obszary Ukrainy, wywołując wielki niepokój herbowych panów braci. I wnet przeciwko Nalewajce wyruszył hetman polny koronny Stanisław Żółkiewski.

Teraz wojna rozgorzała na dobre. Po starciach pod Białą Cerkwią, 2 kwietnia 1596 roku, Stanisław Żółkiewski dopadł Nalewajkę na uroczysku Ostry Kamień pod Białą Cerkwią. Pomimo wielokrotnych ataków wojsk hetmana, Kozacy obronili swój tabor, zadając przeciwnikowi duże straty. Po bitwie Nalewajko musiał jednak wycofać się do Perejasławia po drugiej stronie Dniepru.

Sytuacja Kozaków wydawała się dość nieciekawa, a węży i ose-łedce mołojców, zdaje się, mocno opadły po odwrocie. Niebawem Zaporozcy zrzucili też z hetmaństwa Nalewajkę i obrali swoim wodzem Kozaka Łobodę. Następnie tabor począł wycofywać się dalej – aż do uroczyska Sołonica pod Łubniami. I tutaj właśnie, 16 maja 1596 roku dopadł i osaczył go Stanisław Żółkiewski. Kozacy popadli teraz w prawdziwą rozpacz. Nie mieli już dokąd uciekać, a w dodatku głodowali. Mołojcy znaleźli jednak prawdziwego winowajcę tego stanu rzeczy – Łobodę, którego roznieśli na szablach. W końcu zdecydowali się pertraktować z hetmanem, a żeby uzyskać przychylność „Lachów”, wydali Żółkiewskiemu Nalewajkę.

Nieszczęsnego kozackiego wodza czekał okrutny los. Przewieziono go do Warszawy, gdzie torturami usiłowano zmusić, by wydał swoich współników. Kozaka jednak nie przypiekano, ani nie stosowano innych męczarni. Zastosowano bowiem wobec niego torturę braku snu i nie dawano spać przez szereg dni. 11 kwietnia 1597 roku kozackiego wodza ścięto w Warszawie, a po śmierci poćwiartowano, zaś kawałki jego ciała porozwieszano na słupach. Według innych relacji, Nalewajkę posadzono na rozpalonym metalowym koniu, na głowę zaś wsadzono rozżarzoną stalową obręcz i upieczono żywcem. Być może też od jego nazwiska i miejsca kaźni wzięła się nazwa warszawskich Nalewek.

SZALEŃCY

CZYLI

OPĘTANI, ZABÓJCY I CHARAKTERNICY

Awantury Jerzego Krasickiego

Na początku XVII wieku było w Rzeczypospolitej dwóch sławnych braci Krasickich – Marcin i Jerzy. Marcin zasłynął jako wielki polityczny statysta, mąż zasłużony dla Rzeczypospolitej, pogromca Diabłat Stadnickich. Jerzy okazał się ponurym zabijaką, warchołem i hultajem. W całej Polsce nazywano go Grandżadzą, wyśmiewano jego wielką pychę i zarozumiałość. Jan Samuel Maskiewicz powiada w swoim pamiętniku, że w roku 1606, towarzysze z jego chorągwi spotkawszy na drodze do Krakowa Grandżadzę, czyli starostę dolińskiego Jerzego Krasickiego, obili go kołczanami.

Krasicki przez całe swoje życie prowadził ze wszystkimi wojny – z rodziną, z teściem, z synami, z sąsiadami, ze szlachtą, dzierżawcami, a ostatecznie skończył opuszczony przez wszystkich, uznany za obłąkanego, utraciwszy wszystkie włości i majątności.

Jerzy Krasicki, starosta doliński miał w 1640 roku 23 infamie i banicje. Niewiele jednak sobie z nich robił. Nadal urządzał awantury i zajazdy. Kto tylko nie podobał mu się – tego więził w lochach swego ukochanego Dubiecka. Tak właśnie uczynił w roku 1602 z gdańskim kupcem Dytrychem Schulembergiem, z Jakubem Poniatowskim, a także trzema innymi szlachećkami: Jaworskim, Milewskim i Kamieńskim, których trzymał w kazamatach pod zamkiem przez trzy miesiące, a potem przewiózł do Sanoka i w grodzie wydarł przemocą oświadczenie, że o nieprawne uwięzienia nie mają do niego pretensji. Zresztą Jerzy Krasicki miał własny układ z podstarościm sanockim Zygmuntem Chamcem. I gdy już sprzykrzyło mu się kogoś trzymać pod kluczem w Dubiecku, natychmiast przekazywał go w ręce podstarościego. Jerzy urządzał także, o czym już wspominaliśmy, częste najazdy na panów braci. Tak właśnie w 1602 roku zajechał Adama Bałabana, omal nie stratował koniem jego żony, która w dodatku odniosła ranę od postrzału.

Nie wszystkie jednak wybryki uchodziły Krasickiemu płazem. Za niektóre z nich przychodziło mu ciężko odpokutować. Pewnego razu zatem Jerzy Krasicki schwytał i odstawił do grodu w Sanoku niejakiego Pawła Potockiego, któremu zarzucił splądrowanie jego wsi – Sarnek. Potocki jednak udowodnił, że nie tylko nie rozbijał się w Sarnkach, lecz także zażądał od Krasickiego odszkodowania za potwarze. Potocki, zapewne człowiek mężny i dobry w szabli, tak ostro wziął się za starostę dolińskiego, że Krasicki nie tylko musiał zapłacić mu 200 grzywien za

niesłuszne oskarżenie, lecz także... odsiedzieć 12 tygodni w wieży na zamku lwowskim. Potocki był w dodatku tak nieustępliwy, że Krasicki odbyć musiał karę w dolnej wieży, gdzie, jak pamiętamy, panowały bardzo ciężkie warunki. Innym z kolei razem w roku 1604 w Krakowie pod Wawelem dopadł Krasickiego niejaki Wojciech Oborski i porąbał szablą. Z kolei kiedy Krasicki pojawił się w Żydaczowie na procesji, niejaki Żuliński wyzwał go na pojedynek publicznie, a gdy starosta nie chciał stanąć, uczestnicy tego zdarzenia wyzwalali starostę od ostatnich.

Jedną z największych awantur, jakie wywołał w swoim życiu Krasicki, była awantura w Przemyślu w 1621 roku. Wszystko rozpoczęło się zaś od drobnego incydentu, tak typowego w hultajskim XVII stuleciu. Otóż w Przemyślu stała chorągiew husarska Piotra Opalińskiego. Jeden z jej towarzyszy zwadził się na pewnej biesiadzie z podczaszym przemyskim Piotrem Bolestraszyckim i został przezeń poraniony szablą. Cała chorągiew wzięła bardzo tę sprawę do serca, a ponieważ w rotach husarskich służyło zwykle wielu wyćwiczonych w bojach panów braci i ich czeladź, a szlachta przemyska dobrze wiedziała, czym to grozi, powołała więc komisję, chcąc pogodzić ze sobą powaśnionych. Obydwie strony spotkały się zatem w kościele katedralnym. Wszystko udało się w końcu załatwić ugodowo, a nieznany z nazwiska husarz i Bolestraszycki podali sobie ręce i uściskali się, gdy nagle do katedry wszedł Jerzy Krasicki w towarzystwie Zygmunta Stadnickiego. Krasicki, który miał do towarzyszy spod chorągwi Opalińskiego własną pretensję o znieważenie sługi, począł zaraz lżyć i poniżać zgromadzonych.

– Nie pocziwego rodu człek – krzyczał – co się tego dopuścił, ale skoro mój sługa nie pomścił swojej krzywdy, ja się jej pomszczę i pójdę o niego na rękę!

Na to wyzwanie spośród towarzystwa wyskoczył niejaki Mielżyński, a Krasicki rzucił się na niego z szablą. Zaraz po tym czeladź Stadnickiego dała ognia z arkebuzów. W kościele polała się krew, doszło do zwady i zamętu, a biskup Wężyk rzucił klątwę na Krasickiego.

Tymczasem starosta uciekł z kościoła i schronił się do swego dworu w Przemyślu, zwanego Żupą. Husarze spod chorągwi Opalińskiego rzucili się jednak w pogoń za Krasickim, dopadli go, a po drugim obłężeniu wyrąbali drzwi, posiekli czeladź starosty. Wkrótce schwytano też samego starostę, na którym wymuszono gwałtem rekognicję, w której przyznawał się on do wszystkich występków, a także obiecywał skwitować chorągiew sumą 10 tysięcy złotych.

W miarę upływu czasu wybryki Krasickiego stały się tak wielkie, że zaczęto uważać go za niepoczytalnego lub wręcz szalonego. W roku 1636 szwagier starosty, wojewoda wołyński Adam Sanguszko-Koszyński, którego siostrą była druga żona Krasickiego, wystąpił do króla Władysława IV o ustanowienie kurateli nad Jerzym Krasickim. Król przychylił się do jego prośby i ustanowił kuratelę nad rzekomo chorym psychicznie Krasickim – jednym z kuratorów był właśnie Sanguszko, drugim Mikołaj Krasicki, archidiakon łucki, trzecim zaś Mikołaj Daniłowicz.

Gdy tylko Sanguszko ogłosił ten dekret, natychmiast Krasicki wysłał listy do króla, twierdząc, iż dzieje mu się gwałt i, czując się całkowicie zdrów, oskarża szwagra Sanguszkę o zdradę, niewdzięczność, chciwość i oszczerstwo. Po stronie ojca stanął szybko syn Jerzego z pierwszego małżeństwa – Stanisław, podczaszy łomżyński. Oczywiście uczynił to bynajmniej nie z przywiązania do ojca, lecz obawiając się, aby macocha i jej brat nie wydarli mu włości zapisanych przez Jerzego. Jak już wspominaliśmy, podczaszy pozyskał pomoc Jacka Dydyńskiego i gdy Krasicki opuścił Dubiecko i przeniósł się do Doliny, zajął zamek i złupił go doszczętnie. Pomiędzy Stanisławem Krasickim, podcaszym i Sanguszką przyszło teraz do wielkiej wojny, w czasie której niszczone zostały folwarki, godzono na życie panów i służ. Już wkrótce zresztą ostatnia żona Krasickiego porzuciła swego brata – Sanguszkę i połączyła się ze swoim pasierbem. A po jakimś czasie podczaszy odebrał Jerzemu Dolinę, a siostra Sanguszki odebrała bratu Dubiecko. Ostatecznie starosta doliński Jerzy Krasicki skończył niemal jak żebrak, tułając się po Lwowie, a potem umarł zapomniany przez krewnych, którzy wydzierali sobie z rąk pozostałe po nim dobra.

Aleksander Sienieński

Jednym z bardziej znanych okrutników i gwałtowników w Ziemi Przemyskiej w pierwszej połowie XVII wieku był Aleksander Sienieński, pochodzący ze znamienitego, szlacheckiego rodu. Postaci Aleksandra z pewnością nie można polecać jako wzoru do naśladowania dla cnotliwych panien i zacnych młodzieńców, a także młodzieży szkolnej. Sienieński słynął bowiem na Rusi Czerwonej jako człek zaiste szalony. Pewnego razu, gdy zawziął się na innego szlachcica – Andrzeja Rusieckiego, nakazał schwytać go w gospodzie w Pomorzanach, wywlec na ulicę i obić przez czeladź. Następnie zaprowadził go do swego zamku, a w ustronnej komnacie nakazał dać mu wina, aby się pokrzepił przed śmiercią. Ledwie Rusiecki upił trochę trunku, służa Sienieńskiego, Łochciński, strzelił do niego z pistoletu. Strzał nie był jednak śmiertelny. Ciężko ranny Rusiecki upadł na podłogę i zaczął błagać o litość. Sienieński bynajmniej się tym nie wzruszył. Wprost przeciwnie – w swym okrucieństwie sam nabił pistolet i podał go Łochcińskiemu, każąc mu dobić Rusieckiego. Służa spełnił wolę pana i strzałem w głowę położył nieszczęśnika trupem.

Jednym z największych wybryków Sienieńskiego była pod koniec lat dwudziestych XVII wieku wojna z Adamem Kalinowskim, także znanym warchołem i swawolnikiem.

Zarówno Sienieński, jak i Kalinowski, żonaci byli z córkami Mikołaja Strusia. Kalinowski wprawdzie nie miał zgody rodziców panny młodej na ślub, poradził sobie jednak po kozacku, bowiem w roku 1625 napadł na czele zwerbowanych kozaków na zamek Mikołaja Strusia

w Haliczu i porwał Krystynę razem z wielkim skarbem; jednak zamierzał zdobyć przynajmniej część majątku należnego swej żonie po śmierci rodziców.

Na tym właśnie tle doszło pomiędzy Sienieńskim i Kalinowskim do wielkiej zwady. Gdy bowiem umarł Mikołaj Struś, obydwaj czekali tylko na śmierć wdowy po nim, aby zagarnąć cały majątek starego pułkownika. Sienieński często przyjeżdżał do Strusowej, a gdy stara kasztelanowa była już bliska śmierci, poczynił sobie tam zgoła śmiało, uważając się już za prawowitego gospodarza tej włości. Gdy w roku 1629 zamierzał zabrać ze stajni w Strusowie dobrego konia, sprzeciwił się temu stary sługa kasztelanowej – Wawrzyniec Zaleski. Sienieński wpadł wówczas we wściekłość, wezwał swoich hajduków, kazał pochwytać Zaleskiego, wywleć go w pole i dać mu tam 200 różeg. Potem, jeszcze nie uspokojony, nakazał przywlec starca do przygotowanego wcześniej kamienia i tam własnoręcznie odrąbał mu szablą lewą dłoń.

Aż do końca 1629 roku obaj szwagrowie – Sienieński i Kalinowski prześcigali się w czujności, aby w razie śmierci staruszki jeden nie uprzedził drugiego i nie zajął włości. Los sprzyjał jednak Sienieńskiemu. Kasztelanowa umarła bowiem w tejże chwili, gdy Kalinowski przebywał na sejmie w Warszawie. Sienieński tylko z tego skorzystał. Szybko zaciągnął zgraję swawolników i zajął dobra kasztelanowej, w tym oba zamki – sidorowski i strusowski. Jeszcze zanim dowiedzieli się o tym Kalinowscy, pan Aleksander obsadził obydwie zamki własnymi ludźmi. Przy okazji też złupił z zamku sidorowskiego skarbiec rodzinny Strusiów. Potem zaś wycofał się do swoich Pomorzan.

Tymczasem Kalinowski wrócił z Warszawy i dowiedział się o śmierci wdowy. Szybko wysłał zatem pozwy Sienieńskiemu, oskarżając ich o doszczętne złupienie obu zamków, a potem wystąpił w obronie praw swojej żony, i wraz ze swoimi ludźmi zajął opuszczone forteczki w Strusowie i Sidorowie. Sienieński natychmiast oskarżył go jednak o splądrowanie obydwu zamków. Nie bardzo wiadomo jednak, czy można wierzyć jego protestacjom, bowiem, jak wiadomo, wcześniej o to samo oskarżał Sienieńskiego Kalinowski. Jeśliby zatem obydwie protestacje były prawdziwe, oznaczałoby to, że obydwie zamki musiałyby chyba stanowić bezdenną skarbnicę bogactwa. Sam Kalinowski pisze bowiem w jednej z protestacji, że Sienieński złupił w Strusowie klejnoty i kosztowności warte 500 tysięcy złotych polskich. Cała wojna skończyła się jednak niekorzystnie dla Sienieńskiego, bowiem Kalinowski utrzymał w swoich rękach dobra po Strusiach.

Michał Piekarski

Niewiele osób odwiedzających katedrę św. Jana na ulicy Świętojańskiej, zdaje sobie sprawę, że zaraz za jej potężnymi drzwiami miało kiedyś miejsce niezbyt przyjemne zdarzenie. We

wspomnianym kościele wydarzyła się bowiem rzecz, która wstrząsnęła całą dawną Rzeczpospolitą i omal nie okryła jej mieszkańców niesławą. W przedsionku katedry miał miejsce zamach na życie Zygmunta III Wazy.

Zdarzenie owo miało miejsce w pochmurny, zimny ranek 15 listopada 1620 roku. Około godziny dziewiątej król wybrał się do katedry na mszę. Szedł pieszo, bowiem z Zamku Królewskiego jest do kościoła tylko niewielki kawałek drogi. Zygmunt nie otaczał się nigdy zbyt liczną strażą, zresztą nie było powodów, bo żaden Polak nie targnął się nigdy na osobę królewską. W drodze towarzyszył mu tylko królewicz Władysław, kilku królewskich hajduków i nieliczni słudzy. Gdy władca przekroczył próg kościoła, zniemacka, spoza otwartych drzwi, wypadł nieznajomy szlachcic, po czym rzucił się na króla Zygmunta z czekanem w rękę.

Zdarzenie to było tak nieoczekiwane, że zrazu nikt nie pomyślał o jakiegokolwiek obronie. Nim obecni otrząsnęli się z bezładu, zamachowiec uderzył króla czekanem i przewrócił siłą ciosu. Zanim zdołał zadać drugie uderzenie, królewicz Władysław ciął nieznanego szlachcica szablą w głowę, a Łukasz Opaliński zasłonił króla własnym ciałem. Napastnika szybko pochwycono i rozbrojono, król, krwawiąc, podniósł się i stał o własnych siłach, wybuchła wrzawa i krzyki. Wieść o zamachu i śmierci króla obiegła Warszawę lotem błyskawicy. W panice uderzono w dzwony, poczęto zamykać bramy. Grozę spotęgował ponadto fakt, że miesiąc wcześniej – 6 października – armia koronna poniosła straszną klęskę pod Mohylowem (mylnie nazywaną bitwą pod Cecorą), w której poniósł śmierć hetman Stanisław Żółkiewski. W Warszawie sypano wówczas wały wokół miasta, a struchlałym ze strachu mieszczanom zdawało się, że lada chwila pod murami stolicy pojawi się wielka armia turecka Osmana II.

Wieść o zamachu urosła do miary nowego nieszczęścia, tym bardziej, iż wielu mieszkańcom stolicy wydało się, że nadciągają Tatarzy i Turcy. Na szczęście szybko opanowano nastroje paniki. Jeszcze tego samego dnia Zygmunt III wysłał wiele listów, w których zaprzeczał pogłoskom o swej śmierci. Szlachta była jednak wstrząśnięta zamachem. Pierwszy raz w historii Rzeczypospolitej ktoś z panów braci ośmielił się porwać zbrojnie na króla, co obciążało hańbą cały naród. Ponieważ zamachowiec używał czekana, toporka na długiej, drewnianej rękojeści, sejm uchwalił specjalną konstytucję Zabronienie Czekanów, w której uznał tę broń za nadzwyczaj niebezpieczną i zakazał jej używania, wyjąwszy wojnę z koronnym nieprzyjacielem.

Do skarbcza miejskiego Warszawy złożono też wkrótce niezwykłą relikwię. Była to podarowana przez władcę, ozdobna puszka, z kawałkiem skóry z głowy zamachowca, który ściął królewicz Władysław, osłaniając swego ojca. Podarek stał się smutną osobliwością ratusza warszawskiego.

Kim był zamachowiec, którego schwytano na miejscu zbrodni? Bez trudu ustalono, że nazywał się Michał Piekarski i pochodził z województwa sandomierskiego. Niedoszły zabójca okazał się szaleńcem. Od dawna uznawano go za niepoczytalnego, rodzina więc, za zgodą króla,

pozbawiła go praw do zarządzania majątkościami. Obląkany postanowił zatem zemścić się i zabić Zygmunta III Wazę.

Dla zamachowca nie miano litości. Sąd sejmowy skazał go na karę śmierci i tortury, w celu ujawnienia ewentualnych współników. Skazaniec jęczał ponoć, dręczony przez katów i plóć niestworzone rzeczy, dając tym samym początek przysłowiu: „plecie jak Piekarski na mękach”, nie wyjawiał jednak nikogo. I dziś wydaje się, że działał sam, a próba zamachu na króla wynikała z pobudek czysto osobistych, nie zaś politycznych.

Piekarskiego czekała straszna, okrutna śmierć. Skazano go na piętnowanie, przypalanie, rozrywanie końmi i na koniec spalenie na stosie. Wyrok wykonano na rynku Nowego Miasta. Publicznie – ku przestrodze patrzących. Przejeżdżający wtedy przez Warszawę Samuel Maskiewicz opisuje tak kaźń szalonego zamachowca:

„Piekarski był prowadzony na wozie czterema końmi, na którym uczynione było siedzenie wysokie i katom, iż widać ich było wszystkim ludziom. Wyjechali z Zamku na wał bramą, a wyjeżdżając na Krakowskie Przedmieście, także z ulicy w Rynek wjeżdżając i z Rynku w ulicę ku Nowemu Miastu, tak na Nowe Miasto w Rynek wjeżdżając, siepał go kat kleszczami rozpalonymi, a tam mu na Nowym Mieście teatrum było zbudowane, na które z nim wszedłszy, oprawcy pod ręce na zad związane podsadzili dymnice z ogniem, siarki weń nasypawszy, palili je mieszkami dymając; potem zszedłszy z nim z góry, te cztery konie wyprzągłszy z wozu, poprzywiązywali postronki do rąk i nóg, chcąc go roztargnąć, ale iż temu dosyć nie mogli uczynić, nacinał kat siekierą, a wycinając konie, urwali mu nogę prawą. Zatem samego wzięwszy i te targane członki włożyli na stos drew i spalili”.

Egzekucja, choć w pełni aprobowana przez społeczeństwo, na długo pozostała jednak w pamięci mieszkańców Warszawy. Opowiadano, że w miejscu, gdzie był stos i egzekucja, pojawiały się w nocy dziwne rozbłyski – jak gdyby zapalonej świecy. Rozповідаły o tym przesądne, warszawskie przekupki i inne, co bardziej strachliwe kobiety.

SWAWOLNICY

CZYLI

ŻOŁNIERZE I OBIEŻYŚWIATY

Pułkownik Lisowski

Wielkimi hultajami, swawolnikami, ale też żołnierzami nie znającymi trwogi, byli w pierwszej połowie XVII wieku lisowczycy pochodzący z lekkich chorągwi jazdy, stworzonych przez Aleksandra Józefa Lisowskiego w czasie wojen polsko-moskiewskich. Ludzie pana Lisowskiego tworzyli lekką jazdę, słynącą z błyskawicznych zagonów, szybkich marszów, a także wielkiego okrucieństwa i bitności. Zasłużeni w czasie wojny w Wielkim Księstwie Moskiewskim, gdzie zdobyli i złupili wiele miast i wsi, wzięli później udział w wojnie trzydziestoletniej. To właśnie oni dokonali w 1619 roku pierwszej odsieczy wiedeńskiej, bowiem pod Humiennem rozbili wojska siedmiogrodzkie Gyorgy Rakoczego, a wówczas księżę siedmiogrodzki Bethlen Gabor odstąpić musiał od oblężenia Wiednia.

Lisowczycy budzili strach i trwogę, jak to zwykle bywało w XVII wieku nie tylko u przeciwnika, lecz także wśród chłopów, mieszczan i szlachty w Rzeczypospolitej. W chorągwiach tej formacji służyło bowiem bardzo wielu infamisów i banitów, hultajów i pijanie, cieszących się zasłużenie złą sławą. Także sam twórca tej formacji – pułkownik Lisowski – był człowiekiem skazanym na banicję.

Pułkownik Aleksander Lisowski, twórca legendarnych lisowczyków, urodził się w Wielkim Księstwie Litewskim w 1575 lub 1580 roku. Lisowscy byli polską szlachtą, wywodzącą się z województwa chełmińskiego, w połowie XVI stulecia osiedli jednak na Litwie. Aleksander Lisowski miał ośmiu braci i trzy siostry. Nie mogąc utrzymać się na lichej wioszczyźnie swego ojca, wstąpił do wojska. Początek wojskowych dziejów Lisowskiego przypada na rok 1601. Wówczas bowiem zaciągnął się do wojsk wołoskiego księcia Michała I, który walczył o zjednoczenie Mołdawii i Wołoszczyzny. Kiedy jednak Michał rozpoczął walkę z Rzeczpospolitą, Aleksander Lisowski przeszedł do wojsk hetmana Jana Zamoyskiego; wiadomo, że walczył w chorągwi Jana Potockiego. Jednak gdy później przerzucono cześć wojska z Mołdawii do Inflant, gdzie Lisowski znalazł się pod komendą Jana Karola Chodkiewicza, bohater nasz znalazł się w chorągwi kozackiej Szczęsnego Niewiarowskiego. Wkrótce zresztą oddział ten przekształcono w husarzy, a Lisowski został nawet porucznikiem w swej rocie.

Aleksander Lisowski wkrótce przyczynił się do ogromnego zamętu i niesubordynacji. 19

grudnia 1604 roku nieopłaceni żołnierze zawiązali bowiem konfederację, wypowiedzieli posłuszeństwo hetmanowi i ruszyli w głąb kraju, pustosząc dobra szlacheckie i duchowne. „Umierałem z żalu, słysząc płacz, narzekanie i skwierk zewsząd dochodzący” – pisał Jan Karol Chodkiewicz o konfederatach. Według niego, głównym winowajcą tego stanu rzeczy był Aleksander Lisowski. „On konfederacji tej powodem, on proces jej czynił i w Litwę wprowadził, jego to teraz fabryka, że się rozeszli” – pisał hetman, domagając się też, aby „wszyscy na sejmie od Jego Królewskiej Mości srogo na gardle i uczciwymi karani byli”. I rzeczywiście, za występki popełnione w czasie konfederacji, Lisowski skazany został w roku 1605 na banicję, choć nie wiadomo dotąd dokładnie, jaki sąd wydał nań wyrok w tej sprawie. Tak jak większość postaci umieszczonych na kartach tej książki, Lisowski zgoła nic sobie z tej banicji nie robił. Natychmiast zmienił jednak front i przystał do wroga Jana Karola Chodkiewicza – księcia Janusza Radziwiłła i brał wraz z nim udział w rokoszu Zebrzydowskiego wymierzonym przeciwko królowi Zygmuntowi III Wazie. Gdy rokoszanie ponieśli klęskę pod Guzowem, Lisowski, który dowodził kozacką chorągwią księcia, schronił się w posiadłościach Radziwiłła. Jednak jako człowiek z natury niespokojny, ruszył wraz z zebraniem naprędce oddziałem ochotników na wielką wyprawę po carską koronę dla Dymitra Samozwańca II.

Wojna domowa w Moskwie szalała już od 1604 roku. Gdy w wyniku spisku bojarów Szujskich zginął car Dymitr I, rzekomy syn Iwana Groźnego, osadzony na Kremlu przez polskich magnatów, w 1607 roku w Starodubie pojawił się nowy Dymitr Samozwaniec, zwany drugim, choć podawał się on za uratowanego cudem Dymitra Samozwańca I. Natychmiast też wsparły go oddziały polskich i litewskich panów, w tym między innymi siły starosty uświackiego Jana Piotra Sapiehy, zaciągnięte wśród największych hultajów i rozbójników Rzeczypospolitej – zarówno byłych rokoszan, jak i konfederatów, między którymi nie zabrakło oczywiście Aleksandra Lisowskiego.

Lisowski przyszedł na pomoc rzekomemu carowi, prowadząc chorągiew polskich Kozaków. Jednak szybko zaczęli przyłączać się doń kozacy dońscy, moskiewscy dworianie i hultajstwo wszelakiej maści. Z tymi właśnie ludźmi Lisowski wyszedł w roku 1608 z obozu pod Orłem, rozbił pod Zarajskiem siły Iwana Chowańskiego i Zachara Lapunowa, zajął Michajłów. Następnie Lisowski zajął Kołomnę, a potem, pomimo iż poniósł porażkę na Niedźwiedzim Brodzie, w walce z oddziałami Iwana Kurakina, wrócił do obozu Samozwańca pod Moskwą, w Tuszynie. Potem Lisowski poszedł na pomoc Sapiesze, który obiegił świętą dla prawosławia Ławrę Troicko-Siergiejewską. Pułkownik miał pod swoimi rozkazami już około 6 tysięcy ludzi, w większości Kozaków i Moskwę.

Obleżenie Ławry Troicko-Siergiejewskiej było długie i męczące. Wbrew nadziejom Sapiehy, potężnie ufortyfikowany klasztor oparł się siłom Samozwańca. 18 października 1608

roku, w czasie jednej z wycieczek moskiewskich, Lisowski został ranny w dłoń, na szczęście

niegroźnie. Wreszcie, gdy zaczęła się zima, Sapieha wysłał Lisowskiego na wielki pochód w głąb Moskwy. Pułkownik wysłany wraz z Erazmem Strawińskim, pobił znaczny oddział moskiewski pod Daniłowem, zajął Kostromę i Galicz, złupił okolice Soligalicza. Następnie wrócił pod monaster, który wciąż nie chciał ulec siłom oblegających. Obydwie strony prześcigały się w okrucieństwie... Lisowski, przechwyciwszy raz transport prochów, które chciano wprowadzić do Ławry, rozkazał wyprowadzić za wały obozu dwudziestu kilku jeńców i stracić. W odpowiedzi, oblężeni w monasterze Moskwićini wyprowadzili za mury kilkunastu schwytanych wcześniej Polaków i Litwinów i rozsiekli ich na oczach całego wojska.

Na wiosnę Lisowski znów dał poznać się jako doskonały dowódca lekkiej jazdy. W kwietniu 1609 roku wyruszył na Władymir i Jarosław. W czerwcu usiłował spacyfikować zbuntowaną Kostromę, a we wrześniu, wraz z Kozakami dońskimi i zaporoskimi poszedł na Rostów, Kostromę i Suzdał.

W roku 1609 w sprawy moskiewskie wmisczała się Rzeczpospolita. Aleksander Lisowski przeszedł wówczas na stronę Zygmunta III Wazy i w dalszym ciągu siał postrach w Wielkim Księstwie Moskiewskim. Pułkownik wypuścił się teraz na północ, zajął Psków, gdzie przyjęto go z wielkimi honorami, i bił się z Moskwą i Szwedami, którzy także wmisczali się do wojny o tron carski. Lisowski pozyskał kilka oddziałów Anglików i Irlandczyków, z ich pomocą zajął teraz kilka zamków na pograniczu, osiadł wraz ze swoimi ludźmi w Zawołoczy, a za męstwo w bojach w roku 1611 sejm zdjął zeń wyrok banicji.

Lisowski zasłużył się teraz bardzo dla Rzeczypospolitej. Gdy nie opłacone wojsko zawiązało w roku 1612 konfederację w Rohaczewie i zawróciło do kraju, pustosząc przy okazji wsie i miasteczka, pułkownik pozostał na pograniczu, dając odpór wojskom moskiewskim. 12 stycznia 1615 roku wydał uniwersał, wzywający wszystkich wyjętych spod prawa hułtajów w Rzeczypospolitej, aby stawili się pod jego rozkazami. Z zebrany w taki sposób wojskiem pociągnął w głąb Moskwy. Najpierw podszedł pod silnie umocniony Briańsk, nękając przeciwnika szybkimi wypadami. Nie mógł jednak myśleć o zdobyciu tak potężnej twierdzy. Wkrótce też pod miasto wyruszył książę Jurij Szachowski, na czele około 7 tysięcy ludzi, który miał rozbić Lisowskiego i uwolnić miasto od oblężenia. Lisowski zaskoczył go jednak pod Karaczewem i doszczętnie rozbił. Zarówno Szachowski, jak i wojewoda karaczewski Olizar Biezobrazow dostali się do niewoli.

Tym razem Moskwićini wysłali następną armię dla zniesienia Lisowskiego. Naprzeciwko Lisowskiego wyruszył książę Dimitrij Pożarski, oswobodziciel Moskwy z rąk polskich, uznawany za bohatera wojny przeciwko Polakom. Do spotkania doszło nad rzeką Orzeł. Pierwsze boje okazały się nieudane dla ludzi Lisowskiego. Idący w przedniej straży wojewoda carski Iwan Puszkin zepchnął bowiem polskie chorągwie do obozu i usiłował zdobyć go szturmem. Jednak Lisowskiemu udało się odeprzeć przeciwnika, zmieszać go i zmusić do ucieczki. Gdy nadeszły

główne siły Pożarskiego, książę zamknął się w obozie i pomimo iż 4 września Lisowski wyprowadził swoje chorągwie w pole, Pożarski nie zdecydował się, by uderzyć na Litwinów i Polaków. Lisowski oderwał się zatem od przeciwnika, poszedł na Bołchów, spalił Biełow i Lichwin, zajął Peremyszl. Jak pisali współcześni, przejście 170 kilometrów zajęło mu dwa dni i dwie noce. Później Lisowski rozbił pod Rzewem znaczne siły moskiewskie. Następnie poszedł ku północy, zamierzając dojść do Oceanu Północnego, czyli do Morza Karskiego, nie wiadomo jednak, czy rzeczywiście tam doszedł.

Już wówczas ludzie pułkownika Lisowskiego budzili w Moskwie prawdziwą grozę. Ich dyscyplina i szybkość zaskakiwały przeciwników. Powiadano, że lisowczycy zabijali wszystkich rannych towarzyszy, którzy opóźniali marsz oddziałów.

Dopiero teraz Lisowski zdecydował się na powrót do kraju. Spod Hulecza, w którym, jak się wydaje, rozłożył się obozem, wyruszył do Romanowa i nad Wołgę. Następnie straszny pułkownik zbliżył się do Moskwy, podszedł pod Murom i Kasimów, rozesłał na wszystkie strony podjazdy, paląc, grabiąc i mordując Moskwinów. Później Lisowski ruszył ku granicom Rzeczypospolitej i rozłożył się na leża na Siewierszczyźnie. Strach przed Lisowskim był tak wielki, że żaden oddział moskiewski nie śmiał niepokoić pułkownika w czasie jego powrotu.

Lisowski szybko udał się pod Smoleńsk i zaczął przygotowywać się do nowej wyprawy na Moskwę. Niestety, nie dane mu było powrócić na wojnę. Rozchorował się bowiem niespodziewanie i 11 października 1616 roku zmarł. Jego śmierć zaskoczyła nie tylko lisowczyków, ale także hetmana Jana Karola Chodkiewicza i samego króla. Jednak nieśmiertelna sława Lisowskiego przetrwała przez wieki.

Tomasz Wolski

Jednym z największych awanturników, a właściwie obieżyświatów, czasów saskich był urodzony w roku 1700 w Uniejowie Tomasz Stanisław Wolski. Pan brat ów, pochodzący ze starej rodziny szlacheckiej, wychowywał się w młodości na magnackich dworach, między innymi na dworze kasztelana Jana Czaplńskiego, nabył wiele ogłady, ale także ciekawości świata. Już w wieku lat 13 odbywał podróże po Czechach i Niemczech, poznał Pragę, Monachium. Później podróżował po Austrii, Tyrolu, a także po Polsce, gdzie odwiedził Gdańsk i Toruń.

Tomasz Wolski nigdy nie znalazłby się jednak na kartach szlacheckich pamiętników, gdyby w roku 1725 nie podjął pielgrzymki do Ziemi Świętej. Wolski pojechał najpierw do Rzymu przez Wiedeń, Triest, Wenecję i Padwę. Ma się rozumieć, iż przez całą drogę występował jako dostojny pielgrzym, a nawet udało mu się uzyskać audiencję u papieża Benedykta XIII. Następnie z Italii wybrał się do Ziemi Świętej poprzez morze i tutaj właśnie miał okazję przeżyć

wiele niezwykłych przygód.

Najpierw, w niedługi czas od opuszczenia Italii, zatonął okręt, na którym przebywał Wolski. Na szczęście nasz bohater świetnie pływał i szybko udało mu się dostać na inny statek należący z kolei do Wenecji. Ten jednak zaatakowany został szybko przez berberyjskich korsarzy, którzy wdarli się na pokład. Wolski jednak, czując w sobie sarmacką krew, nie poddał się panice, szybko zgromadził wokół siebie marynarzy i odparł napastników. 12 kwietnia 1726 roku zawitał do Jerozolimy. Jednak i w Ziemi Świętej nie przebywał zbyt długo. Zwiedziwszy Betlejem, postanowił bowiem ruszyć do Egiptu.

Dalsza wyprawa Wolskiego obfitowała w inne, stokroć groźniejsze niebezpieczeństwa. Najpierw został wzięty do niewoli przez Arabów. Udało mu się jednak umknąć napastnikom. Wolski przyczynił się także do innych ekscesów. Gdy przebywał w klasztorze Franciszkanów, umieszczono go w jednej celi z powracającym z Jerozolimy luteraninem. Wolski, jako świątobliwy pielgrzym i prawdziwy katolik, nie mógł ścierpieć takiego towarzystwa. Gdy w dodatku w czasie rozmowy „heretyk” wychwalał przy Wolskim zalety swej wiary, nasz niedoszły krzyżowiec „porwał spod łóżka sandały i tak sumiennie obił nim owego protestanta, że ten krzykiem cały kościół obudził”. Kiedy zaś później franciszkanie spytali go o powód awantury, Wolski odparł, że jako gorliwy katolik gotów jest bronić wiary świętej w każdym miejscu.

W taki oto sposób Wolski wkroczył zatem na drogę krucjaty przeciwko islamowi. Gdy zwiedził już północny Egipt i wrócił do Rzymu, natychmiast zaczął rozwijać plany nowej krucjaty państw chrześcijańskich przeciwko Turkom. Opisywany pan brat szybko pozyskał łaskę papieża, otrzymał od niego rozmaite dewocjonaalia, odpusty, a także godność „Rycerza grobu świętego”. Tak zaopatrzone na drogę, wyruszył zatem Wolski w podróż po Europie, aby przekonać do swych planów krucjaty innych władców europejskich. Wolski jeździł po wszystkich stolicach, gdzie jednak przyjmowano go raczej niechętnie. Nikt zdrowo myślący nie zamierzał przecież angażować się w taką awanturę, która groziła wojną z Turcją lub wielkimi kłopotami. Wolski, zawiedziony i uskarżający się na złe traktowanie przez władze, powrócił zatem do Włoch, gdzie w roku 1730 Ojciec Święty mianował go admirałem floty papieskiej. Kłopot jednak w tym, iż Stolica Apostolska nie posiadała wówczas bodaj ani jednego okrętu wojennego. Awanturniczy Wolski nie przejął się tym jednak. Natychmiast kupił małą fregatę i wyprawił się na Stambuł. Czy do niego dopłynął – nie wiadomo. Sam w swoim pamiętniku wydanym w roku 1737 we Lwowie pisze, iż prowadził działania wojenne przeciwko Turkom. Fakt jednak faktem, że w roku 1731 widzimy go znowu w Rzeczypospolitej, skąd w roku 1733 wyjechał ponownie do Rzymu organizować krucjatę przeciwko Turcji. Dalsze dzieje Wolskiego owiane są tajemnicą. Najprawdopodobniej jednak wypełnił swoje zamierzenia chociaż częściowo. W 1740 roku kupił bowiem statek, najął kapitana i marynarzy, a następnie wywiesił

na nim hiszpańską banderę i popłynął na południe, by atakować Algierczyków. Istotnie, udało mu się zniszczyć kilka małych statków z Algierii, jednak jego wyprawa omal nie spowodowała wojny pomiędzy Hiszpanią i Turcją, która rozciągała zwierzchność nad Algierią. Gdy zatem Wolski powrócił do Italii, jego statek został zatrzymany w jednym z portów i skonfiskowany, a sam Wolski znalazł się w więzieniu. Uwolniony został dopiero na prośbę żony ówczesnego króla polski Augusta III Sasa – Marii Józefy.

Spoglądając na życie pana Tomasza Wolskiego, rodzi się jakże znamienne pytanie: czy rzeczywiście był on szlachetnym idealistą, chcącym doprowadzić do uwolnienia Ziemi Świętej spod panowania tureckiego? Otóż wydaje się, że cokolwiek niezupełnie. Adam Moszczeński, pamiętnikarz polski, który spotkał w młodości Wolskiego twierdził, iż był to „frant wielki i zapalanej głowy człowiek”. Pan Tomasz lubił wzbudzać powszechne zainteresowanie, a z pielgrzymstwa i organizowania krucjaty ciągnął niezłe zyski, otrzymując spore sumy od bardziej pobożnych dewotów i księży. Wiadomo, że cieszył się względami królowej polskiej Marii Józefy, która wspomagała go dużymi sumami pieniędzy. Natomiast August III Sas często wyśmiewał Wolskiego. Pewnego razu oświadczył nawet, że da mu wielkie i przynoszące duży dochód starostwo, jeśli Wolski ożeni się z piękną panną Łubieńską. Podstarzały Tomasz ukłonił się ponoć wówczas i natychmiast popędził paść do nóg pannie, która nie mogła później długo pozbyć się natrętnego „krzyżowca”.

Tomasz Wolski uwielbiał także budzić sensację swoim wyglądem. Jak pisze Moszczeński: „znałem pana Wolskiego, pielgrzyma, który często wstępował do ojca mego. Ubrany był w żupan aksamitny czarny, krzyż na lewym boku czerwony podszyty lamą srebrną, na butach krzyże haftowane, przy pałaszu na srebrnym łańcuszku koncha morska zawieszona, pas czerwony, za tym paciorki i w ręku laska pielgrzymiska wysoka”.